



***JADWIGA COURTHS-MAHLER***



***Fatalny list***

# I

Zdarzyło się to na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Berlińską ulicą Kurfürstendamm szedł powoli Hasso von Ried i rozglądał się za taksówką. Przejeżdżało ich wiele, niestety, wszystkie zajęte.

— Jak zwykle nie ma żadnej wolnej — mruknął cierpko do siebie.

Stał teraz przed firmą Hamanna, która słynęła w całym mieście z produkcji marmoladek i rozków nadziewanych gorzką czekoladą. Przez krótką chwilę jego uwagę przykuła witryna pełna słodkich smakołyków i wtedy właśnie usłyszał za swymi plecami cichy pisk hamulców zatrzymującego się samochodu. Szybko odwrócił głowę i zobaczył w głębi kabiny młodą, śliczną kobietę. Kierowca opuścił dźwigienkę licznika, odwrócił się do niej i podał odczyt. Wyjęła z kieszeni kurtki monetę, z uśmiechem położyła ją na wyciągniętą dłoń taksówkarza i otworzyła drzwiczki. Hasso von Ried ujrzał wąską, zgrabną stopę na progu samochodu i nie mógł się ustrzec przed podziwem nad gracją tej kobiety.

Gdy już chciała zatrzasać drzwi, zaczepiła łańcuszkiem bransoletki o mosiężny guzik i przez chwilę się szamotała, nie mogąc się uwolnić. Podszedł szybko, by jej pomóc. Ukłonił się. Spojrzała na tego wysokiego, szczupłego mężczyznę w mundurze berlińskiego pułku gwardii i zarumieniła się.

— Czy pozwoli pani, że jej pomogę? — zapytał i nie czekając na przyzwolenie ujął jej delikatną dłoń w eleganckiej skórzanej rękawicze i wyplątał łańcuszek, przy którym jako ozdoba wisiała niewielka, złota moneta. Dostrzegł na niej herb z koroną baronów, sylwetkę skaczącego dzika i napis: *wierny i nieustraszony*.

Ta dwudziestoletnia mniej więcej kobieta była najwyraźniej zakłopotana sytuacją, a gdy wreszcie uwolnił jej rękę, odetchnęła z ulgą i skinieniem głowy podziękowała za pomoc. Przez krótki moment ich oczy spotkały się i wtedy na jej policzkach pojawił się rumieniec. Jego przystojna twarz o szlachetnych rysach zrobiła na niej duże wrażenie i wiedziała, że nie zapomni tego mężczyzny. Szybko jednak odwróciła się i pozornie nie zwracając na nic uwagi weszła do sklepu ze słodyczami. On zaś, trzymając dłoń na klamce drzwiczek taksówki, patrzył jak zahipnotyzowany na jej gibką sylwetkę i ruchy zdradzające siłę charakteru. Gdy zniknęła, usiadł na tylnym siedzeniu samochodu i podał kierowcy adres. Ruszyli, a on szybko zapomniał o tym przelotnym wrażeniu i o pięknej nieznajomej. Miał ważniejsze sprawy do przemyślenia. Nie zauważył więc, że młoda dama przyglądała mu się przez szybę wystawową.

Zakupy zrobiła sprawnie i po krótkiej chwili wyszła ze sklepu z kilkoma małymi paczuszkami. Szybkim krokiem przecięła ulicę i weszła wąską przecznicę. Po chwili dotarła do eleganckiego pensjonatu. W przedpokoju podała pokojówce kapelusz i zapytała:

— Czy mama już wróciła, Franciszko?

— Szanowna pani wróciła już kilka minut temu — odparła pokojówka.

Młoda kobieta skinęła głową, zatrzymała się na krótko przed lustrem i poprawiła włosy, po czym biorąc swoje paczuszki weszła do niewielkiego saloniku, który nie przypominał swoim urządzeniem pokoi hotelowych. Był przytulny i urządzone ze smakiem. Poprzez otwarte do drugiego pokoju drzwi dostrzec można było spakowane walizki. Starsza, dystyngowana pani siedziała przy oknie i wyglądała na ulicę. Odwróciła głowę, gdy usłyszała szelest otwieranych drzwi.

— Czy nie musiałaś czekać na mnie zbyt długo, mamusiu? — spytała wchodząca.

— Ależ nie, Carry. Dopiero wróciłam. Tak to jest z pożegnalnymi wizytami. Ekscelencja Haukner zatrzymał mnie dość długo. Usłyszałam wiele miłych słów o mojej uroczej córeczce. Tylko niech ci się w głowie nie przewróci.

— Mamo, wszyscy mówią, że jestem podobna do ciebie, więc i ty możesz zrobić się próżna — lekko odpowiedziała rozbawiona Carry.

Baronowa von Hartenfels zasłoniła się rękami w obronnym geście.

— Mój czas już minął, droga Carry. W próżną dumę wbić mnie teraz może tylko twoja uroda i charakter, ale dobrze wiesz, że tak się nie stanie. A teraz powiedz, co załatwiłaś u krawcowej. Czy twoje sukienki są już gotowe?

— Trzeba zrobić tylko parę małych poprawek. Prześlą mi wszystko prosto do Hartenfels.

— A co masz w tych paczuszkach?

— Słodczyce od Hamanna, mamusiu. Wydałam na nie resztę mojego kieszonkowego. Zrobiłam też większe zamówienie i wszystko nam prześlą.

— Świetnie. Mamy jeszcze dobrą godzinę do wyjazdu na dworzec, poprosiłam, by przygotowano nam coś do zjedzenia przed podróżą. Czy spotkałaś dzisiaj kogoś z naszych berlińskich znajomych?

— Nie, ale miałam przygodę. Wsiadając z taksówki, zaczepiłam bransoletką o uchwyt w drzwiczkach, a wtedy podszedł porucznik gwardii i pomógł mi się oswobodzić. Mamusiu, jaki on był przystojny! I miał w sobie coś niezwykłego. Tak wyobrażam sobie świętego Jerzego, który zabił smoka.

— W gwardyjskim mundurze? — roześmiała się matka.

— Nie o mundur mi, mamusiu, chodziło — wesoło sprostowała Carry, po czym zaczęła układać pakunki ze słodyczami w torbie podróżnej, ale twarz miała zadumaną i baronowa von Hartenfels mogła przypuszczać, że córka wciąż myśli o przystojnym poruczniku.

Po chwili pokojówka wniosła tacę z przekąską. Była to ich własna, a nie hotelowa służba.

— Dziękuję, Franciszko — rzekła baronowa — Każ przygotować również coś do jedzenia dla siebie i dla Fryderyka. A potem proszę zawieźć nasze bagaże na dworzec i zająć miejsca w pociągu. Proszę też przypomnieć w recepcji o przygotowaniu rachunku.

— Tak jest, łaskawa pani — rzekła Franciszka i położyła tacę na niewielkim okrągłym stoliku, przy którym zaraz usiadły obie panie, a potem szybko opuściła pokój.

— A więc, droga Carry, nasze piękne dni berlińskie dobiegły końca. Teraz przed nami dziewięć miesięcy w domu — powiedziała baronowa, nakładając sobie wędlinę na talerzyk.

Carry skinęła z uśmiechem głową.

— Cieszy mnie to, mamusiu.

Baronowa spojrzała na nią badawczo.

— Naprawdę? — spytała — I opuszczasz Berlin z lekkim sercem? Czyżby żaden z kawalerów, którzy otaczali cię nieustannie dowodami sympatii, nie wkradł się do twego serduszka?

— Nie, mamu. Nie poznałam tu nikogo, kogo żal by mi było opuszczać.

— A święty Jerzy z gwardii? — zażartowała baronowa.

Na wspomnienie młodego oficera serce Carry zabiło szybciej. Była o to na siebie zła. Takie krótkie, przypadkowe spotkanie wywarło na niej zdecydowanie zbyt duże wrażenie. Gdy myślała o nim, czuła dziwny niepokój, ale nie przyznała się matce do tego.

— Nie wyolbrzymiaj, mamu, moich słów. Zapamiętałam tego oficera tak, jak zapamiętuje się ciekawy obraz. To wszystko — siliła się na obojętną swobodę.

— A więc nikt nie znalazł łaski w twoich oczach? Zdawało mi się, że wyróżniasz trochę hrabiego Soesta.

— Rzeczywiście, zdawało ci się, mamusiu. Wy tłumaczenie jest banalnie proste. Byłam przecież z jego siostrą na pensji. Przyjaźnimy się. Poza tym sam hrabia jest zupełnie zabawnym towarzyszem... ale żeby mówić o wyróżnianiu... To zdecydowanie zbyt wielkie słowo. Nie

spiesz mi się do wyjścia za mąż. Pójdę do ołtarza tylko z mężczyzną, którego głęboko pokocham i który obdarzy mnie wzajemnością.

— Miejmy nadzieję, że uda ci się takiego spotkać.

— Czyżbyś chciała się już mnie, mamusiu, pozbyć?

Matka ujęła dłoń córki i czule ją pogłaskała.

— Ależ Carry, mówisz głupstwa. Zapewniam cię, że pragnęłabym zatrzymać cię przy sobie na zawsze. Ale nie tak wyobrażam sobie twoje szczęście. Muszę się pogodzić z tym, że któregoś dnia ode mnie odejdiesz, by ułożyć sobie życie. Twoje szczęście przedkładam ponad wszystko.

Carry pochyliła się i ucałowała dłoń matki.

— Moja kochana mamusiu, tak mówisz, jakbym nie była szczęśliwa u ciebie.

— To, kochanie, zupełnie nowy rodzaj szczęścia. Radość dzieciństwa. Teraz jest przed tobą zupełnie nowy etap. Pragnęłabym, żebyś w małżeństwie znalazła takie szczęście, jakie ja znalazłam z twoim ojcem.

Carry westchnęła.

— To wydaje się mało prawdopodobne. Rzadko zdarzają się tak znakomite, tak harmonijne związki. Pewnie raz na sto lat.

Baronowa uśmiechnęła się.

— Ale nie myśl sobie, że od początku wszystko wyglądało tak pięknie. Pokochałam twego ojca dopiero po ślubie.

Carry popatrzyła na matkę zdumiona.

— Więc wychodziłaś za mąż bez miłości?

— Mało tego. Byłam zakochana w zupełnie innym mężczyźnie. Ale on wcale nie pragnął mojego serca.

— To takie ciekawe — powiedziała w uniesieniu Carry. — Musisz mi o tym, mamusiu, opowiedzieć.

— Niezbyt wiele jest tu do opowiadania — odparła baronowa. — Miałam swój ideał, po prostu jak każda młodziutka dziewczyna. Wydawał mi się taki cudowny, taki wspaniały. Był piętnaście lat ode mnie starszy. Poznałam go w tym samym czasie co twojego ojca. Ale to na niego zwróciłam uwagę. Mieli u nas kwaterę w czasie manewrów. Był przełożonym twojego ojca, dumny, wyniosły. Nie zwracał na mnie w ogóle uwagi, a ja prawie nie sypiałam, byłam

chora z miłości. Wierzyłam, że wszystko się ułoży, że pokocha mnie, tak jak ja pokochałam jego. Nocami krążyłam po pokoju i marzyłam...

— Ach, mamó — wyszeptała Carry — wydaje mi się, że widzę cię w blasku księżyca, stojącą w otwartym oknie, zamyśloną.

Pani Hartenfels roześmiała się.

— Być może wyznałam nawet księżycowi moją słodką tajemnicę. Ale wróćmy do rzeczy. Od twojego ojca dowiedziałam się, że mój ideał był od dwunastu lat żonaty i miał jedenastoletniego syna. Moja miłość została pogrzebana. Nawet nie wiesz, jak cierpiałam wówczas. Ale jak widzisz, nie umarłam z rozpacz. Przypuszczam, że twój ojciec nawet coś zauważył, ale był człowiekiem delikatnym i dobrze wychowanym, nie dał więc nic po sobie poznać. Natomiast zaopiekował się mną, otaczał mnie wyjątkowymi względami i okazywał czułą sympatię. Musiałam go polubić, a na koniec zostałam jego żoną. Początkowo drżałam na myśl o tamtym, ciągle miałam go jeszcze w sercu. I zupełnie nie wiem jak to się stało, że nagle poczułam się szczęśliwa z twoim ojcem. Nie mogło zresztą być inaczej, bo był cudownym człowiekiem.

Carry posmutniała.

— Ojciec był człowiekiem wielkiego serca — powiedziała. — Trudno pogodzić mi się z jego śmiercią. Z jego odejściem tak wiele straciłyśmy, mamó.

— Tak, córeczko, to naprawdę straszne. Ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć, że go z nami nie ma i nie będzie... — głos baronowej załamał się, ale szybko się opanowała i z uśmiechem rzekła:

— Ale widzisz teraz, Carry, że małżeństwo może być bardzo szczęśliwe, choć nie było zawarte z wielkiej miłości.

— Wniosek z tego jeden, mamusiu — powiedziała Carry mrużąc oczy. — Sugerujesz mi, że nie powinnam czekać na wielką miłość. Czy rzeczywiście o to ci chodziło?

— Niczego nie mam zamiaru ci narzucać. Masz swój rozum. Każdy postępuje według własnego uznania. Chciałaś, żebym opowiedziała ci o swojej miłości i początkach małżeństwa, więc zrobiłam to. Ale żadnych daleko idących wniosków nie chcę wyciągać.

— To znakomicie. Pozostanę na razie przy swoim i poczekam na wielką miłość, a moje serce ciągle jeszcze milczy.

Czy jednak w słowach Carry była szczerą prawdą? Czy jej serduszko nie drżało na wspomnienie świętego Jerzego w gwardyjskim mundurze?

— Czy spotkałaś potem kiedyś tego mężczyznę, którego tak kochałaś — zapytała po krótkiej chwili.

— Oczywiście, widywałam go raz na jakiś czas. Zresztą powiem ci, o kogo chodzi. Tym mężczyzną był baron von Ried.

Carry aż podskoczyła ze zdziwienia.

— Kto? Baron von Ried? — zawołała. — Nasz niesympatyczny, zgryźliwy sąsiad? Ordynat na Marwedel?

Matka śmiejąc się pokręciła głową.

— O, nie! Nie posądzaj mnie o tak zły gust. Chodzi o jego kuzyna, Heinza. Nie miał żadnego majątku i był wiecznym oficerem.

— Nie znam go. W ogóle o nim nie słyszałam.

— Nie żyje od lat, a w zamku Marwedel bywał rzadko. Ci kuzyni niezbyt się kochali.

— Trudno się dziwić. Nie znam nikogo, kto by lubił tego starego mruka.

— Nie żyje też żona Heinza. Nie wiem, jakie są losy ich syna. Pamiętam, że miał na imię Hasso.

— Hasso von Ried? Czasem opowiadał mi o nim jego kuzyn, Kurt. Bardzo go ceni pomimo tego, że jego ojciec stale go krytykuje. Ale któż mógłby zadowolić starego Marwedelera? Zakrawałoby to na cud. Ten Hasso też nie tęskni za krewniakami z Marwedel. Nigdy go tam nie widziałam.

— Bywał tam z rodzicami. Ostatnio zaś zjawił się, gdy byłaś na pensji. Od tamtej pory go nie widziałam.

— Kurt mówił, że jest oficerem i mieszka w Berlinie.

— I mówisz, że Kurt go ceni?

— Tak, ale jego ojciec, stary skąpiec, ciągle ma pretensje, że wydaje za dużo pieniędzy.

— Nie trzeba być utracjuszem, żeby u pana Rieda wywołać taką reakcję.

— Tak, to podobno niezwykle dusi grosz. Kurt też nie ma z nim łatwego życia, chociaż będzie kiedyś dziedzicem wielkiej fortuny.

— Kurt lubi cię, zauważyłam. Wystarczyłaby mała aluzja, a poprosiłby o twoją rękę. Myślę, że jego ojcu spodobałoby się to, bo Hartenfels przypadłoby wtedy Riedom.

— O, nie, mamó! — energicznie zaprotestowała Carry. — Kurt jest cudownym przyjacielem, ale nic ponadto. To nie jest mąż dla mnie. Zostałby starym pantoflarzem.

— Tak uważasz?

— Oczywiście. Nieraz zresztą dałam mu to do zrozumienia.

Baronowa przyjrzała się córce uważnie. Zaniepokoiła się.

— Czy mam rozumieć, że rozmawiałas z Kurtem na ten temat? — spytała.

— Z konieczności, mamu. Niedawno zapytał mnie, czy nie zechciałabym zostać panią na Marwedel. Musiałam odmówić.

— Co?

— Powiedziałam mu, że jesteśmy zbyt dobrymi przyjaciółmi, że za dobrze się znamy i wiem, że nie stanowilibyśmy szczęśliwej pary małżeńskiej. Powiedziałam mu, że jest zbyt łagodny, zbyt dobry.

— A co on na to?

— Stwierdził, że jest innego zdania. Według niego mamy przed sobą cudowną i radosną przyszłość. Poprosiłam go, by nie wracał więcej do tego tematu, jeśli nie chce popsuć naszej przyjaźni.

Baronowa wzruszyła ramionami.

— Nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłaś. Poza tym przypuszczałam...

— Co takiego przypuszczałaś, mamusiu?

— Sądziłam, że dlatego jesteś tak nieprzychylna dla wszystkich swoich adoratorów, że w cichości serca masz jednak dużą sympatię dla Kurta von Rieda.

— To był fałszywy trop. O moim małżeństwie z Kurtem nawet nie myśl.

— Szkoda, prawdziwa szkoda. Nosiłby cię na rękach.

— Tyle tylko, na ile pozwoliłby mu jego ojciec.

— Wobec ciebie nie byłby tak surowy. Ręczę, że życzyłyby sobie takiej synowej.

— Ale ja nie chcę go za teścia. A poza tym powtarzam, że Kurt nie jest mężem dla mnie. Delikatny, łagodny, ugodowy... Zmieniłabym się pewnie przy nim w prawdziwą ksantypę. Mój mąż musi być prawdziwym mężczyzną. Zdecydowanym, konkretnym, silnym. Musi mi imponować, żebyśmy nie grała mu na nosie. Moim pragnieniem jest małżeństwo z człowiekiem, na którym zawsze mogę polegać, na którego mogę liczyć w każdej sytuacji.

Baronowa von Hartenfels westchnęła głęboko i bezradnie rozłożyła ręce.

— Carry, to dziecinne mrzonki. Nie będzie łatwo znaleźć mężczyznę, który cię zadowoli. Chciałam, żebyś wyszła za Kurta z czysto egoistycznych pobudek. Byłabyś wtedy bardzo blisko mnie. Marwedel i Hartenfels leżą tak niedaleko siebie.

Carry podniosła się i objęła matkę ciasnym, serdecznym uściskiem.



— Nawet ten wzgląd nie zmieni mojej decyzji, mamusiu. Przykro mi, ale nie zostanę żoną Kurta.

Matka przytuliła ją i pogłaskała po włosach.

— Droga Carry — rzekła uroczyście. — Najważniejsze dla mnie jest twoje szczęście. Nie będę nalegać.

Zastukano do drzwi. Właścicielka pensjonatu przyniosła rachunek, o który wcześniej prosiła baronowa. Potem obie panie ubrały się i pojechały na dworzec.

## II

Tymczasem Hasso von Ried jechał taksówką przez ruchliwe o tej porze ulice Berlina. Minę miał ponurą i ponure myśli, choć dzień był piękny, słoneczny, przedwiosenny. Bez szczególnego zainteresowania spoglądał przez szybę na spieszących się przechodniów.

Kobiety odrzuciły już zimową garderobę i w lekkich płaszczykach marzły chyba, bo choć świeciło słońce, to wciąż jeszcze było zimno. Niektóre, ostrożniejsze, pozostały jeszcze przy futrach, ale nadały im wiosenny akcent, dopinając do kołnierzy bukietki fiołków.

Hasso uśmiechnął się gorzko myśląc, że jego wuj jest tyranem, skoro każe mu opuścić to miasto i zagrzebać się gdzieś na prowincji. Zrezygnowany oparł ciężko głowę o poduszki samochodu.

— A zresztą — pomyślał. — może to będzie coś nowego, ciekawego.

Coś błysnęło na siedzeniu, jakiś przedmiot wciśnięty pomiędzy oparcie a ścianę samochodu. Przyjrzał się z zainteresowaniem. Spróbował wyjąć. Coś twardego. Żeby to wydostać, musiał nieco podnieść siedzenie. Na podłogę spadła damska torebka. Była zrobiona ze złotej siateczki i wyjątkowo elegancka. Hasso nigdy nie widział niczego podobnego. Była w kształcie słonia. Wygięty grzbiet z opuszczoną głową stanowił górną krawędź. Przednie nogi połączone z trąbą, tylne z zarysowanym ledwie ogonkiem tworzyły boczną oprawę tego cacka. Korpus wypełniała siatka utkana ze złotego drutu tak miękka, jakby zrobiona była z materiału. Do górnej krawędzi grzbietu słonia przymocowane były złote kółka, od których odchodził mocny, również złoty łańcuch będący uchwytem torebki. Oczy słonia stanowiły dwa spore szafiry.

Hasso nie miał wątpliwości, że ta torebka była własnością młodej damy, która przed chwilą wysiadła z taksówki. Było oczywiste, że należy jej zwrócić zgubę. Był to przedmiot naprawdę dużej wartości.

Polecił szoferowi wrócić pod cukiernię. Przed firmą Hamanna nie było śladu po pięknej nieznajomej. Wszedł do sklepu i próbował dowiedzieć się czegoś na temat młodej osoby w granatowym okryciu, która robiła tu z całą pewnością przed chwilą zakupy. Niestety, ekspedientki nie umiały mu nic o niej powiedzieć. Podobnie ubranych klientek było w ciągu ostatniej godziny bardzo wiele. Żadna też nie wspomniała nic o zgubieniu torebki.

Na wszelki wypadek, gdyby jednak ktoś się zgłosił, Hasso zostawił swój adres. Trop się urwał, wrócił więc do taksówki i kazał się zawieźć z powrotem.

W samochodzie zajrzał do torebki w nadziei, że znajdzie w niej jakieś wskazówki, gdzie należy szukać właścicielki. Już na wewnętrznej krawędzi dostrzegł wygrawerowany monogram: C.H. To jednak było zbyt mało. Nadal nic nie wiedział. Nie było wyjścia, musiał przejrzeć zawartość. W małej złotej portmonetce nie było nic poza kilkoma starannie złożonymi banknotami. Dodatkowo znalazł pęk kluczy, w tym cztery zupełnie małe, batystową chusteczkę, pachnącą delikatnie perfumami oraz złożony list bez koperty. Przyjrzał się kartce dokładniej, ale zawahał się... przeczytać czy nie... Ale tylko ten list dawał mu szansę zidentyfikowania właścicielki torebki. Mogło się w nim znajdować imię i nazwisko lub jakaś informacja, jakiś ślad. Rozłożył kartkę i zerknął na nagłówek, nie było imienia. Potem popatrzył na podpis, to też nic mu nie dało. Zaczął więc czytać:

*Moja Najmilsza!*

*Gorące, najczulsze podziękowania za Twoją ofiarność. Brak mi słów, by wyrazić Ci swoją wdzięczność za Twoją wczorajszą wizytę. Przyszłaś jednak. Przyszłaś, by pomimo wszystko stać się moją żoną, przed Bogiem. Teraz Twoja matka nie będzie się już na pewno sprzeciwiała i wyrazi Zgodę na nasz ślub. Daj mi proszę znać, kiedy mogę przyjść, by jeszcze raz poprosić o Twoją rękę. Drzę na myśl o tej chwili, gdy będzie nam wolno mówić o naszym szczęściu.*

*Całuję Twoje dłonie, Kochana.*

*Twój oddany i wierny R.*

Hasso poczuł nagle uderzenie krwi, w głowie mu zaszumiało. Było mu wstyd, że przeczytał list, którego treść tak bardzo kompromitowała tę młodą kobietę. Czuł się nieswojo. Poznał cudzą tajemnicę, wkroczył w intymność... Nie mógł przypomnieć sobie twarzy tej młodej damy... damy? Wydawało mu się, że była elegancka, dumna, szlachetna. Nie, nie miała spojrzenia grzesznicy. Pamiętał dziwny blask jej oczu, ale nie miał pojęcia, jakiego były koloru. Ale zaraz, zaraz... bransoletka i medalik z napisem. To mógł być jakiś ślad. Herb baronów. A więc była arystokratką. Musiała teraz umierać ze strachu, że list wpadnie w niepowołane ręce, że ktoś rozpozna jej torebkę i będzie całkowicie skompromitowana. Przemyślał sprawę i doszedł do wniosku, że za wszelką cenę musi utrzymać całą rzecz w tajemnicy. To nie jego sprawa, że oddała się jakiemuś mężczyźnie. Włożył list do teczki.

Taksówka zatrzymała się przed wysokim domem czynszowym w zachodniej dzielnicy miasta. Płacąc za kurs, Hasso powiedział do szofera:

— Znalazłem w pańskim wozie damską torebkę. Czy zna pan może tę młodą damę, która przede mną korzystała z tego samochodu? Z całą pewnością jest to jej własność.

— Nie, panie poruczniku, nic o tej pani nie wiem — odparł kierowca.

— Gdyby jednak ta pani zapamiętała pański numer i zgłosiła się po zgubę, proszę powiedzieć jej, że torebkę znalazłem i przechowam ją. Oto mój adres — rzekł Hasso i podał taksówkarzowi swoją wizytówkę.

— W porządku, panie poruczniku, przekażę to — odparł tamten.

Hasso wysiadł, wszedł do budynku i windą wjechał na górę. Na trzecim piętrze znajdowały się trzy mieszkania. Hasso stanął przed środkowymi drzwiami i nacisnął dzwonek znajdujący się pomiędzy dwiema tabliczkami z nazwiskami: Wendt i Kronau. Po krótkiej chwili pojawiła się służąca w białym fartuszu.

— Czy pan von Kronau jest w domu? — zapytał Hasso.

W głębi korytarza pojawiła się drobna, starsza pani w szarej sukni z czarnym, jedwabnym fartuchem. Na głowie miała koronkowy czepek. Była to pani Wendt, od której porucznik von Kronau wynajmował połowę mieszkania.

— Dzień dobry, pani radczyni — ukłonił się Hasso.

Pani Wendt z uśmiechem skłoniła głowę i powiedziała:

— Dzień dobry, panie poruczniku. Tak, pan von Kronau jest w domu — a potem odwracając się zawołała w głąb mieszkania — Kreczmar, pan porucznik ma gościa!

Hasso wszedł do środka. Po króciutkiej chwili stanął przed nim ordynans w mundurowych spodniach i kurtce w biało-niebieskie pasy, po czym poprowadził go korytarzem tak wąskim, że z trudem mijały się w nim dwie osoby. Zatrzymali się przed drzwiami, które ordynans uchylił i zaglądając do środka zameldował:

— Pan porucznik von Ried.

Odsunął się, przepuścił Hassa idąc za nim jak cień. W pokoju przy biurku siedział młody oficer ubrany w domową bonzurkę i czytał jakąś książkę o taktyce wojskowej. Gdy ujrzał Hassa, zerwał się natychmiast.

— Witaj! — zawołał. — Czekałem już na ciebie.

Hasso oddał ordynansowi płaszcz i czapkę, po czym przywitał się serdecznie z Kronauem i rozsiadł się w fotelu.

— Przepraszam, Rudi, za spóźnienie. Oczywiście znowu nie było taksówki. Masz tu niezłą opiekę. Można być spokojnym o twoje bezpieczeństwo.

— Co masz na myśli?

— Nikt cię stąd nie ukradnie, to pewne. Żeby się do ciebie dostać, trzeba się przedrzeć przez trójkę cerberów. Zawsze to samo. Na posterunku jest służąca, pani radczyni i twój ordynans.

Rudolf von Kronau roześmiał się.

— Masz rację, niełatwo jest do mnie się dostać. Nikt nie może tu przyjść nie zauważony. Nawet mysz się nie prześliznie. Taka to już radosna strona tego mieszkania. Stale tu jestem pod czułym okiem pani radczyni. Ale jej troska płynie z serca. Traktuje mnie jak syna, a ponieważ moja matka nie żyje, sprawia mi to nawet przyjemność. Cóż więc z tą taksówką? Nie złapałeś jej?

— Nie.

— I to jest przyczyną twojego złego humoru? Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwego, Hasso.

— Rzeczywiście. Jestem w podłym nastroju, ale nie sądzisz chyba, że chodzi o taksówkę. To zupełny drobiazg. Zresztą i tak niebawem będę musiał zrezygnować z tego luksusu i z wielu innych też.

— Widzę, że zupełnie poważnie myślisz o wyjeździe.

— Nie mam wyboru, jak wiesz. Muszę.

— Wuj nie dał się przebłagać?

— Niestety, nie, Rudi. Byłem ostatnio jeszcze raz w Marwedel. Na próżno. Podobno wydaję za dużo pieniędzy i trzeba to ukrócić. Tylko wtedy spłaci moje długi, gdy wyjadę na minimum dwa lata. Mam poznać, jak wygląda życie.

— Myślę, że poznałeś je zupełnie wystarczająco.

— To ty tak uważasz. Mój wuj, niestety, jest odmiennego zdania. Mój Boże, żeby choć przez rok ten starszy pan miał moje dochody i moje wydatki w tym kosztownym pułku, tutaj w Berlinie, przekonałby się, że sprawa nie jest taka prosta. Wcale nie trzeba żyć ponad stan, żeby popaść w długi.

— Mnie tego nie musisz mówić. Też mam kłopoty finansowe. Ale gdybyś zrobił szczegółowy wykaz rachunków i przedstawił go wujowi, być może zmieniłoby to jego nastawienie.

— Bez szans. Już to robiłem, nic nie pomogło. Starszy pan wie wszystko najlepiej, choć cały czas siedzi w swoim zamku i o życiu w mieście nie ma pojęcia. Na dodatek postawił mi za wzór swojego syna. Kurt, jak wiesz, siedzi spokojniutko w domu i tańczy, jak mu ojciec zagra. Nie pozwoli sobie na najmniejsze nawet uchybienie. Praktycznie nie ma wydatków. Ojciec i syn dbają przede wszystkim o to, żeby pieniądze się nie rozchodziły, choć mają ich jak lodu. To śmieszne, ale nikt z nich nie korzysta. Cieszą się, że sejf pęka w szwach, a mnie z powodu kilku tysięcy wysyłają na wygnanie. Może stary ma nadzieję, że już stamtąd nie wrócę, że wykończę się tam i nie będzie musiał jużłożyć na moje utrzymanie.

— Chyba przesadzasz teraz, Hasso.

— Może... — skrzywił się i wzruszył ramionami. — Może krzywdzę go, ale gdy widzę, jak trudno mu sięgnąć do sakiewki, myślę czasem, że nie życzy mi niczego dobrego. Do Kurta nie mam żalu, jego wina leży tylko w tym, że nie umie przeciwstawić się ojcu. Ale prawdziwie mnie wścieka, gdy stawiają mi go za przykład. Za żadne skarby świata nie chciałbym być podobny do niego. Chłop z niego dobry, ale o życiu wie równie mało jak jego ojciec i pewnie z przerażeniem patrzy na mnie, że miałem odwagę tak się zadłużyć. Ale zostawmy go w spokoju. Jeśli nie chcę zostawić moich wierzycieli na lodzie, muszę zjeść to kwaśne jabłko i pojechać gdzieś na koniec świata, żeby poznać trudy życia.

Rudolf von Kronau położył mu przyjacielsko rękę na ramieniu mówiąc:

— Za dużo goryczy, Hasso. Tak naprawdę zawsze chciałeś pojechać do Afryki.

— Owszem, ale dobrowolnie, a nie jak zbrodniarz zsyłany karnie do kolonii, by się poprawić. Źle znoszę przymus, wyzwala wręcz we mnie najgorsze instynkty.

— Już w to wierzę — roześmiał się Rudi.

— Nie ma się z czego śmiać. Zawsze buntowałem się przeciw przymusowi. Gdyby nie wierzyciele, kazałbym wujowi iść do diabła ze swoim pomysłem. Ale mam honor. Pożyczyłem, muszę oddać. A co za tym idzie muszę zgiąć kark i koniec. Jestem więc gotowy do wyjazdu. Przyszedłem do ciebie, żeby dowiedzieć się, czy pojedziesz ze mną. Właściwie prawie mi to obiecałeś.

Rudolf westchnął głęboko i popatrzył poważnie na przyjaciela.

— Przykro mi, Hasso — powiedział — zostaję tutaj.

— Zmieniłeś więc zdanie? — rzekł z niemalym zdziwieniem von Ried.

— Drogi Hasso, w tych dniach wiele się zdarzyło. Mam zamiar się zaręczyć.

Hasso nie posiadał się teraz ze zdumienia. Był naprawdę zaskoczony.

— Gratuluję. To przyszło tak nagle?

— Nie, to ciągnie się od dawna. Nic ci nie mówiłem, bo sprawa wydawała się beznadziejna. Dziewczyna, którą kocham, jest bardzo bogatą dziedziczką. Znasz mnie i wiesz jakie to dla mnie krępujące. Jej rodzina do tej pory była zdecydowanie przeciwna naszemu związkowi. Zdecydowanie, jednoznacznie, nieodwołalnie... wydawało się, że nie ma dla nas szans. Dlatego właśnie chciałem z tobą jechać. Powiedziałem to mojej ukochanej, a ona nie chciała nawet słyszeć o tym wyjeździe. Odważyliśmy się... myślę, że pokonaliśmy najgorsze. Jestem naprawdę szczęśliwy. Musisz więc jechać sam.

Hasso serdecznie uścisnął dłoń przyjaciela.

— Może jest jeszcze za wcześnie, ale Bóg mi świadkiem, z całego serca życzę ci powodzenia i szczęścia.

— Wiem o tym. Dziękuję. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, po powrocie znajdziesz u nas ciepłe miejsce. Moja wybranka zna ciebie z moich opowiadań i bardzo pragnie cię poznać.

— To znaczy, że ja jej nie znam?

— Nie, nie należy do kręgu naszych znajomych. Poznałem ją przypadkowo na pewnej imprezie dobroczynnej. Jej ojciec był radcą komercyjnym i zostawił jej ogromny majątek. Jest jedynaczką. Pokochałem ją jednak, zanim dowiedziałem się o jej bogactwie.

— Nie musisz tego podkreślać, Rudi. Obaj nie należymy do łowców posagów. No cóż, cel mojej wizyty załatwiony. Jeszcze raz życzę ci szczęścia, mój drogi. Wyjeżdżam z Berlina w przyszłą sobotę.

— Tak szybko? Myślałem, że posiedzisz tu jeszcze jakiś czas.

— Wziąłem parę tygodni urlopu i chcę go spędzić w zamku w górach Taunus u naszego pułkowego kolegi, Norberta. Zaprosił nas przecież. Jego ostatni list był zresztą tak dziwny, że chcę zobaczyć co u niego się dzieje. Wydaje mi się, że jest jakiś przygnębiony. Zawiadomiłem go już o swoim przyjeździe.

— Pozdrów go ode mnie, proszę — westchnął Rudi — Los rzuca nas w różne strony. To trochę smutne. Pamiętasz, jak trzymaliśmy się razem. My, świeżo upieczeni podporucznicy. Norbert Platen, Leon Holms, ty i ja. To były piękne czasy, chociaż każdy z nas, poza Norbertem, zwykle nie miał pieniędzy. Ale Norbert to morowy gość, zawsze miał gest i pomagał nam. Pierwszy opuścił nas Leon. Siedzi teraz na swojej farmie w Afryce...

— Mam nadzieję, że go spotkam.

— Na pewno. Wygląda na to, że zostaję tutaj sam.

— Twoja żona ci nas zastąpi.

— Hasso, sam nie wierzysz w to, co mówisz. Ale nie rozczulajmy się. Dość tego. Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

— Nie.

— Wybierzmy się więc gdzieś razem.

— Chętnie. Być może to nasz ostatni wspólny wieczór.

— Zostajesz przecież do przyszłej soboty...

— To prawda. Myślałem o przyszłości... kto wie, czy wrócę tu kiedyś...

— Hasso, stajesz się sentymentalny.

— Być może trochę. Mój wuj będzie zadowolony. Nikt dzisiaj nie czuje się gorzej niż ja. Rudolf z uśmiechem uściskał mu dłoń.

— Koniec zmartwień. Za dwa lata znowu będziemy się razem weselić, stary!

— Zapominasz, mój drogi, że za dwa lata będziesz zapewne poważnym ojcem rodziny i nie będziesz miał czasu dla starych przyjaciół.

— Chyba źle mnie znasz. Ja i Lotta lubimy się bawić.

— A więc twoja wybranka ma na imię Lotta?

— Złóż jej, proszę, ode mnie wyrazy głębokiego szacunku. Niechże uszczęśliwi mojego starego druha.

— Tak.

— Gdy wyjdzie za mnie, nie będzie szczęśliwszego ode mnie człowieka — powiedział Rudi z wielkim zapałem, z oczu promieniowała mu radość.

Hasso wstał i przespacerował się po pokoju. Wolnym krokiem podszedł do okna, zawrócił i stanął przy biurku, na którym stała maszyna do pisania. Pochylił się lekko nad nią i kilka razy uderzył palcem w klawisze.

— Zawsze wszystko piszesz na maszynie — rzekł do Rudiego, po czym z uśmiechem zapytał — Czy listy miłosne też? To zabawne, ale nie znam twojego charakteru pisma. Tylko podpis.

— Rzeczywiście — odparł Rudolf. — Przyzwyczailem się do tej maszyny. Odziedziczyłem ją po ciotce, która pisała absolutnie nieczytelnie. Nikt nie chciał z nią korespondować. A ponieważ bez tego nie umiała żyć w swoim zakładzie dla starych panien, zaoszczędziła więc trochę i kupiła maszynę. Sam nie wiem dlaczego, ale po jej śmierci wziąłem tę maszynę i stale z niej korzystam. Listy do mojej ukochanej jednak piszę odręcznie.

Hasso spojrzął na zegarek.

— Pójdę już — powiedział, podając Rudolfowi rękę na pożegnanie. — Do zobaczenia wieczorem. Gdzie się spotkamy?

— Przyjdę do ciebie, jeśli będziesz w domu.

— Będę więc czekać.

Hasso ruszył w stronę drzwi. Na schodach sięgnął do kieszeni płaszcza, by wyjąć papierosa. Natrafił na twardy przedmiot. Przypomnił sobie o torebce. Pomyślał, że za wszelką cenę musi odnaleźć jej właścicielkę. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to biuro ogłoszeń jakiejś poczytnej gazety.

*W taksówce znaleziono złotą torebkę. Do odebrania na Fasenenstrasse 11, II piętro.*

Poprosił, by ogłoszenie ukazało się następnego dnia. Do domu wracał zadowolony. Zrobił wszystko, co mógł, by zwrócić zgubę właścicielce.



### III

Nazajutrz Hasso wysłał ordynansa po poranną gazetę. Przejrzał ją przy śniadaniu i znalazł swoje ogłoszenie. Potem prześledził rubrykę „Zguby”.

*Złotą torebkę z zawartością, uchwyt w kształcie słonia, zgubiono prawdopodobnie w taksówce. Uczciwemu znalazcy zapewnia się wysoką nagrodę. Wiadomość w biurze ogłoszeń gazety.*

C.H.

To było to, czego szukał. Usiadł przy biurku i napisał kilka słów.

*Wielce Szanowna i Łaskawa Pani!*

*Zgubiona przez Panią torebka znajduje się w moim posiadaniu. Znalazłem ją w taksówce wciśniętą pomiędzy oparcie i ścianę. Proszę odebrać zgubę osobiście lub przez zaufanego posłańca. Przekażę ją w zalakowanej kopercie. Z poważaniem*

*Hasso von Ried*

*Fasanenstrasse 11, II piętro*

„No, tak. Teraz ta młoda dama będzie wiedziała, że sprawa zostanie załatwiona dyskretnie” — pomyślał.

List natychmiast wysłał do gazety przez ordynansa i nie pozostawało mu nic więcej, tylko czekać na zjawienie się kogoś po zgubioną torebkę. W ciągu dnia jego myśli często uciekały do tej młodej osoby, której tajemnicę tak nieoczekiwanie poznał. Jakże musiała się martwić i niepokoić z powodu tego nieszczęsnego listu. Przecież nie mogła przewidzieć, jak zachowa się znalazca. Próbował odtworzyć z pamięci jej twarz, niestety bez skutku. Pamiętał jedynie lśniące, płonące jakby oczy, zgrabne stopy i drobną dłoń z bransoletką, no i oczywiście ten herb na breloczku.

Mógłby poszukać go w herbarzu i dowiedzieć się czegoś o tej rodzinie, ale nie chciał. Wolał zapomnieć o całym zdarzeniu zaraz po oddaniu torebki właścicielce.

Zabrał się do pakowania zguby w dużą, mocną kopertę. Zakleił ją i zalakował. Najbardziej prawdopodobne było, że młoda dama się zgłosi po odbiór własności osobiście, nie

będzie pewnie chciała prosić kogoś o taką przysługę. Hasso nie chciał się z nią spotkać. Przekaze jej pakunek przez ordynansa. Wystarczy, że opíše dokładnie torebkę. To będzie najbardziej wygodne dla niej wyjście, najmniej krępujące. Czekał nieco zdenerwowany. Przez cały dzień nic się nie zdarzyło. Nadszedł wieczór i Hasso stracił już nadzieję, że w najbliższym czasie ktoś się zgłosi po zgubę. Już miał zamiar wyjść z domu, gdy usłyszał zatrzymujący się pod jego oknami samochód. Po krótkiej chwili w korytarzu zadźwięczał dzwonek. Dokładnie poinstruowany ordynans otworzył drzwi.

Coś powiedział. Z całą pewnością z kimś rozmawiał, ale Hasso zupełnie nie słyszał tej drugiej osoby. Ordynans pojawił się w pokoju.

— Panie poruczniku, przyszła jakaś pani — powiedział. — Jest w obszernym futrze i szczelnie zawoalowana. Mówi, że przychodzi w sprawie torebki.

Hasso skinął głową.

— W porządku. Mam nadzieję, Treutmannie, że poprosiłeś tę panią do przedpokoju.

— Według rozkazu, panie poruczniku!

— Idź, proszę, teraz i poproś o dokładny opis torebki i jej zawartości.

Treutmann wyszedł trzasnąwszy obcasami. Hasso nasłuchiwał, ale rozmowa była tak cicha, że ledwie dochodził do niego szmer słów. Ordynans znów stanął w drzwiach.

— To złota torebka w kształcie słonia, którego oczy są z szafirów. Uchwyt ma ze srebrnego brokatu.

— Zgadza się. A co z zawartością?

— Pęk kluczy, koronkowa chusteczka — wyliczał Treutmann — złota portmonetka z banknotami.

— W porządku. Wręcz to tej pani — rzekł Hasso i podał mu zalakowaną kopertę.

Ordynans wyszedł i przez nie domknięte drzwi Hasso mógł słyszeć cichy głos nieznajomej, szelest sukni i lekkie kroki. Trzaśnięcie, zgrzyt zamka i do pokoju wpadł zdenerwowany, blady Treutmann.

— Panie poruczniku! Ta dama wcisnęła mi do ręki zwitek banknotów i powiedziała, żebym je sobie zatrzymał, bo pan na pewno nie przyjmie znaleźnego. Zajrzała do torebki, sprawdziła jej zawartość i rozplakała się. Nic z tego nie rozumiem. Gdy wyszła, rozwinąłem banknoty i proszę spojrzeć — wyciągnął dłoń z pieniędzmi w stronę Hassa — jest tego o wiele za dużo. Ta pani musiała się pomylić.

— Nie pomyliła się, ręczę ci za to — uśmiechnął się Hasso — Ta torebka miała dla niej dużą wartość. Spokojnie możesz zatrzymać te pieniądze.

— Wszystkie? — z niedowierzaniem spytał Treutmann — Czuję się, jakbym wygrał na loterii.

— Przydadzą ci się, jak wyjedziemy. Schowaj je, proszę.

— Rozkaz, panie poruczniku! Ależ to szczęśliwy dla mnie dzień.

Hasso podszedł do okna. Zobaczył kobietę w szerokim, ciemnym futrze, drobnym krokiem idącą w stronę zaparkowanego przy krawężniku samochodu. Z góry dojrzał jej małą, wąską stopę, którą postawiła na progu auta.

Odetchnął. Już po wszystkim. Pozbył się ciężaru odpowiedzialności za cudzą tajemnicę. Ależ musi się teraz cieszyć, że odnalazła torebkę z listem. Z całą pewnością wie, że jest tym samym człowiekiem, który pomógł jej wczoraj przy wysiadaniu z taksówki. Musiała się obawiać tego spotkania. Rozpląkała się przy Treutmannie. Miała za sobą pewnie niespokojne, męczące godziny. Był teraz dumny, że tak elegancko załatwił tę sprawę, że oszczędził tej kobiecie przykrości i kłopotliwych sytuacji. Zachował się jak na człowieka honoru przystało.

— Czy widziałeś twarz tej pani, Treutmannie — spytał nieprzytomnego ze szczęścia ordynansa. — Była młoda czy raczej starsza?

— Ta pani miała na głowie kapelusz owinięty gęstym woalem. Nic nie mogłem zobaczyć. Głos jednak miała młody, a chód lekki i szybki. Ze schodów właściwie zbiegała. Pewnie była aż tak szczęśliwa z odnalezienia torebki.

— Wygląda na to, że nikt nie rozpoznałby jej, nawet gdyby spotkał ją na schodach — pomyślał Hasso i odetchnął z ulgą.

Teraz mógł już bez przeszkód wyjść z domu. Był umówiony z Rudolfem na kolację u Hillera. Na jutro jego koledzy szykowali jakieś pożegnalne przyjęcie, a dzisiejszy wieczór miał zamiar spędzić tylko z Rudim, z którym miał jeszcze wiele spraw do omówienia.

W restauracji zjawił się spóźniony kwadrans, ale ku jego zdumieniu Rudolfa jeszcze nie było. Usiadł więc i postanowił zaczekać. Zjawił się dopiero po pół godzinie i wydawał się niezmiernie zdenerwowany. Twarz miał bladą i oddychał szybko.

— Wybacz mi, Hasso, że kazałem ci czekać tak długo — rzekł Rudi, podając na powitanie rękę przyjacielowi. — Musiałem czekać na telefon od mojej ukochanej. Dlatego nie mogłem wyjść z domu.

— Sprawy sercowe mają pierwszeństwo — uśmiechnął się Hasso. — Spodziewam się, że otrzymałeś jakąś interesującą wiadomość.

Rudolf von Kronau aż podskoczył.

— Co przez to rozumiesz? — spytał nerwowo.

— Cóż tu rozumieć? Myślę, że twoja ukochana przekazała ci przez telefon coś miłego. To chyba naturalne w przypadku rozmów pomiędzy dwiema kochającymi się osobami. A tak swoją drogą, to wydajesz się jakiś nieswój... czyżby więc wiadomość była zła? — w głosie Hassa była przyjacielska troska.

To podziałało na Rudiego uspokajająco. Rozluźnił się i odzyskał dawną swobodę.

— Masz rację, jestem trochę roztrzęsiony.

— U zakochanych emocje to normalna rzecz — zażartował Hasso.

— To niezupełnie tak — rzekł poważnie Rudolf. — Mam za sobą ciężki i nieprzyjemny dzień. Na szczęście już po wszystkim. Otrzymałem dobrą wiadomość, zgadłeś. Teraz mogę już być spokojny. A ty co robiłeś dzisiaj?

— Nic specjalnego. Przed południem miałem parę urzędowych spraw do załatwienia, a po południu siedziałem w domu i pisałem listy.

I rozmowa potoczyła się swobodnie. Poruszali sprawy wyjazdu, omawiali plany na jutrzejszy dzień, trochę wspominali. Hasso nie wspomniał o odnalezieniu torebki nawet słowem, a Rudolf nie zdradził, co było przyczyną jego dzisiejszych kłopotów. Gdy się rozstali, było już bardzo późno. Hasso odprowadził przyjaciela pod dom i po serdecznym pożegnaniu wsiadł do taksówki, by wrócić do siebie.

Tymczasem Rudolf popędził do swego mieszkania, zrzucił niedbale palto, usiadł przy biurku i szybko napisał bilecik tej treści:

*Najdroższa!*

*Możesz być zupełnie spokojna. Hasso von Ried nie powie nikomu ani słowa o znalezionej torebce i jej zawartości. Spędziliśmy razem cały wieczór i nie zrobił na ten temat nawet najmniejszej aluzji. Możesz być absolutnie pewna jego dyskrecji, znam go dobrze. Nie mógł rozpoznać mojego charakteru pisma, ponieważ wszystkie listy zawsze piszę na maszynie. A podpisu nie umieściłem. Z zachowania Hassa wynika, że zupełnie nie bierze pod uwagę mojego związku z osobą, która zgubiła torebkę.*

*Uspokój się więc, moja kochana Lotto. Ponieważ Hasso nie widział Cię i wręczył Ci paczuszkę przez ordynansa, przestałem się martwić. Taki delikatny sposób załatwiania trudnych spraw jest do niego podobny. Chciał, byś mogła odebrać zgubę bez skrepowania i miała pełne poczucie bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że udało mi się rozwiać Twe złe myśli i mogę się już cieszyć, że Twoja matka nie będzie dłużej stawiała na przeszkodzie naszemu szczęściu. Ta gra niewątpliwie wymagała odwagi, ale w końcu zwyciężyliśmy. Jutro rano będę u Ciebie, by ponownie poprosić o Twą rękę.*

*Myślę, że przed nami już tylko same dobre chwile.*

*Całuję Twoje kochane ręce.*

*Oddany Ci Rudi*

Zakleił kopertę. Gdy wychodził, by wrzucić list do skrzynki, na korytarzu spotkał panią Wendt, ubraną w szlafrok i nocny czepek.

— Ach, to pan, panie poruczniku — powiedziała z łagodnym uśmiechem.

— Wychodzę na chwilę. Chcę wrzucić list do skrzynki, pani radczyni.

— Myślałam, że może pan czegoś potrzebuje. Ale skoro nie, to dobranoc, panie poruczniku — powiedziała starsza pani i zniknęła w swoim pokoju.

Kronau uśmiechnął się i pomyślał:

— Moja obstawa czuwa dzień i noc, by mi się nie stała jakaś krzywda.

## IV

Hasso von Ried wyjrzał przez okno wagonu i wyciągnął w dół rękę do Rudolfa, który właśnie przyszedł na peron.

— Chciałem cię jeszcze raz pożegnać, Hasso, i powiedzieć, że wczoraj zaręczyłem się z panną Lottą Harder — Rudi był zachwycony, na twarzy promieniała mu radość.

— Życzę ci, przyjacielu, by całe szczęście świata było twoim udziałem. To miła wiadomość na odjezdnym. Wreszcie jesteś u celu.

— Rodzina pokonana i za kilka miesięcy ślub. Szkoda tylko, mój stary, że ciebie z nami nie będzie. Ani ciebie, Hasso, ani żadnego z naszych przyjaciół. Ty i Leon w Afryce, a Norbert wątpię, żeby zechciał opuścić swój zamek. Mógłbyś zapytać go przy okazji, czy nie zechciałby przyjechać na nasze wesele.

— Chętnie to zrobię, Rudi. Poinformuj mnie proszę o dokładnej dacie, chciałbym wam przysłać choć życzenia. A tymczasem złóż wyrazy szacunku ode mnie swojej narzeczonej. Żałuję, że jej nie znam, ale cóż zrobić.

— Dziękuję, Hasso. Lotta się ucieszy. Natomiast ty pozdrów Leona i Norberta. No, i napisz do mnie z Neuhausen. Jak długo tam zostaniesz?

— Do połowy kwietnia. 16 kwietnia odpływa mój parowiec.

W tym momencie pojawił się ordynans Hassa i podał mu przez okno plik gazet.

— Czy pan porucznik ma jeszcze jakieś rozkazy? — zapytał.

— Nie, Treutmann. Zajmij już swoje miejsce, a od czasu do czasu pokaż mi się w trakcie podróży.

— Według rozkazu, panie poruczniku!

— A więc będziesz towarzyszył porucznikowi von Riedowi? — zapytał ordynansa Rudolf.

— Tak jest, panie poruczniku.

— No, to życzę szczęśliwej podróży i wracajcie razem z twoim panem zdrowo do domu.

— Według rozkazu! — zaszalutował Treutmann — Dziękuję, panie poruczniku.

Gdy odszedł do swego wagonu, Rudolf rzekł:

— To poczciwy chłop, cieszę się, że będzie z tobą. Jest wierny i uczciwy. Warto takiego mieć przy sobie.

— Też tak sędzę. Gdy tylko dowiedział się o moim wyjeździe, zaraz zgłosił gotowość towarzyszenia mi. Mogę na niego zawsze liczyć.

— Podobnie jak ja na mojego Kreczmara. Będzie u nas służącym, gdy się ożenię.

Rozległ się gwizd lokomotywy. Był to sygnał odjazdu. Przyjaciele jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie. Pociąg ruszył bardzo powoli. Rudolf szedł chwilę równoległe z przedziałem Hassa, ale parowóz już się rozpędził, został więc w tyle i tylko machał ręką przyjacielowi, póki ten nie znikł mu z pola widzenia. Ruszył ku wyjściu, czując jakąś pustkę. Znowu coś się skończyło. Ostatni przyjaciel opuścił Berlin.

Przed dworcem złapał taksówkę i pojechał do dzielnicy Grünewald, gdzie mieszkała jego narzeczona z matką.

Służący zaprowadził go do salonu, w którym siedziały obie panie. Lotta poderwała się z fotela i, mimo karcącego spojrzenia matki, rzuciła mu się na szyję. Ucałował ją czule w policzek, a potem z pełnym szacunkiem schylił się do jej dłoni. Patrzyła na niego z miłością, zaróżowiona z wrażenia. Jej piękne, ciemne oczy błyszczały, a brązowożłote, falujące włosy spadały miękko na czoło. Trudno się dziwić, że Rudolf von Kronau bez reszty oddał serce tej pięknej dziewczynie.

Teraz przysła kolej na przywitanie z matką, która, z trudem ukrywając niechęć, podała mu ledwie końce palców i szybko cofnęła dłoń. Spojrzał na nią błagalnie.

— Czy pani wciąż gniewa się na nas, łaskawa pani? — zapytał.

— Pan zdaje się nie rozumieć sytuacji, panie von Kronau. Zdobył pan rękę mojej córki bardzo śmiałymi środkami i oczekuje pan ode mnie sympatii. Lotta swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem nie dała mi wyboru, choć niemal już obiecałam małżeństwo z nią hrabiemu Lötzw — odrzekła ze wzburzeniem.

— Ależ mam, hrabia ma prawie dwa razy tyle lat co ja. A do tego jest obrzydliwy — wtrąciła energicznie Lotta.

— On jest wytwornym, sympatycznym mężczyzną, moja droga. Jego rodzina bardzo ciebie chciała. No i zostałabyś przedstawiona na dworze.

— Ale byłabym arcynieszczęśliwa. Czy to nic dla ciebie, mamusi, nie znaczy?

— Ciekawa jestem, jakie szczęście znajdziesz w tym wymuszonym związku...

— Mam, ja tego pragnę — rzekła Lotta i spojrzała czule na Rudolfa. — Gdyby żył tatuś, nie odmówiłby mi zgody na małżeństwo z miłości. Zaakceptowałby Rudiego, jeśli bym go kochała tak bardzo.

Matka spojrzała na córkę z wyrzutem.

— Nie wiem, co zrobiłby twój ojciec — stwierdziła lodowato. — Gdyby dowiedział się, jak niehonorowo postąpiłaś. Dobrze, że nie doczekał tego strasznego dnia, by zawieść się, jak ja, na jedynym dziecku.

Lotta spoważniała. Zaczerpnęła głęboko powietrza i ujęła dłoń narzeczonego.

— Kochana mamó, nie zostawiłaś mi żadnego wyboru. Odmówiłaś uczciwym staraniom Rudolfa i zażądałaś, bym wyszła za człowieka, którego nie kocham. Dlatego właśnie Rudi miał zamiar wyjechać do Afryki. Takiego rozstania nie zniósłabym. Kocham go ponad wszystko — wyrzuciła z siebie Lotta, patrząc na matkę z nie ukrywanym wyrzutem.

— Zapłaciłaś za to najwyższą cenę, jaką zapłacić może kobieta. I tym dotknęłaś mnie najbardziej. Byłam dumna ze swojej córki i chciałam widzieć ją jak najwyżej. Dlatego odmówiłam panu von Kronau. Teraz czuję się głęboko zraniona i upokorzona.

Lotta z trudem powstrzymała łzy. Rudolf próbował ratować sytuację. Pocałował ją w rękę i rzekł:

— Nigdy nie zdołam wyrazić swojej wdzięczności za to, co dla mnie zrobiłaś. Jesteś najwspanialszą i najszlachetniejszą kobietą na świecie.

— Ponieważ ma szczęście być bardzo bogata. Gdyby była biedną dziewczyną, zostawiłby pan ją z jej wstydem.

Rudolf poderwał się z miejsca. Był oburzony. Lotta chwyciła go za rękę i popatrzyła prosząco.

— Zostawmy ten temat, Rudi. Mama z czasem inaczej spojrzy na to wszystko — rzekła.

— Nigdy! — krzyknęła niemal matka — Nie zapomnę wstydu, jakim okryła się moja córka. Nigdy tego nie zaakceptuję.

— Mamusiu, uspokój się. Nie dałaś mi wyboru. Pchnęłaś mnie do tego. Nie mogłam zrezygnować ze szczęścia.

— Gdybyś była wytrwała i opierała się długo, pewnie bym się w końcu zgodziła na ten ślub. Trzeba było mieć więcej cierpliwości. Boże, od początku coś mnie ostrzegało przed panem von Kronau... gdyby cię kochał naprawdę, nie wymagałby od ciebie takiej ofiary.

Lotta zbladła. Wstała i pociągnęła za sobą Rudiego w stronę matki.

— Więc dobrze, droga mamó — rzekła z wielką powagą. — Nasze zaręczyny są już ogłoszone, większość zawiadomień rozesłana, a Rudolf ma twoją zgodę. Wobec tego mogę ci oświadczyć, że list, który ci pokazałam, nie mówił prawdy.



Pani Harder spojrzała na nią nic nie rozumiejąc.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała.

— To był wybieg. Nie straciłam godności i Rudi tego ode mnie nie oczekiwał. Nie przyjąłby takiej ofiary, ręczę za to, bo bardzo mnie kocha i jest szlachetny. Nie chciał nawet napisać tego listu. Musiałam go o to długo prosić, błagać właściwie ze łzami w oczach. Ale to była jedyna droga, by uzyskać twoją zgodę. Treść listu znalazłam w pewnej książce. Palłam się ze wstydu, chodziło jednak o tak ważną rzecz, że nie mogłam dać za wygraną. Bałam się, żeby nie wyjechał. Musiałam posunąć się do tego strasznego fortelu, mamó, nie gniewaj się, proszę. Miałam wyjawić ci prawdę po ślubie.

— Trudno w to uwierzyć, droga Lotto — powiedziała pani radczyni z powątpiewaniem.

— Czy rzeczywiście jest to prawda?

— Ręczę słowem honoru, że to, co Lotta powiedziała, jest prawdą, łaskawa pani. Proszę i mnie wybaczyć tę komedię, zgodziłem się na nią, bo bardzo się kochamy i nie widzieliśmy innej drogi. Nigdy nie zgodziłbym się na większą ofiarę niż ta, którą dla mnie zrobiła, udając tylko. Wiem, co jestem winien miłości pani córki. Mam też pewność, że jestem tej miłości wart. Myli się pani sądząc, że chodzi mi o majątek. Nie mógłbym się ożenić z biedną dziewczyną, bo sam jestem biedny, a stan, do którego należę, wymaga pewnej reprezentacji. Mogę jednak zapewnić panią, że nie ożeniłbym się nawet z najbogatszą na świecie kobietą, gdybym jej nie kochał.

Wydawało się, że pani Harder wciąż nie wierzy, że był to jedynie podstęp. Patrzyła na oboje młodych z powątpiewaniem. Wtedy Lotta wybiegła z pokoju i po chwili wróciła niosąc list i jakąś książkę. Otworzyła ją i podała razem z listem matce.

— Spójrz, proszę, mamó. Porównaj to. To z tej książki przepisałam ten list. Słowo w słowo. Sprawdź, mamó.

Pani radczyni trzymała w dłoniach otwartą książkę i rozłożony arkusik papieru. Przenosiła wzrok z jednej kartki na drugą, jakby nie wierzyła własnym oczom. Potem podniosła głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w młodych. Znow zerknęła na list, potem na książkę i na jej twarzy pojawił się uśmiech. Znow mogła mieć zaufanie do córki. Spadł jej ciężar z serca. Ale uśmiech nagle zmienił się w niepohamowany szloch. Łzy spływały jej ciurkiem po policzkach i łkając wyciągnęła dłoń do ręki Rudolfa. Lotta przytuliła się do niej też bliska płaczu.

— Dzieci drogie. Chwała Bogu. Zraniliście mnie tą komedią, sprawiliście mi tyle bólu... Dzięki Bogu, że to nie jest prawda. Wybaczam wam to oszustwo. Bądźcie szczęśliwi. Nie czuję już złości do pana, drogi zięciu. Widzę, że prawdziwie pan kocha moją Lottę. Proszę dać radość i szczęście w życiu, wówczas uznam pana za syna i jak syna będę pana traktować.

Rudolf pochylił się do rąk starszej pani i ucałował je z wielką wdzięcznością i szacunkiem.

— Pragnąłbym nazywać panią matką — rzekł w uniesieniu. — Czy mogę? Zostałem osierocony w wieku dwunastu lat i zawsze brakowało mi matczynej czułości. A panią, łaskawa pani, pomimo jej niechętnego stosunku do mnie, zawsze bardzo szanowałem.

Pani Harder pomyślała nagle, że hrabia Lötzow z całą pewnością nie powiedziałby tak serdecznych słów. Może Lotta dokonała jednak dobrego wyboru. Objęła młodego oficera i pocałowała w czoło.

— Chcę być ci matką, synu, jeśli moja córka wybrała cię i będzie z tobą szczęśliwa.

— Będzie. Zrobię, co w mojej mocy, bo cudowna, dzielna, kochana Lotta na to zasługuje.

Rudolf podniósł się z klęczek, podszedł do Lotty i objął ją ramieniem. Wymienili czułe spojrzenie.

— Nareszcie zło minęło — szepnęła dziewczyna. — Mogę teraz naprawdę się cieszyć. Nie ma już na nas żadnego cienia.

Wszystko, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmieniło się na lepsze. Zasiedli do stołu i śmiejąc się omawiali plany na najbliższą przyszłość. Pani radczyni rozprawiała z zapalem o uroczystości zaręczynowej, którą miała zamiar zorganizować, a o której niedawno w ogóle nie chciała słyszeć. Młodzi najchętniej zrezygnowaliby z hucznych zaręczyn, ale w takiej chwili nie mogli nawet o tym wspomnieć. Promieniali radością.

Gdy po obiedzie zostali na chwilę sami, Lotta rzuciła się w objęcia Rudiego.

— Ach, kochany, jestem taka zadowolona, że mogliśmy już mamie wszystko powiedzieć. Te ostatnie dni były dla mnie niezmiernie ciężkie. Tak się lękałam, pokazując mamie list. Byłam przerażona i zawstydzona jednocześnie... Boże, co ja przeżyłam. A potem ten koszmar ze zgubioną torebką. Wydawało mi się już, że za chwilę stanie się coś naprawdę strasznego.

— Biedactwo moje — rzekł Rudolf i pogłaskał ją po policzku.

— To nie były żarty. Gdy zorientowałam się, że zostawiłam torebkę w taksówce, myślałam, że umrę. Jak to się właściwie stało, że znalazła się w rękach twego przyjaciela? Widziałam, że do tej taksówki wsiadała jakaś kobieta. To zupełna zagadka.

— No, cóż pewnie ta pani niczego nie zauważyła, a następnym pasażerem musiał być Hasso. Inne rozwiązania nie widzę.

— Rzeczywiście, to jedyne wytłumaczenie. Zgubienie torebki to dopiero początek, musiałam ją przecież potem odebrać. Najadłam się niezłego strachu, gdy wieczorem poszłam do pana von Rieda. Nie mogłam przecież wiedzieć, że zachowa się tak elegancko i nie narazi mnie na konieczność spotkania z nim. Musiał przeczytać ten list i chciał mi oszczędzić wstydu.

— Tak przypuszczam. Na pewno zajrzał do środka, musiał przecież dowiedzieć się czegoś o właścicielce, by móc zwrócić zgubę. Jakie szczęście, że nie było tam naszych imion.

— Chwała Bogu! Wyobraź sobie, że rozplakałam się, gdy ordynans wręczał mi zalakowaną kopertę. Doprawdy nie wiem, co zrobiłabym, gdybym musiała stanąć oko w oko z twoim przyjacielem. Musiałam iść do niego osobiście, nie mogłam ryzykować, by torebka znów dostała się w niepowołane ręce. Ty jej przecież odebrać nie mogłeś.

— Hasso wiedziałby wówczas, że to ja jestem autorem tego listu i mogłoby wyniknąć z tego jeszcze więcej komplikacji. Na szczęście też nie zdążyłem was sobie przedstawić, bo wtedy nawet najgrubsza woalka nie uchroniłaby cię przed rozpoznaniem. Nie myśl, że tylko ty przeżywałaś straszne chwile. Nawet nie wiesz, co czułem, gdy byłaś w drodze do niego. Przez cały wieczór jeszcze nie mogłem się uspokoić, choć już wiedziałem, że wszystko poszło dobrze. Obserwowałem pilnie Hassa, ale jestem pewien, że nie kojarzy mnie z tą sprawą. Po powrocie z Afryki już na pewno nie będzie pamiętał o historii ze zgubioną torebką.

— Nawet gdyby nie zapomniał, to nie wie przecież, że to ja ją zgubiłam — powiedziała z westchnieniem ulgi Lotta.

Rudolf popatrzył na nią z podziwem, przytulił i pocałował.

— Jesteś, Lotto, bardzo dzielna i nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo cię kocham. Mam do ciebie prośbę. Ofiaruj mi tę książkę, która przyczyniła się do naszego szczęścia. Będę często do niej zaglądał. List zaś, sama rozumiesz, musimy zniszczyć. Gdyby wpadł w niepowołane ręce, byłby dowodem na coś, co nigdy się nie zdarzyło. I niełatwo byłoby wytłumaczyć, dlaczego posunęliśmy się do takiego podstępu. Ten list zawsze mógłby rzucić na ciebie cień. Nie wolno nam ryzykować — to mówiąc Rudi wziął narożnik listu w dwa palce i podpalił przeciwległą krawędź papieru.

Po chwili zostały z niego jedynie zwęglone kawałeczki.

## V

Minęło już kilka tygodni pobytu Hassa u barona Norberta von Platena w zamku Neuholden, jednej z najpiękniejszych budowli w górach Taunus. Ale cudowne widoki i przemiła atmosfera nie zdołały rozproszyć przygnębienia, jakie wywoływał w nim przymusowy wyjazd do Afryki. Zawiadomił ostatnio wuja, że wsiada na statek 16 kwietnia i aż do tego dnia będzie gościem u swego przyjaciela. W odpowiedzi otrzymał jedynie krótką, nieuprzejmą informację, że jego długi zostaną spłacone tuż po wypłynięciu parowca z portu.

— Wuj chce mieć absolutną pewność, że wyruszę w tę podróż — skomentował z goryczą. — W przeciwnym razie nie będzie za mnie płacił.

Norbertowi z trudem mieściło się w głowie, że z powodu tak drobnej w jego mniemaniu sumy przyjaciel musi iść na wygnanie. A widząc, jak bardzo jest mu to nie w smak, żałował go z całego serca. Znał Hassa i wiedział, że nie jest hulaką i lekkoduchem. Nie rozrzucał pieniędzy na prawo i lewo. Zwykle żył tak skromnie, jak tylko było to możliwe przy jego pozycji. Tym bardziej nie mógł pojąć stanowiska ordynata von Rieda.

Siedzieli teraz przy szklaneczce wina w ośmiokątym pokoju, znajdującym się w zamkowej wieży.

— Szkoda cię na ten wyjazd, Hasso — rzekł Norbert — To nie ma sensu. Napisz swojemu ponuremu wujowi, żeby zachował pieniądze, a tobie dał wolną rękę.

— Genialne. A co z moimi wierzycielami? — Hasso skrzywił się i wzruszył ramionami na podobny pomysł.

— To żaden problem. Pożyczę ci, ile tylko potrzebujesz.

— A zastanowiłeś się, z czego ci zwrócę, drogi Norbercie?

— Nie spieszy mi się. Zwrócisz mi, kiedy będziesz mógł. Może zrobisz jakąś dobrą partię i pieniądze nie będą już problemem... Ktoś taki jak ty nie powinien mieć z tym kłopotów. Wystarczy, że wyciągniesz rękę.

Hasso podniósł w górę kieliszek i popatrzył pod światło na złotawy płyn. Uśmiechnął się smutno i odparł:

— Niestety, tu nic już się nie wymyśli. Chyba jednak wolę ćwiczyć w Afryce tępych rekrutów, niż sprzedać się tutaj.

— Kto powiedział, że masz się sprzedać? Nie wierzysz już w dobry los? Zawsze może się zdarzyć, że zakochasz się w pięknej milionerce, jak na przykład nasz przyjaciel, Rudi.

Hasso opróżnił jednym haustem kieliszek.

— Takie przypadki zdarzają się, mój kochany Norbercie, raz na sto lat. I to właśnie przypadło Rudiemu. Wykorzystał limit tego stulecia. Ja już nie mam szans.

— Rudi rzeczywiście wygrał los na loterii pod każdym względem. Tak wynika z jego listów — rzekł von Platen i z jakąś nostalgią spojrzął w okno. — Można mu tylko zazdrościć. Nie musi się kłopotać tym, czy jego żona ma dostateczną ilość dobrze urodzonych przodków. Nie to co ja. Ja nie mogę tak po prostu zakochać się i ożenić. Jestem ordynatem i nasze prawo wymaga, by moja wybranka była dobrze urodzona.

— Czy mi się zdaje, czy mówisz to z ciężkim sercem, Norbercie?

— Pytałeś mnie kiedyś, dlaczego tak nagle w zeszłym roku odszedłem ze służby. Powiem ci więc — westchnął przejmująco. — Otóż, chodzi o to, że mieszkając tutaj, jestem blisko Wiesbaden i mogę tam bywać, ilekroć przyjdzie mi na to ochota.

— A cóż takiego wyjątkowego jest w Wiesbaden?

— Mieszka tam pewna miła, śliczna dziewczyna, przy której mógłbym znaleźć szczęście. Poznałem ją w maju ubiegłego roku. Nazywa się po prostu Gerta Werner. Jej ojciec jest lekarzem, znakomitym profesorem, wybitnym znawcą w swojej dziedzinie. Ale Gerta, niestety, nie jest dla mnie. Nie mogę się z nią ożenić. I co mam z tym wszystkim począć? Zakopuję się tutaj, miotam po zamku, wściekam się na te idiotyczne prawa ordynacji... a potem tęsknota znów gna mnie do Wiesbaden, by ujrzeć ten niepowtarzalny błękit dziewczęcych oczu.

— Nieźle, biedaku, wpadłeś. To paskudna sytuacja.

— Mam nadzieję, że nie doświadczysz jej na własnej skórze.

— Nie rozumiem, co masz teraz na myśli. Jaki ja mam z tym związek?

— Musisz mieć żonę równą tobie urodzeniem.

— To dotyczy jedynie spadkobierców ordynata.

— Właśnie. A ty nim możesz zostać. Jeśli więc nie chcesz stracić prawa do tytułu ordynata Marwedel, musisz znaleźć sobie żonę równą urodzeniem.

— Ależ, Norbercie — roześmiał się Hasso — chyba upiłeś się tym kieliszkiem wina. Cóż ja mam wspólnego z ordynacją? Mój wuj, choć nie najmłodszy, jest jeszcze w pełni sił i zdrowia. Ma też krzepkiego syna, który może rwać drzewa z korzeniami bez żadnego wysiłku.

Riedowie zawsze byli silni, dobrze zbudowani, zdrowi. Może dlatego, że nasze rodzinne prawo zabrania związków małżeńskich z krewnymi. Kluczem do takiej kondycji jest być może stały dopływ świeżej krwi. Zareczam ci więc, że nie muszę żenić się z osobą równą mi urodzeniem, nie wchodzę w rachubę jako dziedzic ordynata.

— Co do tego nigdy nie można mieć absolutnej pewności. Twój wuj jest starym człowiekiem, a kuzyn może nie zostawić męskich potomków. Spadek dotyczy nie tylko ciebie, ale twoich synów, zakładając oczywiście, że będziesz ich miał. Twoje dzieci i dzieci twoich dzieci mogą być postawione przed koniecznością wykazania się pochodzeniem od rodziców o równie wysokim urodzeniu.

Hasso roześmiał się serdecznie.

— Człowieku, ależ ty jesteś dalekowzroczny. Nigdy nie myślałem o tak odległej przyszłości.

— Na moim miejscu myślałbyś podobnie. Choć muszę ci powiedzieć, że był już taki moment, że miałem zamiar zrezygnować z ordynacji i ożenić się z Gertą. Po matce mam wystarczająco duży majątek, by nie martwić się w życiu o pieniądze. Ale wtedy właśnie pomyślałem o moich dzieciach, którym takim czynem odebrałbym możliwość dziedziczenia tytułu, a tego mi zrobić nie wolno. Wniosek stąd jeden. Nie mogę żenić się z moją ukochaną Gertą, bo ona nie należy do mojej sfery.

— Niewiele słów pocieszenia mogę ci teraz powiedzieć. A i żadne mądre wyjście z sytuacji nie przychodzi mi do głowy. Nie ma co się oszukiwać, raczej nie ma dobrego rozwiązania tego kłopotu.

— Wiem o tym. I dlatego siedzę w mojej samotni, staję się powoli odludkiem i dziwakiem. Myślę nad tym, zastanawiam się. Bez rezultatu. Czasami tygodniami nie opuszczam zamku.

— Źle robisz, Norbercie. Powinieneś się nieco rozerwać. Choćby wyjeżdż gdzieś, przecież pieniądze nie mogą stanowić dla ciebie żadnej przeszkody.

— Wyjechać? Gdzie właściwie? I co bym robił w świecie pomiędzy obojętnymi, obcymi ludźmi?

— Norbercie, wcale mi się nie podoba twój stan — w głosie Hassa brzmiała troska. — Musisz stąd wyjechać. To według mnie jedyny ratunek dla ciebie. Jedź ze mną do Afryki.

Norbert jakby przez chwilę brał poważnie tę możliwość, zamyślił się na krótko, a potem energicznie pokręcił głową.

— Nie, Hasso, nie chcę znów być żołnierzem.

— Nie musisz. Możesz jechać jako turysta lub badacz. Masz tu dobrych urzędników, zadbają o wszystko w czasie twojej nieobecności. A ty w tym czasie zajmiesz się czymś innym. Norbert zastanawiając się tarł dłonią czoło.

— Przyznam, że nęcąca jest taka daleka podróż morską w twoim towarzystwie. Kto wie... może?

— Odnoszę, przyjacielu, wrażenie, że nie powinienem zostawiać cię tutaj samego.

Platen nappełnił puste już od dawna kieliszki i rzekł:

— Przyznaję, że jeżeli będę dłużej tak siedział w domu i przeżywał katusze, wpadnę w alkoholizm. Taki wyjazd byłby rzeczywiście jakimś wyjściem. Przyznam, że nie wpadłem na to. Kusisz mnie teraz... Nie, jednak nie, Hasso. Nie mógłbym się widywać z Gertą. Umierałbym z tęsknoty, a i ona zamartwiłaby się chyba na śmierć. Bo chociaż wie, że nie mogę jej poślubić, to kocha mnie ze szczerego serca. Właściwie oboje czekamy na cud. Coraz trudniej jednak uwierzyć, że się zdarzy. Nie mogę zostawić jej samej, Hasso. Ona mnie potrzebuje.

— No cóż, Norbercie, zmusić cię nie mogę, ale ani samotność, ani ta sytuacja ci nie służą. Obawiam się o ciebie. Zastanów się jeszcze raz nad moją propozycją, proszę. Odsobnienie cię niszczy.

— Wiem o tym. Dlatego tak nalegałem, żebyś mnie odwiedził. Zawsze łączyła nas serdeczna przyjaźń. Zresztą odkąd tu jesteś, dużo lepiej się czuję. Mam pomysł. Jedźmy jutro do Wiesbaden. Pokażę ci moją kochaną dziewczynę. Muszę ją zobaczyć, bo znów wpadnę w rozpacz.

Hasso wiedział, że powinien odradzić przyjacielowi tę eskapadę, ale nie zrobił tego.

## VI

Nazajutrz obaj panowie wybrali się samochodem do Wiesbaden. Na miejsce dotarli około południa i ulokowali się w hotelu *Nassauer Hof*.

Wieczorem w Domu Zdrojowym miał się odbyć uroczysty koncert, a zaraz po nim bal.

Dzień był cudowny, rześki, słoneczny. Odbyli więc długi spacer po parku. Gdy przechodzili koło kortów tenisowych, Norbert zatrzymał się i chwilę przyglądał grającym na nich paniom. Miał być może nadzieję, że zobaczy Gertę Werner. Nie było jej tam jednak. Odwrócił się zawiedziony i krok za krokiem, wolniutko poszli dalej. Czas według Norberta mijał zdecydowanie zbyt wolno. Nie mógł się już doczekać wieczora, będąc absolutnie pewnym, że spotka na koncercie i balu swoją Gertę.

— Zwykle widywaliśmy się w każdą pierwszą środę miesiąca — rzekł przerywając dłuższą chwilę milczenia.

Wieczór nareszcie nadszedł. Hasso założył cywilne ubranie i mogli już pójść przez długą kolumnadę do położonego niedaleko hotelu Domu Zdrojowego.

Koncert był znakomity. Hasso kochał muzykę i słuchał jej teraz z radością tym większą, że wiedział, jak długo przyjdzie mu czekać na następny koncert tej klasy. Tymczasem Norbert rozglądał się, próbując wypatrzeć wśród gości Gertę. Z niepokojem stwierdził, że nie ma jej na sali.

Rozpoczął się bal. Paniom w bajecznie kolorowych, wieczorowych toaletach towarzyszyli wyfraczeni panowie. Hasso i Norbert przystanęli tuż koło wejścia do sali balowej i bacznie przyglądali się przechodzącemu koło nich towarzystwu. Po przeciwnej stronie widzieli otwarte na oścież drzwi do winiarni. I choć muzyka zagrała już do pierwszego tańca, wielu panów zmierzało w tamtą stronę. W ogromnym holu było wciąż tłoczno, sporo par jeszcze przechadzało się tutaj, kilka pań zbiło się w kupkę i o czymś w podnieceniu rozmawiało. Hasso spojrzał na przyjaciela i dostrzegł niepokój na jego twarzy. Patrzył jak zahipnotyzowany na drzwi wejściowe, w których stanął właśnie jakiś postawny, siwiejący pan za spiczastą bródką. Za nim pojawiły się dwie panie, starsza i młodsza. Były niezwykle do siebie podobne i Hasso mógł przypuścić, że to matka i córka. Na twarz Norberta wypłynął radosny uśmiech.

— Pewnie to jego ukochana Gerta — pomyślał Hasso i ze zdumieniem stwierdził, że uśmiech von Platena nagle zgasł.



Spojrzał w stronę nowo przybyłych i obok Gerty ujrzał wysokiego, szczupłego blondyna w okularach. Mógł mieć około trzydziestki. Spoglądał na dziewczynę jakimś dziwnie zamglonym wzrokiem i mówił coś z ożywieniem. Gerta wyglądała cudownie świeżo i pięknie. W swojej sukni z białego jedwabiu, miękko spływającej w dół, leciutkiej, ulotnej, kojarzyła się z dziecięcymi wyobrażeniami wiosny. Hasso kątem oka obserwował przyjaciela. Ten stał chwilę jak skamieniały, po czym ruszył nagle sprężystym, szybkim krokiem w kierunku towarzystwa.

Powitano go szalenie uprzejmie, ale raczej chłodno. Gerta zarumieniła się pod jego spojrzeniem i spuściła głowę. Najwyraźniej była zakłopotana. Hasso miał wrażenie, że dostrzegł w jej oczach poczucie winy. Gdy podawała przy powitaniu Norbertowi dłoń, była zazdrośnie obserwowana przez towarzyszącego jej mężczyznę. Norbert odwrócił się w stronę Hassa i ten wiedział już, że powinien podejść, by przyjaciel mógł dokonać prezentacji. Okazało się, że wysoki blondyn, doktor Alvensleben, jest asystentem profesora Wenera. Norbert szybko przestał zwracać na niego uwagę i patrzył już wyłącznie na Gertę. Hasso wiedział, że marzy teraz o możliwości porozmawiania z nią na osobności. Chętnie pomógłby mu, nie wiedział jednak jak. Tymczasem Norbert sam sobie poradził. Skłonił się przed dziewczyną i poprosił ją do walca. Zawahała się. Spojrzała pytająco na doktora Alvenslebena, który nerwowo zagryzł wargi.

W końcu skinęła głową i położyła dłoń na ramieniu Platena. Ruszyli do sali balowej.

— Gerto! Droga Gerto! Tak tęskniłem za panią — rzekł z egzaltacją. — Gnałem tu jak na skrzydłach, a potem cały wieczór martwiłem się, że nie zjawi się pani. Na szczęście stało się inaczej.

— Ostrożnie, baronie von Platen — wyszeptała rozglądając się lękliwie. — Ktoś jeszcze to usłyszy.

Hasso, który pozostał przy rodzicach Gerty, prowadził teraz z nimi grzecznościową rozmowę i jednocześnie śledził ruchy przyjaciela. Czuł, że nie wszystko idzie po jego myśli. Również doktor Alvensleben obserwował tańczącą parę. Ze zdenerwowania aż skubał koniec swego jasnego wąsika. Był wyraźnie zazdrosny.

Tymczasem Norbert po skończonym walcu odprowadził pannę Werner do rodziców. Hasso był zaskoczony, że nie poprosił jej o następny taniec. Spojrzał na zaczerwienioną twarzyczkę dziewczyny i nie wiedział, czy rumieniec jest wynikiem zmęczenia, czy też może jego powodem jest coś zupełnie innego. Natomiast twarz Norberta przypominała gipsowy

odlew. Wyglądał strasznie, poszarzały, spięty. A jego oczach czaił się obłęd. Hasso przestraszył się nie na żarty.

— Dziwne — pomyślał. — Musiało się coś stać.

Ale naprawdę zdumiał się dopiero, gdy usłyszał słowa żegnającego się w pośpiechu Norberta.

— Przyjechałem tu tylko na chwilę. Pragnąłem się z państwem zobaczyć, by powiedzieć do widzenia. Wybieram się właśnie w długą podróż i nie chciałem odjeżdżać bez pożegnania.

Profesor zachował kamienną twarz, jego żona jednak zarumieniła się zakłopotana. Gerta spoglądała w bok, chyba bała się spojrzeć na Norberta. Jej błękitne oczy pociemniały i stały się szkliste. Tylko doktor Alvensleben odetchnął z ulgą. Hasso zaś zachowywał się tak, jakby słowa przyjaciela zupełnie go nie zaskoczyły. Znakomicie odgrywał komedię udając, że wiadomość o podróży znana jest mu od dawna, a krótki pobyt w Wiesbaden zaplanowany. Cudownie tuszował zaniepokojenie starannie ukrywanym przez Norberta wzburzeniem i przyszedł w sukurs przyjacielowi, rzucając parę wesołych słów. Norbert próbował trafić w ten ton, ale wyszło to sztucznie i mało wiarygodnie. Wtedy z odsieczą przyszedł profesor, pytając o szczegóły podróży i wykazując tym nadmierne zainteresowanie. Sytuacja była już tak niezręczna, że Norbert mógł tylko, wymawiając się pośpiechem, zarządzić szybki odwrót. Ucałował z wielką atencją rękę pani profesorowej, wymienił przyjacielski uścisk dłoni z profesorem, sztywno uklonił się doktorowi, po czym zwrócił pełne cierpienia oczy na Gertę.

— Życzę pani dużo szczęścia — rzekł z trudem, a w jego głosie zabrzmiała jakaś bolesna nutka.

Skłonił się wszystkim i kładąc rękę na ramieniu Hassa popchnął go lekko w stronę wyjścia.

— Chodź prędko — powiedział ochryple — Proszę, wyjdźmy stąd.

Pogodna melodia menueta zadźwięczała dziwnie fałszywie i Hasso pomyślał, że jest w tym jakieś szyderstwo, gdy idąc za umykającym przyjacielem, dojrzał kątem oka ruszającą w taniec z doktorem Alvenslebenem Gertę. Uśmiechała się radośnie. Dostrzegł to też Norbert, który jeszcze raz odwrócił się w kierunku sali, chcąc zobaczyć ukochaną. Zagryzł wargi i zachwiał się. To był ciężki cios. Wziął się jednak w garść i szybkim krokiem popędził do szatni. Hasso ledwie mógł za nim nadążyć. Ubrali się bez słowa i wyszli na zewnątrz. Tutaj Platen się zatrzymał. Siły całkiem go opuściły. Oddychał ciężko. Hasso podtrzymał go pod ramię i przerażony zapytał:

— Norbercie, co z tobą?

Ten, wzburzony, łapał oddech płytkimi haustami, próbując zaczerpnąć głębiej powietrza. W oczach czaiło mu się szaleństwo. Westchnął przejmująco, a potem nagle wybuchnął głośnym, niepohamowanym śmiechem.

— Wszystko w porządku, drogi Hasso — rzekł wreszcie trochę się uspokoiwszy. — Wszystko w porządku. Nic się nie stało. To tylko wesołe intermezzo i gorzkie rozczarowanie. Rozwiane nadzieje, stracone złudzenia. Pomyliłem się co do niej, ale to nic wielkiego. Może zbyt wiele oczekiwałem.

Hasso pokiwał ze współczuciem głową.

— Biedaku. Widziałem, jak to przeżyłeś. To smutne, ale przecież trzeba żyć dalej.

Platen roześmiał się, ale nie było w tym śmiechu wesołości, tylko gorycz i ironia.

— Tak do niej tęskniłem, tak czekałem na to spotkanie... sądziłem, że ona czuje to samo co ja. Gdy trzymałem ją w tańcu w objęciach, myślałem, że świat jest cudowny, szczęśliwy. Tymczasem przy pierwszym okrążeniu usłyszałem, że mam być ostrożny, tak by nikt nie mógł przypuścić, że mówiliśmy ze sobą kiedyś o miłości. A przy drugim okrążeniu, drogi przyjacielu, powiedziała mi, że zaręczyła się dzisiaj z tym młodym doktorem. Wprawdzie jeszcze nieoficjalnie, ale jutro zaręczyny zostaną ogłoszone. Przy trzecim okrążeniu stwierdziła, że powinienem być rozsądny i brać z niej przykład. Jeśli nie mogę się z nią ożenić, to nie mam prawa oczekiwać od niej, by pozostała panną do końca życia. Nie ukrywa, że bardziej wolałaby zostać moją żoną niż tego jasnowłosego doktora, ale skoro nie jest to możliwe, to wyjdzie za tamtego. Gdy oniemiały zupełnie przysłuchiwałem się jej słowom, chyba do końca ich nie rozumiejąc, ona spojrzała na mnie z filuternym uśmiechem i stwierdziła, że pewnie niebawem zrobię to samo co ona. Znajdę sobie żonę ze swojej sfery i nawet nie będę o niej po jakimś czasie pamiętał. Czy to nie jest wesoła historyjka, Hasso?

Hasso bezradnie wzruszył ramionami. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Przecież Norbert pod tą maską krył teraz ból i naprawdę wielkie rozczarowanie. Tymczasem ten objął go przyjacielskim ruchem i z pozornym spokojem dodał:

— I z powodu czegoś takiego przeżywałem zgryzoty i męczarnie. Jedźmy do domu. Wiesbaden źle na mnie działa. Jeśli zostanę tu dłużej, wyrwę ją jeszcze z ramion tego doktora... Czy zauważyłeś, Hasso, jak uroczo uśmiechała się do tego mydłka zaraz po wydaniu na mnie wyroku? — szczęki Norberta zacisnęły się w nerwowym skurczu. Był teraz wściekły.

— Opanuj się! — jęknął Hasso. — Ona nie jest tego warta.

Norbert von Platen był zupełnie rozdygotany. Rozpacz, rozczarowanie, złość, bezsilność, upokorzenie sprawiały, że w mgnieniu sekundy zmieniał się jego nastrój. Teraz roześmiał się znów szyderczo i zawołał głośno:

— Jest wesoło! Jest bardzo wesoło, przyjacielu. Jadę z tobą do Afryki. Może pocieszy mnie tam jakaś dziewczyna z plemienia Kaffrów. Może będzie miała więcej serca niż panna Werner. Bo ta udawała przecież tylko, że mnie kocha. Nie tak chyba wygląda prawdziwa miłość. Oto i mam ten cud, Hasso, na który tak czekałem.

I wolnym krokiem ruszyli do hotelu. Po drodze Hasso żałował w duchu przyjaciela. Pomyślał o Rudim, któremu tak się udało i przyszło mu do głowy, że nie ma sprawiedliwości w świecie uczuć. Nic jednak nie powiedział. Wiedział, że teraz najlepszym lekarstwem dla Norberta jest milczenie.

Po dwóch godzinach byli znów w zamku Neuhausen. Nikt nie spodziewał się ich tutaj tak szybko.

— Nie miej mi za złe, Hasso, że porzucę cię teraz. Jestem piekielnie zmęczony, byłbym kiepskim towarzyszem — rzekł Norbert i szybko wycofał się do swojego pokoju.

Hasso też poszedł do siebie, ale jeszcze długo nie kładł się do łóżka. Godzinę niemal siedział zadumany przy otwartym oknie. Papierosowy dym płynął w ciemność delikatną mgiełką i zmieniał zapach wiosennego powietrza. Myślał o miłości. Sam nie wiedział, dlaczego przyszła mu do głowy właścicielka złotej torebki, a potem list. Ta kobieta oddała się ukochanemu mężczyźnie z miłości i dla miłości... To nie to samo co Gerta Werner. Rozsądna i przewidująca. Nie może być z ukochanym, więc wychodzi za mąż za innego. Która z tych dwóch kobiet bardziej zasługiwała na miłość? Na pewno Gerta Werner byłaby oburzona na postępowanie tamtej... Może i miałyby rację... A przecież Hasso musiał przyznać, że nieznajoma z Berlina naprawdę głęboko kochała i nie cofnęła się przed niczym.

Rano Norbert zjawił się na śniadaniu blady, zmęczony, ale opanowany i zupełnie spokojny. Było jasne, że ma za sobą trudną, bezseną noc.

— Lepiej mi się nie przyglądaj, Hasso — powiedział na wstępie. — Wyglądam strasznie, wiem. Ale skończyłem raz na zawsze z tą sprawą. Do licha, kosztowało mnie to trochę, ale teraz już koniec. Dość. Jak sądzisz, czy można po czymś takim stracić rozum?

— Prawdę mówiąc, Norbercie, nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Nigdy nie byłem tak zakochany. Drobne miłostki, małe flirciki, owszem, ale taka głęboka, wielka miłość to nie. Nie mam doświadczenia. Z drugiej strony nigdy bym nie podejrzewał cię o takie zaangażowanie.

Norbert uśmiechnął się mdło.

— Sam nie wiem, jak do tego doszło. Nie wiadomo kiedy, nie wiadomo jak i okazało się, że ją ubóstwiam. Miałem ją niemal za świętą. Uważałem za swój ideał. Wczoraj dopiero okazało się co, to za ideał. A ja głowiłem się ciągle, jak to zrobić, by nasze drogi mogły się połączyć. W tym czasie ona z zimną krwią układała sobie plany małżeńskie za moimi plecami. A oznajmiła mi to dopiero po fakcie. I ja w takiej osobie ulokowałem swoje najczystsze uczucia. Byłem niemądry.

— Nie chcę cię pocieszać, Norbercie, ale coś mi się wydaje, że nie była to z twojej strony prawdziwa miłość. Widziałeś w niej kogoś innego, byłeś zauroczony, ot i wszystko.

— I tak mogło być. Któż to wie. Zostawmy jednak ten temat, muszę się sam uporać z tym problemem.

— Nie sądzę, byś potrzebował na to zbyt wiele czasu. A teraz powiedz mi, czy rzeczywiście poważnie myślisz o towarzyszeniu mi? Czy może już zmieniłeś plany?

— Obstawiam przy tym, co powiedziałem wczoraj wieczorem. Jadę z tobą. Samotność mi teraz nie odpowiada.

— Nawet nie wiesz, jaką radość sprawia mi ta nowina. Zmiana dobrze ci zrobi, a mnie będzie miło mieć takie towarzystwo.

I przyjaciele zaczęli snuć plany na najbliższą przyszłość, omawiać szczegóły podróży i sprawy, jakie mieli w związku z tym do załatwienia. Po śniadaniu napisali do Rudolfa list, by zawiadomić go, że Norbert nie będzie mógł wziąć udziału w uroczystościach weselnych, wyjeżdża bowiem do Afryki. Przez cały dzień Hasso nie odstępował przyjaciela na krok. Nie chciał zostawiać go samego. Starał się przy tym rozpraszać jego smutne myśli.

## VII

16 kwietnia od nabrzeża odbił parowiec i wolno, mozolnie jakby pokonując opór wody, skierował się na otwarte morze. Dwaj przyjaciele stali na pokładzie i wsparci na relingu wbili wzrok w znikający skrawek lądu. Milczeli.

Rano nieoczekiwanie zjawił się na statku kuzyn Hassa.

— Nie chciałem, byś odjechał bez pożegnania — powiedział. — Wymogłem na ojcu parę wolnych dni, choć krzywił się, sarkał na koszty i narzekał. Bez trudu pewnie możesz sobie wyobrazić tę scenę. Znasz go dobrze. Jest oszczędny do przesady, ale nie jest zły. Sprawy finansowe są dla niego najważniejsze.

Hasso roześmiał się.

— Ależ, kuzynie, nie musisz bronić swego ojca. Pieniądze są jego i może robić z nimi, co mu się podoba.

— To prawda, ale myślę, że ma ich wystarczająco dużo, by nie robić z twoich wydatków problemów. Trochę mi wstyd za ojca i przykro, że , ciągle stawiał ci mnie za wzór gospodarowania pieniędzmi. Tymczasem ja nawet nie mam gdzie ich wydawać. W Marwedel nie potrzebuję gotówki, mimo to poprosiłem ojca jakiś czas temu, by dawał mi większą pensję i, o dziwo, nie odmówił. Odkładałem więc tę nadwyżkę, nie gniewaj się, z myślą o tobie. Przyjmij więc, proszę, tę skromną sumę, może ci się przydać — to mówiąc wyjął zwinięty rulonik brunatnych banknotów i patrząc na Hassa błagalnie wcisnął mu je do ręki.

Hasso wzruszył się. To był naprawdę ładny gest ze strony Kurta.

— Zawstydzasz mnie, drogi kuzynie — rzekł. — Wybacz, ale nie mogę przyjąć tych pieniędzy.

— Hasso, weź te pieniądze, ja ich naprawdę nie potrzebuję, a tobie mogą ułatwić życie — Kurt miał minę nieszczęśliwego dziecka i mówił niemal płaczliwie. — Zrobisz mi ogromną przykrość odmawiając. Obrazisz mnie.

Hasso znów się roześmiał.

— Gdyby cię teraz widział twój ojciec...

— Na Boga, Hasso — przestraszył się tamten. — Mój ojciec nie może się o tym dowiedzieć. Już wcześniej chciałem ci raz na jakiś czas posyłać jakąś sumkę, ale po cichu nie można było tego zrobić. Co by było, gdybyś chciał odesłać pieniądze? Strach pomyśleć. Ojciec wywołałby taką awanturę, że prawdziwe piekło mogłoby okazać się oazą spokoju. Dlatego

nigdy tego nie zrobiłem. Ale teraz nic nam nie zagraża, więc przyjmij te pieniądze i daj mi zgodę, bym w przyszłości mógł przekazywać ci swoje finansowe nadwyżki. Nie będą to jakieś ogromne sumy, ale zawsze zwiększą twój budżet. Jest mi tak wstyd, że z powodu tak niewielkiej kwoty ojciec zmusza cię do wyjazdu na koniec świata.

Hasso łagodnie poklepał kuzyna po ramieniu.

— Jakoś to będzie, nie martw się.

— W pewnym sensie czuję się odpowiedzialny za twoje wygnanie. Gdybym wydawał więcej, ojciec dał by ci porównywalną sumę i nie musiałbyś zaciągać długów.

— Nie dręcz się takimi myślami. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Właściwie cieszę się z powodu tego wyjazdu. Nie jest wykluczone, że i tak zgłosiłbym się na ochotnika na kilka lat. To może być ciekawa przygoda. Denerwował mnie tylko przymus. A więc daj mi tę forszę. Może ją jakoś udźwignę. Wielkie dzięki. Porządny z ciebie chłopak.

Kto wie, czy nie powinienem cię teraz przeprosić za moje myśli o tobie. *Zdarzało* mi się sądzić cię niezbyt sprawiedliwie. Kurt uśmiechnął się szeroko i rzekł z ulgą:

— Spadł mi kamień z serca. Długo wahałem się, czy odważyć się na taki czyn. Bałem się, że nie przyjmiesz pieniędzy i będziesz głuchy na wszelkie argumenty.

— Mężczyzna musi umieć na wszystko się odważyć — odpowiedział żartobliwie Hasso.

— Łatwo ci mówić, bo nie możesz pojąć, że taki wielki jak ja chłop może być aż tak bojaźliwy. Twój ojciec wychowywał cię tak, byś miał silną wolę. A od dwudziestego roku życia musiałeś decydować o sobie. Mnie natomiast nieustannie odmawiano prawa do stanowienia o sobie, uzależniano, wychowywano w uległości i tym sposobem stałem się człowiekiem o słabej woli, zastraszoną. Ech, co tu gadać... — Kurt skrzywił się i machnął ręką.

— Trochę w tym prawdy, twój ojciec jeszcze dziś traktuje cię jak dziecko.

— Zupełnie nie radzę sobie z moim staruszkiem. Zupełnie mnie zdominował. Ale wiem, że chce dla mnie dobrze i to powstrzymuje mnie przed buntem. Ale nie po to tu jechałem taki kawał, żebyśmy rozmawiali o moich problemach z ojcem. To niezbyt wesoły temat, skończmy więc z nim. W takim razie umawiamy się, że jak tylko będę mógł, będę ci posyłał jakieś pieniądze, a ty nigdy nie wspomnisz o tym w liście.

— Do Afryki nie musisz mi nic posyłać. Jestem przekonany, że starczy mi tam to, co będę miał. Nie odmówię natomiast pomocy finansowej po moim powrocie do pułku. W

Berlinie życie jest tak drogie, że nie sposób nie wpaść w długi, gdy ma się tak skromną subwencję.

— Mogę sobie to wyobrazić. A tak swoją drogą, Hasso, to myślę czasem, że ty lepiej nadajesz się na ordynata niż ja. Coś mi się wydaje, że ja do śmierci zostanę zwyczajnym hreczkosiejem, który nigdy nie będzie umiał reprezentować starego, dobrego rodu. W zasadzie nie potrafi tego i mój ojciec. Niech Bóg mu da długie życie. Kocham go z wszystkimi jego wadami kaprysami. Ale gdy go zabraknie, zabezpieczę cię tak finansowo, byś mógł godnie sławić przed światem nasze nazwisko.

Kurt mówił z zapalem, twarz miał zaróżowioną, blond włosy rozwiane. Hasso spoglądał na kuzyna tak, jakby dopiero teraz go poznał. Odkrywał jego, nieznaną mu dotąd, naturę.

— To zadziwiające, Kurcie, jak mało cię znałem — rzekł po chwili. — Miałem cię za obłudnego, wzorowego chłopaczka. Nie sądziłem, że kiedykolwiek powiesz mi coś takiego. Wybacz mi moje złe o tobie zdanie.

— Nie mam ci czego wybaczać. Skąd mogłeś wiedzieć, jaki jestem naprawdę. Właściwie się nie znaliśmy. Poza tym miałeś powody, by mnie nie lubić. Trudno darzyć sympatią kogoś, kogo ciągle stawiają za nieosiągalny dla ciebie przykład, za wzór do naśladowania. Nikt nie pomyślał nawet, że to ciebie powinni mi wskazywać jako ten wzór. Cieszę się, że mogliśmy sobie od serca porozmawiać. Wreszcie koniec z nieporozumieniami.

— Ja też się cieszę. I dziękuję ci za pomoc i wszystkie ciepłe słowa, które mi dziś powiedziałeś.

Nadszedł Norbert von Platen i zmienili temat rozmowy. Gawędzili we trzech aż do sygnału do opuszczenia parowca przez gości. Pożegnali się wylewnie. Hasso czuł, że z tym obcym dotąd kuzynem połączyła go nagle serdeczna więź.

— Dziękuję ci za wszystko — powiedział Hasso, gdy Kurt stał już na trapie. — Pozdrów ojca i zamelduj mu, że naprawdę odpłynąłem. I dopilnuj, by moi wierzyciele otrzymali swoje pieniądze. Zawierzyli mojemu honorowi i nie chciałbym, by zostali oszukani. W większości są to drobni handlarze.

— Możesz na mnie liczyć. Wszystkiego dopilnuję. Do widzenia, Hasso.

— Bywaj zdrow, Kurt!

Jeszcze ostatni uścisk dłoni i kuzyni rozstali się. Kurt zszedł na nabrzeże, przystanął i z uśmiechem pomachał do nich ręką.



— Nie doceniałem go, Norbercie. Skrzywdziłem porządnego człowieka — powiedział Hasso patrząc w dół na Kurta.

— Robi wrażenie uczciwego i prostodusznego — stwierdził Norbert.

— I taki właśnie jest. Wstyd mi teraz na wspomnienie, jak z przekąsem nazywałem go w myślach „ten grzeczny Kurtuś”.

— Tak już jest, mój drogi. Jednego nie doceniasz, drugiego przeceniasz — rzekł gorzko Norbert.

Teraz parowiec był już na pełnym morzu, a oni stali jeszcze w milczeniu, oparci o barierkę.

— Chodź, Norbercie — rzucił wreszcie lekko Hasso. — Przejdziemy się po pokładzie i przyjrzymy naszym współpasażerom.

Norbert przystał na to nad wyraz chętnie i ruszyli spacerowym krokiem, z zaciekawieniem rozglądając się wokół. W pewnym momencie ujrzeni kobiecą postać w żałobie, sztywno wyprostowaną, samotną. Podeszli bliżej. Była to młoda osoba. Stała zamyślona i wpatrywała się w wodę. Usłyszała ich kroki i odwróciła głowę. Na ślicznej, bladej twarzyczce widniały ślady łez, a oczy miała smutne, ciemnobrązowe, ze złotymi światełkami na dnie.

Hasso przystanął zdumiony. Trudno mu było w to uwierzyć. Zawahał się sekundę, a potem szybkim krokiem podszedł do smutnej pasażerki.

— Chyba mylą mnie oczy — rzekł. — Jestem zaskoczony pani obecnością na tym statku.

— Nie myli się pan, panie von Ried. To ja. Ale jestem tak samo jak pan zdziwiona, że pana tu spotykam.

— Płynę do Afryki, łaskawa pani. Nie chcę być wścibski, ale nie mogę nie zapytać o pani smutek i żalobę.

— Ciężko mi o tym mówić. Parę tygodni temu straciłam matkę. Jadę teraz do brata, który czeka na mnie na swojej farmie. Poza nim nie mam już nikogo na świecie — powiedziała z trudem opanowując płacz.

— Nie było mnie ostatnio w Berlinie, toteż nic nie słyszałem o śmierci pani matki. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. To bolesny cios. Jedzie więc pani do Leona?

— Tak. Myślę, że znajdę tam zajęcie i ojczyznę.

— Proszę wybaczyć, że nie przedstawiłem jeszcze pani mojego serdecznego przyjaciela. Oto baron von Platen. Był on też przyjacielem i kolegą pułkowym pani brata.

Norbert, który pozostał parę kroków z tyłu, podszedł teraz i skłonił się nisko młodej damie.

— Drogi Norbercie — kontynuował prezentację Hasso. — Poznaj, proszę, baronównę von Holms, siostrę naszego przyjaciela Leona, która również płynie do Afryki.

— Proszę nie traktować mnie jak nieznajomego, łaskawa pani — powiedział Norbert pochylony w niskim ukłonie.

Lena von Holms uśmiechnęła się ciepło.

— O, nie. Pańskie nazwisko jest mi bardzo dobrze znane. Mój brat wymieniał je często i zawsze nazywał pana przyjacielem. Nie znałam tylko pana osobiście, tak jak panów von Rieda i von Kronaua.

— To dla mnie wielki zaszczyt nareszcie panią poznać. Wiele rozmawialiśmy ostatnio o Leonie i jechaliśmy z nadzieją, że uda nam się go spotkać — mówiąc to Norbert nie odrywał oczu od dziewczyny, której twarzyczka prawdziwie go zafascynowała.

— Leon będzie z całą pewnością rad, że może zobaczyć się z przyjaciółmi. Czy panowie zostanieie w Afryce dłużej? Czy jesteście przydzieleni do jakiejś jednostki?

— Tylko mój przyjaciel, Hasso. Ja jadę tam dla przyjemności i towarzystwa.

— Dla przyjemności? Do Afryki? — spytała z niedowierzaniem odgarniając z czoła niesforny kosmyk włosów. — Ja drzę ze strachu na samą myśl o tej podróży. Boję się tam jechać.

— A mimo to jedzie pani?

— Nie mam wyboru. Lepiej być z bratem w najstraszniejszym nawet miejscu niż samej w Niemczech. W gruncie rzeczy boję się wszystkiego. Jestem strachliwą istotą.

Norbert był wzruszony tymi słowami, a tymczasem Hasso poczuł się zobowiązany do opieki nad tą przerażoną dziewczyną.

— Musi nam pani pozwolić opiekować się sobą podczas podróży. Zapewnimy pani pełne bezpieczeństwo — powiedział.

— Chętnie — odparła z dziecięcą radością. — Będę spokojna w towarzystwie panów. Mój brat ucieszy się z takiego obrotu spraw. Nie mógł po mnie przyjechać ze względów finansowych. Nie stać nas na podwójne koszty podróży. Nie jest tajemnicą, że po śmierci naszego ojca zostaliśmy w trudnej sytuacji. Leon musiał rozstać się z wojskiem, bo przestał mu przysługiwać dodatek pieniężny. Na szczęście w tym samym mniej więcej czasie Leon odziedziczył po kuzynie ojca niewielki kapitalik i zainwestował go w tę farmę w Afryce.

— Z listu Leona wiem, że farma zaczyna powoli przynosić zyski — skomentował Platen.

— Kupił ją tanio, bo była bardzo zaniedbana. Potem musiał ciężko pracować, by doprowadzić ją do porządku. Jest wytrwały i pracowity, więc zaczyna dawać to efekty. Postawił na hodowlę bydła. Ma na swoim terenie wystarczającą ilość wody, by przetrzymać duże stado w czasie suszy.

— O tym również wiemy z listów. Leon często do nas pisuje — zauważył Hasso.

— Jakie to dziwne, że panowie płyną tylko we dwóch. Szkoda, że nie ma pana Rudolfa. Gdyby i on tu był, mój brat miałby przyjaciół w komplecie. Znam jednak powód jego nieobecności. Na krótko przed śmiercią mojej mamy dowiedziałam się o jego zaręczynach z panną Charlottą Harder.

— Czy zna pani osobiście tę panią?

— Tak, spotykałam ją u naszych przyjaciół.

— Mnie niestety nie udało się poznać panny Harder. Wyjechałem z Berlina dzień po ich zaręczynach.

— Z całą odpowiedzialnością mogę panu powiedzieć, że pański przyjaciel trafił na wyjątkowo godną osobę. Pomimo ogromnego majątku Lotta jest skromna i naturalna. A na dodatek jeszcze piękna. Czy można chcieć więcej?

— Taka pochwała liczy się podwójnie. Kobiety oceniają kobiety bardzo krytycznie.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Oczywiście to nie jest regułą — zaczął się wycofywać. — Chciałem jedynie podkreślić, że wydała pani bardzo pozytywny sąd o pannie Harder.

Moi państwo — wtrącił się do rozmowy Norbert — odłóżmy ten temat na później i przygotujmy się do obiadu. Już najwyższy czas. Spodziewam się, że wyświadczy nam pani honor i zje pani w naszym towarzystwie.

Zawahała się.

— Nie wiem, czy to wypada. Bez damy do towarzystwa?

— Jest przecież pani pod naszą opieką. Pod opieką przyjaciół pani brata i w żadnym innym towarzystwie nie mogłaby się pani czuć tak bezpiecznie jak w naszym — rzekł Hasso z przekonaniem.

— Ma pan rację, panie von Ried. Bezwarunkowo składam na ręce panów troskę o moje bezpieczeństwo i dobre imię.

— Postaramy się nie zawieść pani zaufania — skłonił się szarmancko Norbert i odszedł wydać dyspozycje w sprawie stolika w sali jadalnej.

Tymczasem Hasso odprowadził pannę Lenę do jej kabiny.

— Żal mi tej biednej dziewczyny — powiedział, gdy spotkał się po chwili z Norbertem w ich kajucie. — Jedzie do Afryki z ciężkim sercem. Nie dziwię się zresztą, cóż to bowiem za miejsce dla takiej młodej, pięknej kobiety. Zupełnie nie mogę wyobrazić jej sobie na odludnej farmie Leona. Na jakie trudy i niewygody może być narażona.

— Niewykluczone, że wyobrażasz sobie to wszystko gorzej, niż jest w rzeczywistości. Zresztą tam będzie z kimś bliskim, pod opieką brata, w rodzinnej atmosferze. Gdyby została w Niemczech, los mógłby jej ofiarować jedynie uzależnienie od różnych ludzi i ich łaski. Dobrze znam sytuację tej rodziny. Za życia ojca rozszedł się prawie cały ich majątek, musieli bowiem żyć na wysokiej stopie ze względu na stanowisko, jakie zajmował. Pieniądzy było mało, a stare, dobre nazwisko zobowiązywało. Myślę, że dla panny von Holms wyjazd do brata jest najlepszym wyjściem.

Norbert poprawiając krawat przyglądał się własnemu odbiciu w lustrze z pewną zadumą.

— Najgorzej będzie dla niej — dodał — gdy Leon się ożeni. Wtedy miejsce tego biedactwa na farmie będzie stało pod znakiem zapytania. Zostanie pewnie sprowadzona do drugorzędnej roli osoby zupełnie zbytecznej. Żal mi jej. Jest piękna, subtelna, delikatna i bezradna wobec życia.

„Już nieraz ze współczucia zrodziła się miłość — pomyślał Hasso. — Może mój dobry Norbert znajdzie pocieszenie szybciej, niż sądzi. Najlepszym lekarstwem na zawód miłosny jest nowe uczucie”.

## VIII

W sali restauracyjnej parowca Norbert zamówił dobry stół na trzy osoby. Dwaj przyjaciele stali teraz przy drzwiach i czekali na Lenę von Holms. Baron von Platen trzymał w dłoniach piękną wiązaną kwiatów, którą steward dostarczył mu na zamówienie.

Pojawiła się Lena ubrana w skromną, jedwabną, czarną sukienkę z zakrytym dekoltem. Zakłopotana okryła się rumieńcem, gdy Norbert wręczył jej bukiet.

— Panie baronie, musimy wykluczyć takie grzeczności — powiedziała nieśmiało.

— Tylko dzisiaj pozwoliłem sobie na to, panno von Holms. Chciałem jakoś uczcić nasze spotkanie.

— Wiem, że pana intencje są dobre. Dziękuję bardzo. Krępuje mnie to jednak.

Ruszyli do stolika. Większość pasażerów siedziała już na swoich miejscach. Przyglądano się z zaciekawieniem trójce młodych ludzi przemierzających salę. Panie zazdrościły Lenie towarzystwa dwóch najbardziej interesujących kawalerów na statku. Szczególnie Hasso zbierał tęskne kobiece spojrzenia. Nikt z całej trójki nie zauważył jednak uwagi, z jaką śledzono ich kroki. Byli pochłonięci ożywioną rozmową.

Panowie wzięli sobie za punkt honoru rozweselić nieco doświadczoną tak bardzo przez los dziewczynę. Czasem nawet udawało się im wyczarować na jej ustach uśmiech. Ten uśmiech szczególnie przypadł do gustu Norbertowi, przechodził więc samego siebie, by choć na sekundę pojawił się na jej twarzy. Wydawało się, że zupełnie zapomina przy tym o swoich własnych kłopotach. Lena ujmowała go swoją bezradnością. Miała jakiś cudowny, niepowtarzalny urok.

Widząc zaangażowanie przyjaciela, Hasso usuwał się w cień. W trakcie tej podróży młodych łączyć zaczynała coraz ciaśniejsza więź, stawali się sobie bliscy. Mieli wspólne tematy, wspólne poglądy i zainteresowania. Na życie patrzyli podobnie i mogli godzinami gawędzić, nie nudząc się ani przez sekundę. A wszystko działo się zupełnie naturalnie. Hasso cieszył się, że jest świadkiem rodzącego się uczucia. Starannie unikał zakłócenia tej miłej, serdecznej atmosfery i gdy tylko nadarzała się okazja, zostawiał ich samych. Norbert coraz częściej łapał się na tym, że gdy nie ma koło niego tej bladej, cichej dziewczyny, czegoś mu bardzo brakuje. Któregoś wieczora, kładąc się do łóżka, sam siebie zapytał szeptem, gdzie podziała się rozpacz po stracie Gerty Werner? Co się stało z tym strasznym cierpieniem, gdy odkrył, że go porzuciła? Gdzie podział się ten fizyczny niemal ból, który sprawiał, że noce miał

bezsenne i złe? Uświadomił sobie, że naprawdę poznał Gertę dopiero wtedy, gdy ukazała mu swoją małość, powierzchowność i niezdolność do głębokiego uczucia. Tak rzadko się spotykali, że jego wiedza o niej była chyba tylko projekcją jego pragnień. On po prostu wymyślił Gertę, widział ją taką, jaką chciał zobaczyć. Z Leną to coś zupełnie innego. Byli ze sobą stale, poznawali się w ciągu długich rozmów, spacerów po pokładzie, podczas posiłków. Otwierali przed sobą swoje serca, ukazywali swoje charaktery w zwykłych sytuacjach, żadne nie miało zamiaru wywierać wrażenia na drugim.

Hasso przyglądał im się z serdeczną radością przyjaciela, który widzi, że obie strony lgną do siebie i że ich uczuciu nie zagraża żadna zdrada.

Towarzystwo na statku było różne. Byli tacy, którym nie powiodło się w Europie i szukali teraz nowych możliwości w koloniach. Tych należało unikać. Było kilku oficerów, przełożona misji, która wracała po urlopie w Niemczech, był znany kupiec, który chciał otworzyć w Windhuku wielki dom towarowy, byli jacyś urzędnicy. Płynął też z nimi pan Deckmann, syn pewnego milionera, z żoną. Opowiadał każdemu, kto chciał go słuchać, o swojej luksusowej posiadłości. Był czerstwy, tryskający zdrowiem, ubrany elegancko, ale prezentował się nie najlepiej. Twierdził, że nie sposób wyglądać dostojnie i wytwornie, gdy ma się taki zadarty nos.

— Gdybym miał inny kształt nosa — mawiał — wyglądałbym wspaniale. Ale wszyscy w naszej rodzinie mieli takie nosy i nic nie da się na to poradzić. To jest dziedziczne. Pewien znany profesor chciał przeprowadzić na mnie operację i gwarantował mi nos o kształcie klasycznym, ale rzecz wydała mi się nader niepewna. Chciał mi wstrzyknąć parafinę, a przecież przy upale parafina może się roztopić. A ja w końcu stale przebywam w tropikach. To zbyt ryzykowne. Chodzę więc nadal z moim zadartym nosem. Ładnemu chłopcu we wszystkim ładnie. Kobiety za mną szaleją. Wystarczy spojrzeć na moją żonę. Nigdy nie widziałem piękniejszej i na dodatek ma bogaty spadek, a kocha mnie. I cóż tu gadać?

Usta mu się nie zamykały. Był wyjątkowo gadatliwym człowiekiem. Rozpierała go przy tym duma z powodu urody jego żony, która rzeczywiście była piękną kobietą. Zjawiskowo piękną Brazylijką o gorącym temperamentem. Oczy miała smolście czarne i brzoskwiniową cerę. Wiedziała o wrażeniu, jakie wywiera na mężczyznach, i korzystała z tego kokietując bez umiaru. Hasso wpadł jej wyraźnie w oko i uwodziła go z pasją.

Na początku, znudzony długą podróżą. Hasso wziął udział w tej grze. Gdy jednak zauważył, że ta ognista kobieta idzie na całość, stał się ostrożniejszy i starał się jej unikać. Pan

Deckmann jednak zaślepiiony zupełnie i wierzący w uczucie żony nieustannie doprowadzał do sytuacji, że musieli się spotykać. Nie widział nic groźnego w kontaktach pani Deckmann z młodym, przystojnym oficerem. Nalegał też, by Hasso i Norbert odwiedzili go w jego posiadłości i nie ustąpił, dopóki mu tego nie przyrzekli. Doszło też do zawarcia znajomości z Leną von Holms i wtedy też okazało się, że farma *Ilona* znajduje się w niedużej odległości od *Holmsecku*. Tak właśnie Leon nazwał swój majątek ziemski. Pan Deckmann znał zresztą Leona osobiście i prowadził z nim interesy. Ale ten bogacz nie omieszkał przy okazji zaznaczyć, że w żaden sposób nie da się porównać posiadłości Leona i z jego. *Holmseck* jest tylko małą farmą, wchodzącą klinem w jego ziemie, i gdyby Leon chciał kiedyś ją sprzedać, chętnie ją od niego odkupi. Pan Deckmann miał jednak jeszcze resztkę taktu, by te uwagi zrobić w czasie nieobecności Leny. Poza tym zachowywał się wobec niej niemal grubiańsko, traktując ją tak konfidencjonalnie, jakby był najlepszym przyjacielem jej brata. Lena była tym szalenie skrepowana i czuła się bezradna wobec człowieka o takim braku kultury. Spoglądała często na Norberta wzrokiem błagającym o uwolnienie jej od tego towarzystwa. Nie mogła pojąć, jak ta piękna, elegancka pani Ilona mogła żyć z człowiekiem pozbawionym dobrych manier.

— Wobec takich ludzi jestem bezradny — powiedział jej kiedyś Norbert. — Są tak bezkrytyczni wobec siebie i rozbijająco naiwni, że nie sposób nawet im coś przykrego powiedzieć. Będziemy mogli mówić o wielkim szczęściu, jeśli uda nam się do końca tej podróży utrzymać dystans i nie przejść z tym panem na „ty”. On ma mentalność i sposób bycia komiwojażera. Ma się zamiar go wyprosić, a żegna się z nim przyjacielskim uściskiem dłoni, wcześniej zrobiwszy wielkie zamówienie. Tacy ludzie osiągną wszystko, czego chcą. Musimy więc ich traktować z przymrużeniem oka i bawić się tą sytuacją. Nie ma innego wyjścia.

— Spróbuję zastosować się do pana rady, choć często czuję się zmęczona tym i zawstydzona — uśmiechnęła się Lena. — Ten pan jest czasem wyjątkowo nietaktowny. Ale pani Deckmann za to jest sympatyczną i interesującą osobą. Wydaje mi się tylko, że ma zbyt dużo temperamentu.

— W odpowiedniej odległości można z nią wytrzymać — dorzucił Norbert.

— Zdumiewa mnie, że tak piękna, zamożna i dobrze wychowana istota wyszła za tego prostaka. Trudno uwierzyć, że go kocha.

— Nikt nie wie, jak to jest naprawdę. Jakiś powód musiała mieć. Być może mąż, którego owija się wokół palca, jest wygodny.

— Jakież to obrzydliwe.

— Widzę, że nie chciałyby pani wieść prymu w małżeństwie.

— Nie. To smutne mieć męża za nic. Pragnęłabym podziwiać mężczyznę, za którego bym wyszła.

— A jakie to musi być przykre dla mężczyzny, gdy żona go nie szanuje...

Nadszedł Hasso w towarzystwie państwa Deckmannów i musieli przerwać tę rozmowę.

Poza niedogodnościami wynikłymi z powodu towarzystwa pana Deckmanna podróż przebiegała przyjemnie. Norbert z prawdziwą radością zauważał, że blada twarzyczka Leny nabierała kolorów, a oczy blasku. Natomiast Hassa cieszył widok zadowolenia i wesołości przyjaciela.

## IX

Baronowa von Hartenfels znów mieszkała w swoim majątku. Każdorazowo po powrocie z Berlina cieszyła się, że może spędzać czas w domu. Gdyby nie to, że należało wprowadzać córkę do towarzystwa, nie wyjeżdżałaby stąd w ogóle. Carry myślała podobnie. W Berlinie było ciekawie, owszem, teatry, opera, spotkania towarzyskie, mnóstwo nowych twarzy, ale brak było czasu, by pomyśleć o sobie, by cieszyć się pięknem otaczającego ją świata. Dworskie uroczystości zresztą były bardzo nudne. A teraz jest już w domu i może się cieszyć widokami gór. Wróciła do konnych przejażdżek. Cwałowała samotnie na swoim kasztanie przez rozległe połacie leśne, które ciągnęły się szerokim pasem pomiędzy Hartenfels i Marwedel. Naturalną granicę tych posiadłości stanowiła wysoka, zalesiona góra. Jej północne i wschodnie stoki należały do ordynata von Rieda, zaś południowe i zachodnie do rodziny von Hartenfels. Z tego wzniesienia znakomicie widać było zarówno zamek w Marwedel z jego siedmioma wieżami, jak i pałac w Hartenfels, tonący w kwiatkach, którymi obsadzony był szeroki taras.

Domostwo ordynata von Rieda nie robiło miłego wrażenia. Ta ogromna budowla z zamkniętymi w większości okiennicami wydawała się nie zamieszkana. Oszczędzono tu nawet na służbie. Przeciwnieństwem jej był pałac baronowej Hartenfels, kipiący barwami, radosny w swoim wystroju, jasny i przestronny. Znać tu było staranie ludzi, którzy kochają piękno i harmonię.

Gospodarstwa po śmierci żony ordynata doglądała zrzędliva, ale niezmiernie pracowita pani Wohlgemut. Pomiedzy nią i panem von Riedem dochodziło do ciągłych utarczek, można właściwie powiedzieć, że żyli w stanie nieprzerwanej wojny. Te nieustanne napięcia łagodził ze



wszystkich sił Kurt, który jako dobroduszny pośrednik zbierał baty od jednej i od drugiej strony. Uzyskać zgodę, choćby chwilową, pomiędzy tym dwojgiem ludzi o wybuchowych charakterach, było właściwie zadaniem niewykonalnym.

Następnego dnia po powrocie z Hamburga, gdzie pożegnał właśnie wypływającego w rejs do Afryki Hassa, wczesnym rankiem wyruszył na objazd pól. O tej porze roku wszyscy mieli tu ręce pełne roboty. Jego ojciec miał dziś znów atak podagry i nie mógł mu towarzyszyć. Pani Wohlgemut starała się ze wszystkich sił nieść swemu panu ulgę w cierpieniach i podawała mu coraz to inne leki, robiła zimne kompresy, a że miała w tych sprawach duże doświadczenie, było pewne, że za kilka dni ordynat znów stanie na nogi. Najtrudniejsze chwile przeżywała przy masażu, bowiem cierpiąc przy tym strasznie, pan von Ried obrzucał ją najgorszymi określeniami. Jego złość potęgowało to, że w tych dniach nie otrzymał nawet kropelki wina. A trzeba tu powiedzieć, że dobre wina i cygara były jego jedyną zbytkowną przyjemnością. Pani Wohlgemut, surowa pielęgniarzka, głucha była na wszelkie jego prośby i zakłęcia. Poila go natomiast ziołami i wodą. Chciał czy nie, musiał poddawać się jej zabiegom. Atmosfera była jednak po prostu straszna i Kurt zachwycony umykał na pola, by cieszyć się spokojem, swobodą i piękną przyrodą. Kurt należał do ludzi, którzy mają rzadką cechę, cieszą się ze wszystkiego, co niesie im los.

Prace polowe przebiegały bez zakłóceń. Wszystko było w należyтым porządku, ludzie pracowali dobrze, pogoda sprzyjała. Uznał więc, że czas wracać do domu. Zawrócił konia i wjechał na leśny dukt. W oddali ujrzał kobiecą postać na zgrabnym kasztanowatym wierzchowcu. Od razu zgadł, że to Carry von Hartenfels. Pogonił konia i szybko znalazł się obok niej. Zdjął dżokejkę mówiąc:

- Dzień dobry, panno Carry. Ależ mam dzisiaj szczęście!
- Dzień dobry. A cóż pana tak uszczęśliwiło, panie von Ried?
- Spotkanie z panią, oczywiście. Jak się pani miewa?
- Świetnie, jak zawsze.
- Czy przywykła pani znów do wiejskiej ciszy po hałaśliwym Berlinie?
- Wydaje mi się, że nigdy stąd nie wyjeżdżałam.
- Naprawdę? I nie zmieniła się pani ani troszeczkę?

To pytanie zaniepokoiło ją. Czy rzeczywiście pobyt w Berlinie nie pozostawił w niej żadnych śladów? Nie mogła w tym momencie nie wspomnieć o młodym oficerze, który na ulicy pomógł jej rozplątać bransoletkę. Wywarł na niej duże wrażenie i choć była o to na siebie

zła, to jej myśli wracały do niego dość często. Miała przed oczami jego twarz promieniującą energią i jasne spojrzenie oczu. Pamiętała tak dobrze każdy szczegół, że mogła narysować jego portret. Nie wiedziała, biedna, o co ją posądzał ten przystojny młodzieniec. Nie знаła przecież historii zgubionej torebki ani treści znalezionej w niej listu. Nie przypuszczała też, że ten mężczyzna jest kuzynem Kurta von Rieda i znajduje się teraz na płynącym do Afryki statku.

— Nic takiego nie zdarzyło się w Berlinie, panie von Ried, co miałyby mnie zmienić — odparła nie całkiem zgodnie z prawdą.

Odetchnął z wyraźną ulgą.

— Chwała Bogu. Bałem się, że się pani zaręczy. Teraz znów przez parę miesięcy będę mógł żyć w spokoju i nadziei.

— Drogi przyjacielu — powiedziała lekko zarumieniona. — ile razy mam pana jeszcze prosić, by nie poruszał ze mną tego tematu?

— Nie może mi pani przecież odmówić nadziei, że zmieni pani kiedyś zdanie — w niebieskich oczach Kurta tliła się prośba.

Carry nie chciała go łudzić i oszukiwać. Była przekonana, że nigdy nie zmieni zdania na temat swojego małżeństwa z Kurtem von Riedem.

— Zdawało mi się, że powiedziałam panu wystarczająco jasno, że nasz ślub nie wchodzi w rachubę.

— Owszem, powiedziała pani. Ale bez tej cichej nadziei na odmianę pani postanowienia nie mógłbym żyć. Moje marzenie pewnego dnia może się spełnić. Będę na to cierpliwie czekał. Czy pamięta pani, panno Carry, co nam przepowiedziała Cyganka na jarmarku w Mieritz?

Carry zniecierpliwiona trochę strąciła pejczem wiszącą nad jej głową gałązkę.

— Ależ panie von Ried, nie wierzy pan chyba w takie głupstwa.

— Wierzę. To była cudowna i dziwna wróżba.

— Przecież to była sprytna oszustka, szukała naiwnych.

— Jest to tak samo możliwe jak to, że miała dar jasnowidzenia. A ponieważ przepowiedziała mi coś, co mi odpowiada, więc jej wierzę. Pamiętam słowo w słowo. Rzekła pani, że los powiezie panią za wysoką górę do zamku z siedmioma wieżami. Zostanie pani panią tego zamku i będzie do końca życia szczęśliwa.

— Nie trzeba wielkiej sztuki, by to wymyślić. Wiedziała, kim jesteśmy, znała okolicę, a ponieważ byliśmy razem, mogła przypuszczać, że łączą nas uczucia. Oto dar jasnowidzenia.

— Proszę nie drwić z przepowiedni. Głęboko wierzę w to, że wejdzie pani któregoś dnia do zamku o siedmiu wieżach, do zamku Marwedel jako jego pani. Nie może pani w nieskończoność opierać się mojej miłości. Zresztą i mnie przepowiedziała, że kobieta, którą kocham, do śmierci będzie przy mnie, będzie mnie całować, trzymać za ręce i płakać nade mną. Z tego wynika jasno, że zostanie pani moją żoną, panno Carry. Wiara w to trzyma mnie przy życiu. Wszystko to spełni się na pewno. Nikt nie będzie kochał pani bardziej niż ja. Siłą tej miłości zdobędę w końcu panią. Jestem cierpliwy i będę czekał.

— Niechże pan będzie rozsądny — powiedziała Carry wydymając usta. — Zachowuje się pan jak dziecko. Przecież gdybym została pańską żoną, nie byłby pan wcale szczęśliwy. Dręczyłabym pana. Pan jest zbyt dobry, zbyt wyrozumiały, stałabym się przy panu prawdziwą wiedźmą, złą, nieznośną ksantypą.

— To jest niemożliwe. Znam panią. Stosuje pani to jako wykręt. Ale nie będę pani przynaglał, do niczego nie będę przymuszał. Pewnego dnia pani serce samo znajdzie do mnie drogę, drogę do mnie i do zamku z siedmioma wieżami.

Wzruszyła ramionami. Było jej żal tego naprawdę wspaniałego, łagodnego mężczyzny, który jednak nie był dla niej idealnym kandydatem na męża. Westchnęła.

— Drogi przyjacielu, najpewniej byłoby to wielkim dla mnie szczęściem, gdybym mogła pana pokochać. Ale do miłości zmusić się nie mogę.

— To nadejdzie samo, panno Carry. Proszę tylko się nie bronić. Ale nie będę już pani dłużej męczył. Czy zechce mi pani pozwolić odprowadzić się kawalek?

— Jeśli obieca mi pan, że zmienimy temat rozmowy.

— Przyrzekam, że dziś już nie wspomnę o tym.

Ruszyli w kierunku Hartenfels. Kurt, który nie oznaczał się zbyt dobrą postawą, obok smukłej, wytwornej panny wyglądał podwójnie niekorzystnie. W siodle trzymał się źle, a ubranie na nim leżało fatalnie i zdradzało taniego krawca.

— Słyszałam, że był pan w Hamburgu — zagała Carry.

— Tak, chciałem pożegnać kuzyna. Mój ojciec wysłał go do Afryki z powodu długów, które zaciągnął. Uważam, że to nie był szczęśliwy pomysł. Trudno mi sobie wyobrazić go w koloniach.

Carry domyśliła się, że chodzi mu o syna mężczyzny, którego niegdyś, w czasach panińskich, kochała jej matka.

— Czyżby brakowało mu odwagi? — zapytała.

— Wprost przeciwnie, odwagi ma za dziesięciu. To energiczny, śmiały, nawet zuchwały człowiek. Gdyby pani widziała, jak on jeździ konno, jak trzyma się w siodle... To morowy chłop. Może zaimponować każdemu. Jest mądry, interesujący, wytworny, zawsze podziwiałem go po cichu. Prezentuję się przy nim jak wiejska szkapą przy koniu pełnej krwi. Ma tylko jedną wadę.

— Jakąż to? — zainteresowała się.

— Nie ma majątku. Jest biedny, choć zdecydowanie lepiej nadawałby się na ordynata niż ja. Lepiej pasowałby do naszego zamku i wprowadziłby tu inne porządki. I takiego człowieka mój ojciec skazuje na wygnanie dlatego tylko, że w ciągu paru lat wpadł w niewielkie długi. Ojciec wydzieliał mu tak małe sumy, że nie był w stanie za nie przeżyć. Berlin jest bardzo drogi. Jest w tym pewna niesprawiedliwość. Ani ojciec, ani ja nie mamy szczególnych predyspozycji do godnego reprezentowania naszego rodu, za to mamy ordynację i ogromny majątek. Mój kuzyn zaś ma wszelkie dane, by być ordynatem, natomiast jest biedny niczym mysz kościelna.

— Jest pan człowiekiem wielkiego serca, drogi przyjacielu. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie powie pan tego wszystkiego swojemu ojcu.

Kurt aż podskoczył na koniu na taką sugestię. Był przerażony podobnym pomysłem.

— Mój Boże — jęknął. — co też pani mówi? Powiedzieć coś podobnego mojemu ojcu? To zakrawa na szaleństwo. Na to odważyłaby się może jedynie pani Wohlgemut.

Carry roześmiała się, choć miała teraz smutne potwierdzenie swojego przekonania, że nigdy nie powinna zostać żoną tego człowieka. Był dobry, ale słaby. Nigdy i w niczym nie sprzeciwiłby się swemu ojcu. Jej życie stałoby się pewnie piekłem w zamku tego despotycznego starca u boku zniewolonego przez niego mężczyzny. Odpędziła jednak złe myśli i lekko rzekła:

— Tak, o ile wiem, pani Wohlgemut jest twarda, wygadana i niczego się nie boi.

— Ma pani rację — zawtórował jej śmiechem Kurt. — Sam nie wiem, jak to się dzieje, ale znakomicie radzi sobie z moim ojcem. Robi z nim, co chce. A on próbuje jej się odwdziżyć złośliwością. Gdy się kłócą, można niejedno usłyszeć. Czasem wygląda na to, że za chwilę wezmą się za łby. Dziś rano znowu było piekło. A mimo to dziwnym obrotem spraw szanują się. Nie radziłbym nikomu powiedzieć cokolwiek złego na panią Wohlgemut przy ojcu i odwrotnie. Wygląda na to, że ta nieustanna wojna domowa potrzebna jest im do życia jak powietrze do oddychania. Gdyby ojcu zabrakło tych emocji, pewnie podupałłby na zdrowiu.

— Jeśli tak, to dlaczego pan nie zdobędzie się na dostarczenie mu emocji swoim sprzeciwem?

— Widzi pani, panno Carry — uśmiechnął się z zakłopotaniem Kurt — mnie łączą z ojcem zupełnie inne więzy niż panią Wohlgemut. Myślę zawsze, że byłoby mu bardzo przykro, gdybym wystąpił przeciwko niemu. Mój sprzeciw nie mógłby być traktowany w kategoriach drobnej utarczki. Byłby buntem. Ojciec może kłócić się z gospodynią, ale nie z synem. To miałyby naprawdę inny wymiar i mogłoby mu zaszkodzić. Nie przywykł do tego. Poza tym nie potrafię żyć na stopie wojennej z kimkolwiek, a co dopiero mówić o ojcu.

— Jest pan zbyt dobry i łagodny, już panu to przecież mówiłam. Boję się, że nie przyniesie to panu nic dobrego. Ludzie będą tę dobroć wykorzystywać.

— W moim przekonaniu, panno Carry, nie ma ludzi zbyt dobrych. Tego jest zawsze za mało, a nigdy za dużo. Gdyby ludzie kochali się i darzyli szacunkiem, świat byłby naprawdę cudowny — powiedział z naiwną wiarą, że w gruncie rzeczy jest to możliwe.

— To mrzonki, zresztą byłoby pięknie, ale nudno. Nie próbujmy zmieniać świata. W człowieku jest i dobro, i zło; tak zostaliśmy stworzeni i tak widocznie musi być. Dobry Bóg urządził to wszystko i tylko on wie w jakim celu. A wracając do pańskiego kuzyna. Odplynął już do Afryki?

Kurt potwierdził to skinieniem głowy.

— Odjeżdżał z ciężkim sercem?

— Trudno powiedzieć. On potrafi znakomicie maskować swoje uczucia. Musi pani go koniecznie poznać. Jestem skłonny pokusić się o stwierdzenie, że nigdy pani nie spotkała tak interesującego człowieka.

— W takim razie żałuję, że nie udało mi się dotąd poznać pańskiego kuzyna — uśmiechnęła się Carry z pewnym pobłażaniem.

Nie wiedziała przecież, że poznała Hassa von Rieda i to właśnie on wywarł na niej tak niezatarte wrażenie. Gdyby wiedziała to wszystko, przyklasnęłaby pewnie pochwałą, jakie na jego cześć wygłaszał Kurt, który nie spuszczał teraz z niej oka. Nie mogła też znać myśli, które przyszły mu właśnie do głowy. Musiał przyznać, że ta piękna dziewczyna bardziej pasowałaby do Hassa niż do niego. Odetchnął z ulgą, że kuzyn jest w tej chwili daleko i że przez najbliższe dwa lata jego pojawienie się w Marwedel nie pokrzyżuje mu szyków. Może przez ten czas Carry jednak zdecyduje się wyjść za niego. Kurt był jednak człowiekiem tak prostodusznym i otwartym, że nie mógł nie powiedzieć teraz:

— Myślę, panno Carry, że Hasso jest jedynym człowiekiem, który mógłby okazać się niebezpieczny dla spokoju pani serca. Dlatego w gruncie rzeczy jestem rad, że nie poznała go pani. Nie miałym wówczas żadnych szans.

Jej głośny śmiech zwielokrotniło leśne echo.

— A co będzie, gdy go poznam i stwierdzę, że mi się nie podoba?

— Mam taką nadzieję. Życzę memu kuzynowi jak najlepiej, mógłbym mu nawet oddać ordynację, tylko nie oddam mu jednego...

— Stop! Mieliśmy nie rozmawiać na ten temat — powiedziała szybko Carry. — W przeciwnym razie odjadę i zostawię pana tutaj, w środku lasu, samego. Mówmy więc o czymś innym.

— Przepraszam. Niewiele brakowało, a nie dotrzymałbym przyrzeczenia. Czy mógłbym wprosić się dzisiaj do Hartenfels na filiżankę herbaty?

— Oczywiście, panie von Ried. Mama ucieszy się bardzo.

— A pani?

— Ja również, pod jednym warunkiem wszakże. Zjawi się pan u nas jako dobry przyjaciel, a nie pretendent do mojej ręki.

— Na moją przyjaźń może pani zawsze liczyć.

— W takim razie oczekujemy pana po południu. A teraz powinniśmy się już pożegnać.

— Odprawia mnie pani?

— Myślę, że powinien pan zajrzeć do chorego ojca, może potrzebuje pańskiej pomocy.

— Może odprowadzę panią jeszcze kawaleczek, panno Carry — poprosił po dziecięcemu.

— Czekałaby pana długa droga naokoło, a mnie żal pańskiego biednego konia — zażartowała.

— No cóż, widzę, że moje prośby na nic się nie zdadzą i muszę się z panią pożegnać. Mówię więc do zobaczenia, panno Carry.

Podąła mu rękę.

— Do widzenia, drogi przyjacielu — rzekła. — Proszę przekazać ode mnie pozdrowienia pańskiemu ojcu.

— Dziękuję. To wprawi go w dobry humor. On rad by widzieć w pani swoją synową.

— Należy wybaczać starym ludziom ich dziwactwa — powiedziała zbyt okrutnie i zaraz uśmiechem starała się zatrzeć przykre wrażenie, jakie wywołały na Kurcie jej słowa.

Spięła konia i odjechała, a Kurt długo za nią spoglądał. W drogę powrotną ruszył dopiero, gdy znikła mu zupełnie z oczu.

Już przed zamkiem usłyszał podniesione głosy. Ojciec i pani Wohlgemut znów się kłócili. Wszedł z głębokim westchnieniem. Naraz wypadła do holu czerwona ze złości gospodyni. Huknęła drzwiami tak, że aż cały zamek zadrżał w posadach.

— Stratuje mnie pani, pani Wohlgemut — zażartował Kurt. — Co się znowu stało?

— Pański szanowny tatuś znów dostał ataku szału — powiedziała dysząc ciężko.

— Przecież to atak podagry. On cierpi. Człowiek, którego coś boli, nie jest sympatyczny dla otoczenia. Musi mu to pani wybaczyć — próbował ją udobruchać.

— Człowiek musi umieć się opanowywać. Wszyscy cierpimy. To żadne tłumaczenie.

— To piękne — roześmiał się. — A jak to było ostatnio z bólem zęba, pani Wohlgemut?

Popatrzyła na niego trochę zawstydzona, a potem machnęła ręką.

— Ból zęba to coś zupełnie innego — powiedziała broniąc się.

— Rzeczywiście. Ból zęba atakuje głowę, a podagra nogi. Ale na tym różnica się kończy. Ból to ból i tyle.

— Pan jak zwykle trzyma stronę ojca.

— Niestety, nieustannie muszę gasić pożary, które wywołujecie. Wiecznie jestem między młotem a kowadłem i zawsze ktoś może zarzucić mi stronniczość. To niewdzięczna rola, proszę mi wierzyć. Idę teraz do ojca.

— Znakomicie i proszę przemówić mu do rozsądku. Znów żądał ode mnie szklaneczki wina. Jeszcze czego! Ma pić wodę mineralną i koniec. Inaczej atak nigdy się nie skończy i wszyscy tu z nim zwariujemy.

— Nie dam mu wina, może być pani spokojna — odparł i wszedł do pokoju ojca, który siedział wściekły w fotelu. Chorą nogę miał owiniętą kocem i opartą na poduszkach.

— Uwolnij mnie wreszcie od tej strasznej baby — rzekł jadowicie. — Ona mnie zabije tym swoim gadaniem albo utopi w wodzie mineralnej. Tego nie wytrzyma żaden człowiek.

— Uspokój się, ojcze. Nerwami sobie szkodzisz — próbował łagodzić Kurt, ale tylko tego trzeba było starszemu panu. Na twarz wystąpiły mu hektyczne plamy i aż się cały trząsał w bezsilnej złości.

— Uspokój się? — krzyczał. — Jak tu być spokojnym. Szkodzi mi? A czy nie będzie mi bardziej szkodzić, gdy będę tłumiał gniew? Tę babę Bóg mi stworzył chyba za karę, uszczęśliwił mnie nią za grzechy chyba.

— Na polach wszystko w porządku, ojciec — szybko zmienił temat Kurt.

Stary ordynat połknął haczyk i zaczął zadawać pytania o konkretne gospodarskie sprawy. I gdy już wydawało się Kurtowi, że wszystko pójdzie dobrze, ojciec zwrócił się nagle do niego:

— A może byśmy tak, synu, napili się po szklaneczce wina? Kurt najpierw zbladł, a potem z uśmiechem pokręcił głową.

— Niestety, ojciec, to niemożliwe. Może za kilka dni, a tymczasem wypijmy po szklaneczce wody mineralnej — rzekł i czekał na burzę.

Ale starszy pan skapitulował. Widział jasno, że nie wyjedna nic i z posepną miną wziął szklanekę. Syn, próbując nieco go rozweselić, zaczął opowiadać o spotkaniu z Carry.

— To wspaniała dziewczyna. Kiedy wreszcie przywieziesz jej zgodę na małżeństwo? Czy chcesz może czekać, aż ktoś sprzątnie ci ją sprzed nosa?

— To wymaga czasu, ojciec — odparł Kurt.

— Czasu? Brak ci energii i odwagi. Czy mam iść za ciebie w konkury?

— Nie, ojciec, miej jeszcze trochę cierpliwości. Nadejdzie na pewno dzień, w którym Carry wprowadzi się do zamku Marwedel.

— Chciałbym tego dożyć — rzekł nieco uspokojony ordynat. — Ta Wohlgemut wścieknie się, że nie będzie grać pierwszych skrzypiec. Muszę jej to przy okazji powiedzieć — dodał z błyskiem w oczach.

— Ojciec, nie rób tego. Zobacysz, w końcu pójdzie sobie stąd.

— Co takiego? Co ty mówisz?

— Nie wiadomo, jak zachowa się w takiej sytuacji, ale i tak chciałeś ją odprawić.

— Bzdura. Kto ci to powiedział?

— Ty sam, ojciec. Nie dalej jak dziesięć minut temu stwierdziłeś, że trzeba się jej pozbyć.

— Ty wszystko bierzesz tak dosłownie? Powinieneś widzieć, że nikt nie może zastąpić pani Wohlgemut. Nie znajdziesz nigdzie nikogo tak wiernego, odpowiedzialnego i uczciwego. Strach pomyśleć, że mogłaby nas opuścić. Co byśmy bez niej zrobili? Nikt nie pielęgnowałby mnie z takim sercem i oddaniem. Co tu dużo gadać, synu, pani Wohlgemut jest nie do zastąpienia.

— Zawsze byłem tego zdania.

— Nie powtórz jej tylko moich słów, bo stanie się już zupełnie nie do wytrzymania. Ma niewyparzoną gębę i dopiero wtedy kłapałaby ozorem... Jej gadanie doprowadza mnie do pasji.



Aha, bądź taki dobry i poproś ją do mnie. Trzeba zrobić świeże kompresy i rozmasować mi nogę.

— Może ja mógłbym ci w czymś pomóc, ojcze?

— Wykluczone. Poza panią Wohlgemut nikt nie potrafi tego zrobić delikatnie i dobrze. Gdyby nie ona, wykończyłaby mnie zupełnie ta podagra. Ale zanim wyjdiesz, podaj mi łyżeczek czerwonego wina.

— Nie mogę, ojcze — powiedział otwarcie Kurt. — Zabroniła mi. Surowo. Tylko woda mineralna. Nie mam tyle odwagi, by się sprzeciwić.

Starszy pan machnął z rezygnacją ręką i ciężko westchnął.

— Idziecie oczywiście ręka w rękę. Jestem bezradny. Nie rozumiem tylko, dlaczego chcecie mnie pognać do końca.

— Ależ, ojcze, to naprawdę dla twego zdrowia. Nikt nie chce ci dokuczać. Idę po panią Wohlgemut.

Wrócił po chwili z gospodynią, która niosła przed sobą miskę z nowymi kompresami. Z obrażoną miną pochyliła się nad nogą ordynata i zaczęła zdejmować poprzedni opatrunek. Starszy pan mrucał coś, ale trudno było zrozumieć słowa. Udawał wciąż obrażonego. Kurt uśmiechnął się na widok tej ekscentrycznej pary. Doszło do zawieszenia broni. Mógł teraz spokojnie zostawić ich samych.

Po dziesięciu minutach w domu znów wybuchła piekielna awantura.

## X

Parowiec przybył do Swakopmund punktualnie. Pasażerowie zeszli na ląd. Już z daleka dostrzegli Leona von Holmsa czekającego na siostrę. Lena przyspieszyła kroku. Hasso i Norbert zostali nieco z tyłu. Nie chcieli przeszkadzać w powitaniu rodzeństwu, które nie widziało się od kilku lat. Leon czule przytulił siostrę i gładząc ją po włosach długo nie wypuszczał z objęć. Po chwili Lena zwróciła uwagę brata na swoich towarzyszy. Przyjrzał im się zdumiony, zdawało się, że nie wierzył własnym oczom. Mrugał powiekami, jakby raziło go słońce. Potem z okrzykiem radości ruszył w ich stronę, szeroko rozkładając ramiona w powitalnym geście. Śmiechom i wesołym przekomarzaniom nie było końca. Przeskakiwali z tematu na temat, próbując poruszyć wszystkie jednocześnie, zupełnie jakby miało zabraknąć im czasu, jakby znów mieli za sekundę rozstać się na długie lata.

W końcu Lena roześmiała się, cofnęła o parę kroków i powiedziała: — Niechże ci się przyjrzę, braciszku. Zmężniałeś i świetnie wyglądasz. Leon rzeczywiście wyglądał znakomicie. Opalony, czerstwy, ubrany w typowy dla ranczera strój: płócienną kurtkę, bryczesy i mocne, wysokie, skórzane buty z cholewami. — Zabrał się teraz energicznie do wyładowywania bagażu siostry i przyjaciół. Potem zaprowadził ich do gospody, gdzie zatrzymali się dłuższy czas. Tutaj spotkali pana Deckmanna z żoną, a ci natychmiast zaczęli zachowywać się tak, jakby należeli do rodziny. Nie zauważyli lub może nie chcieli zauważyć, że nie są mile widziani. Ich brak delikatności stawał się coraz trudniejszy do zniesienia. Dzięki przebiegłym wykrętom udało się, cudem chyba, uniknąć wspólnej podróży koleją do Windhuk.

W wagonie, gdy byli już przekonani, że pozbyli się natrętów, odetchnęli z ulgą i z rozrzewnieniem zaczęli wspominać dawne, berlińskie czasy.

Lena przysłuchiwała się ich rozmowie z radosnym uśmiechem, a nieco roztargniony Norbert ciągle szukał jej oczu.

Na stacji w Windhuk znów natknęli się na Deckmannów, na których czekał elegancki samochód. Pan Deckmann poufale poklepał Hassa i stwierdził, że nawet w koloniach można żyć w luksusie, jeśli ma się wystarczającą ilość pieniędzy. O tym, że na farmie *Ilona* były wszelkie możliwe urządzenia elektryczne i służba, biała i czarna, w bogatych liberiach, dowiedzieli się jeszcze na parowcu. Przy pożegnaniu pani Ilona, uśmiechając się jak najpiękniej, uścisnęła znacząco dłoń Hassa i przypomniała mu o obietnicy odwiedzenia ich. Pan Deckmann pomachał im jeszcze z okna samochodu i wreszcie odjechali.

Leon uśmiechnął się z pobłażaniem, a potem zwrócił się do przyjaciół:

— Holmseck nie jest wprawdzie farmą luksusową, ale liczę na to, że nie będzie to stanowiło dla was przeszkody. Czekam na wasz rychły przyjazd.

— Niebawem się zjawimy — szybko zapewnił Norbert.

— Najpierw muszę się zorientować, jak się mają moje sprawy, Leonie. Muszę się zameldować. Jak długo zostanieie w Windhuku? — spytał Hasso.

— Do jutra.

— A jak daleko jest do twojej farmy?

— Kilka dni konno.

Platen spojrzał z przerażeniem na Lenę.

— Czy nie możesz załatwić jakiegoś pojazdu dla panny Leny? — zapytał.

— Jest tylko wóz bagażowy. Nie sędzę, żeby było to dobre wyjście. Lena, na szczęście, świetnie jeździ konno, a konie mamy znakomite.

— Jakoś sobie poradzę — rzekła spokojnie Lena.

— Musimy sobie poradzić, nie mamy wyjścia. Jedną noc trzeba będzie spędzić pod gołym niebem.

W tym momencie Lena zbladła. Na takie trudy chyba nie była przygotowana. Norbert popatrzył na nią z troską.

— Może powinna była pani pojechać z Deckmannami, panno Leno — powiedział. — Podobno obie farmy leżą niedaleko siebie.

— Parę godzin konno — sprostował Leon. — Około sześciu godzin, przypuszczam. Jak widzicie, mierzymy tutaj odległości inaczej niż w Europie. Nie chciałem korzystać z uprzejmości tych ludzi. Myślę, że miałem rację. Czy zgadzasz się ze mną, Leno?

— Oczywiście.

— Kochana siostrzyczko — Leon otoczył ją ramieniem — nie będziesz miała tu wygod. Życie nie jest tutaj lekkie. O wszystko trzeba walczyć. Ale nie martw się, zawsze będę przy tobie i zawsze możesz liczyć na moją opiekę.

Dziewczyna obdarzyła brata ciepłym uśmiechem.

— Mam tylko ciebie, Leonie.

— Powiedz mi jeszcze, czy droga jest bezpieczna — zwrócił się do Leona Norbert, wykazując coraz większy niepokój o los Leny.

— Zupełnie bezpieczna — odparł von Holms.

Norbert ciągle jeszcze nie miał zaufania do tego pomysłu. Taka młoda, delikatna dziewczyna miała kilka dni jechać konno i nocować pod gołym niebem? Z trudem mógł uwierzyć, że Leon naprawdę zamierza ciągnąć siostrę taki szmat drogi w siodle, na dodatek w upale. Najchętniej pojechałby z nimi od razu. Zawsze to jedna osoba do pomocy więcej. Z nim byłaby bezpieczniejsza. Poza tym nie miał ochoty się z nią rozstawać. Teraz dopiero zaczynał rozumieć, ile dla niego zaczęła znaczyć.

Wieczór spędzili jeszcze wspólnie w gospodzie. Rano rodzeństwo ruszyło w drogę. Pożegnanie było dla wszystkich smutne, ale dla Leny i Norberta wręcz bolesne. Ukrywali to ze wszystkich sił.

— Wkrótce się zobaczymy, panno Leno — rzekł. — Niebawem przyjadę do Holmseck.

— Będzie mi miło — odparła. — Do zobaczenia więc, panie baronie.

Hasso również obiecał, że ich odwiedzi. Termin jednak uzależnił od obowiązków służbowych.

Gdy zniknęli już im z oczu, Norbert jeszcze stał i wpatrywał się przed siebie. Hasso wziął go pod rękę i pociągnął za sobą. Był jak pijany, ciągle mówił o panie von Holms i tęsknym wzrokiem spoglądał w stronę, w którą odjechała. Dla Hassa było jasne, że przyjaciel zakochał się bez pamięci.

Zgłosił się do jednostki i natychmiast został włączony do oddziału obronnego. Służbę rozpoczynał w trudnym i niebezpiecznym czasie. Grupy należące do szczepu Bergdamara wałęsały się po okolicy, napadały i rabowały. Kilka odleglejszych farm padło już ich ofiarą. Domy spalono, a ludzi zamordowano lub wzięto do niewoli. Jeńców trzeba było uwolnić. W tym celu zorganizowano ekspedycję w głąb lądu. Hasso, sądząc, że nie ma nic gorszego ponad szkolenie rekrutów, zgłosił się na ochotnika do wzięcia udziału w tej wyprawie. Musiał być więc teraz w stałym pogotowiu. Droga ekspedycji miała wieść przez posiadłości Deckmannów i Leona von Holmsa. Gdy Norbert dowiedział się o tym, wyraził zainteresowanie przyłączeniem się do oddziału.

— Pojadę z wami aż do Holmseck. Dzięki temu będziemy razem o kilka dni dłużej — stwierdził. — Przy tej okazji dotrzemy też słowa danego panu Deckmannowi. Wszystko układa się świetnie. Kiedy ruszamy?

— Jutro rano.

— Hasso, to niezbyt bezpieczna wyprawa, prawda?

— Któż to może wiedzieć, co będzie. Jeśli dojdzie do bitwy, to wszystko w rękach opatrności.

Norbert von Platen miał wrażenie, że nie powinien opuszczać przyjaciela w tej wyprawie. Stare poczucie koleżeństwa odrodziło się w nim teraz. Wahał się, czy nie towarzyszyć mu do końca. Powiedział nawet coś na ten temat, ale Hasso roześmiał się i potrząsnął głową.

— Nie ma o czym mówić, Norbercie. Nie jesteś już żołnierzem, a ja tam idę dobrowolnie. Mogłem siedzieć cicho tutaj, w Windhuk. Nie masz żadnych zobowiązań wobec mnie. Zapomnij o tych myślach.

## XI

Ekspedycja przeciw Bergdamarom wyruszyła w oznaczonym czasie. Hasso zgłosił swemu przełożonemu, że jego przyjaciel i były kolega pułkowy, baron von Platen, chce przebyć z nimi drogę aż do majątku *Holmseck*. Poznał też Norberta z oficerami, biorącymi udział w wyprawie. Przyjęli go do kompanii serdecznie. Wszyscy byli w znakomitych humorach, wyruszyli jak na manewry. Pierwszego dłuższego odpoczynku zażyli dopiero na farmie Deckmannów. Spędzili tam cały dzień, goszczeni bardzo uprzejmie. Pani Ilona obrzuciła Hassa już przy powitaniu płomiennym spojrzeniem.

— Nie spodziewałam się spotkania tak szybko — rzekła z kokieterią.

Ta piękna kobieta znów wywarła na nim wrażenie, zupełnie jak na początku podróży parowcem. Zaczarowała go na chwilę. Schylił się do jej dłoni i całując przytrzymał nieco dłużej, niż wypadało.

— Przyciągnął nas tutaj jakiś silny magnes, szanowna pani — stwierdził.

— Jesteście tu, panowie, naprawdę mile widziani — odparła, podkreślając słowo „naprawdę” i obdarzając Hassa jeszcze jednym czarującym uśmiechem.

Tymczasem pan Deckmann zapraszał do domu resztę oficerów. Dom ten był właściwie luksusową willą. Elegancko wyposażone ogromne pokoje sprawiały wrażenie lekkości, unikano bowiem ciężkich mebli i ciemnych materiałów. Otoczona służbą w bogato złożonych liberiach pani Ilona sprawiała wrażenie egzotycznej księżnej. Miała na sobie powiewny strój z białego, indyjskiego jedwabiu o fantastycznych haftach. W czarnych włosach szkił się sznur pereł i taki sam owijał jej smukłą szyję.

— Zupełnie jak w operze — powiedział ubawiony Norbert.

Spostrzeżenie było celne. Wszystko tu miało teatralną oprawę. Było jasne, że gospodarze tego domu pragnęli zaimponować swoim gościom najbardziej wyszukany przepychem. Oficerowie, którzy już od dłuższego czasu żyli w spartańskich warunkach, wpadli w zachwyty. Hasso i Norbert byli bardziej krytyczni. Nadmiar zbytku pachniał im złym gustem.

Pani Ilona wpadła na pomysł posłania samochodu po rodzeństwo Holmsów i zorganizowania spotkania towarzyskiego. Miała być wspaniała ucztą i popisy muzyczne. Oczy Norberta zaświeciły się, gdy usłyszał o tym planie. Z niecierpliwością teraz czekał na przyjazd Leny.

Na zaproszenie państwa Deckmannów Leon i jego siostra odpowiedzieli z radosną aprobatą. Zaraz też wsiedli do samochodu i ruszyli w drogę.

Powitanie Leny i Norberta było wylewnie serdeczne. Hasso utwierdził się w przekonaniu, że łączą ich głębokie uczucia. Uśmiechał się radośnie, gdy widział, z jaką delikatną czułością przyjaciel trzymał po rękę ukochaną dziewczynę, prowadząc ją do stołu. Poza Leną i panią Iloną była w towarzystwie jeszcze tylko jedna kobieta. Była to panna Anna Lindner, dama do towarzystwa pani Deckmann.

— Jestem szczęśliwy, panno Leno — szepnął Norbert. — Jestem prawdziwie szczęśliwy, że znów mogę panią widzieć.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Była taka piękna. Miała na sobie delikatną sukienkę z czarnego jedwabiu z niewielkim dekoltem w kształcie serca. Grube, ciemne warkocze upięła w węzeł na karku. Drobne loczki delikatnie okalały jej twarz i podkreślały cudowny kształt głowy. Była lekko zarumieniona i szczęśliwa.

— Nie spodziewałam się, że zobaczymy się tak szybko, baronie — powiedziała cichutko.

— To dzięki mojemu przyjacielowi. Gdyby został w Windhuku, nie spotkalibyśmy się dzisiaj. Ale mam nadzieję, że nie sprawiłem pani przykrości wcześniejszym przyjazdem — zażartował.

Spojrzała na niego z łagodnym uśmiechem. Przesunęła wzrokiem po jego niezbyt przystojnej, ale bardzo sympatycznej twarzy. Przez moment ich oczy się spotkały. Delikatny rumieniec zaróżowił jej twarz.

— Dziwne podejrzania — powiedziała. — Powinien pan pamiętać, że przyjaciele mojego brata, którzy z takim poświęceniem opiekowali się mną w trakcie podróży, zawsze będą mile widziani.

Ostatnie zdanie słyszał Leon, który właśnie do nich podchodził.

— Siostra opowiedziała mi o waszej wspaniałej postawie, o opiece i oddaniu. Hasso już usłyszał należne mu słowa podziękowania, teraz czas, bym i tobie wyraził swą wdzięczność, drogi Norbercie — rzekł uroczyście.

— Ależ Leonie, to raczej my powinniśmy podziękować za towarzystwo twojej siostry. Dzięki jej obecności podróż upłynęła nam szybko i przyjemnie. Przeżyliśmy na tym parowcu naprawdę piękne chwile.

— To samo powiedziała mi moja siostra. Boję się, że dni na mojej farmie będą się jej nieprzyjemnie dłużyć wobec rozrywek, jakie dzięki wam miała ostatnio.

— Leonie, nie mówiłam wcale, że smutno mi będzie z tobą i że nie polubię życia na farmie — próbowała sprostować spłoszona Lena.

— Nie mam żalu o to, że miałas przyjemną podróż. Wierzę, że miłe wspomnienia nie przyniosą ci smutnych myśli. A do życia tutaj jakoś będziesz się musiała przyzwycząić.

— Nie potrwa to długo, łaskawa pani — wtrąciła się do rozmowy panna Anna Lindner.

Lena odwróciła się i przyjrzała się jej z zainteresowaniem. Była to młoda, ładna, krzepka blondynka o niebieskich, błękitnych prawie oczach. Typowa Germanka.

— Czy wolno spytać, jak długo jest już pani w Afryce, panno Lindner?

— Dwa lata. Moja siostra wyszła za mąż za farmera i mieszka tu już od sześciu lat.

— A więc dlatego tutaj pani przyjechała.

— Miałam nadzieję, że łatwiej ułożę sobie życie tu niż w ojczyźnie. W sumie mi się powiodło. Mam niezłą pracę i czuję się dobrze.

— Wygląda pani na osobę, która pokona wszelkie trudności. O mnie tego powiedzieć nie można. Jestem nieśmiała i bojaźliwa. Czy pani nie boi się zostawać tutaj sama, gdy państwo Deckmannowie wyjeżdżają?

— Nie, nie mam na to raczej czasu. A poza tym mój narzeczoną zwykle jest w pobliżu.

Narzeczoną panny Lindner był zarządca majątku. Państwo Deckmannowie popierali ten związek i liczyli się z tym, że młodzi wkrótce się pobiorą. Mieli przy tym pozostać na swoich stanowiskach. Zarządca był człowiekiem wykształconym i dobrze wychowanym. I on był zaproszony na dzisiejsze przyjęcie. Niedawno wystąpił ze służby wojskowej w oddziale obronnym. Oficerowie znali go znakomicie i gawędzili teraz po przyjacielsku.

Po obiedzie towarzystwo się rozproszyło. Lena z Anną wyszły przed dom porozmawiać o prowadzeniu gospodarstwa. Lena bowiem założyła sobie, że poprowadzi dom brata na wysokim poziomie, choćby miało to ją kosztować wiele trudu. Anna z radością udzielała jej rad i wskazówek.

Tymczasem baron von Platen podszedł do Leona i zagaił rozmowę.

— Jak sądzisz, Leonie, czy twoja siostra zaaklimatyzuje się? Czy to nie było zbyt ryzykowne sprowadzać ją tutaj? Warunki są ciężkie, klimat zupełnie inny.

Leon westchnął.

— Sprowadziłem ją tutaj z ciężkim sercem, mój drogi. Możesz mi wierzyć. Co jednak miałem zrobić? Pomyśl, czy mogłem ją zostawić na cudzej łasce w Niemczech, biedną, zagubioną, bezradną? Z dwojga złego wybrałem to mniejsze. Musi się przyzwyczać do niewygód i wyrzeczeń, choć nie jest do tego stworzona. Niestety nie stać mnie na takie życie, jakie prowadzą Deckmannowie. Może w przyszłości. Majątek mam wielki, ale wymaga wiele pracy i długo jeszcze nie będzie przynosił jakichś znacznych zysków. Musimy pokonać trudności i zrobimy to. Wierzę, że Lena to rozumie i nie będzie się skarżyć. Tego jestem wręcz pewien. To naprawdę dzielna dziewczyna. I pod moją opieką jest bezpieczna. Kocham ją i stworzymy sobie dom pełen ciepła rodzinnego. Tego nie miałyby w Niemczech.

— Powiedz mi jeszcze, jak zniosła trudy podróży i tę noc pod gołym niebem.

— Nie zmrużyła oka, tak bardzo była przestraszona. Ciągle pytała o węże i dzikie zwierzęta. Nie puściła mojej ręki nawet na chwilę.

— Biedne dziecko! Leonie, czy wy jesteście tutaj bezpieczni? Przecież te napady, te bandy... Hasso rusza przeciw nim, ale czy to się skończy?

— Napadnięto farmy w głębi łądu. Tutaj bandy się nie zapuszczają. Ale Hasso nie ma łatwego zadania. Wiem, co to znaczy, bo brałem kiedyś udział w takiej wyprawie. Miejmy nadzieję, że wrócą cali i zdrowi.

— Myślę o tym z niepokojem. Żeby Hasso tylko nie miał jakiejś złej przygody. Więc twierdzisz, że tutaj jest bezpiecznie?

— Tak, Norbercie. Czasem zdarzają się kłopoty z czarną służbą, ale to nic strasznego. Trzeba umieć z nimi postępować. Nie za łagodnie, ale też i nie za ostro. Ale tego Lena nie nauczy się nigdy. Jest zbyt delikatna, zbyt miękka i będzie miała stale z nimi problemy.

— Jeszcze jeden dowód, że wasze życie tutaj jest ciężkie. Na każdym kroku przeszkody. Leon machnął ręką.

— Nie jest tak źle. Życie nie jest lekkie, to prawda, ale może przynosić satysfakcję, z każdym dniem człowiek posuwa się do przodu i jest panem u siebie. W Niemczech z sumą, z którą tu zaczynałem nie osiągnąłbym prawie nic.

— Zamierzasz zostać tu na zawsze?

— Chciałbym doprowadzić farmę do takiego rozkwitu, by móc ją sprzedać za kilka lat za duże pieniądze. Budujemy tu linię kolejową i tym sposobem wartość mojej ziemi wzrośnie. Deckmann zapłacił za swoją posiadłość wielokrotność sumy, za którą kupił ją jej poprzedni właściciel. Mam zamiar zrobić podobnie. Ale przede mną jednak jeszcze ogromnie dużo pracy,



ciężkiej pracy, ale kiedy już dopnę swego, sprzedam tu wszystko i kupię sobie jakąś cudowną, bajkową posiadłość w Niemczech. Będę uprawiał kapustę lub coś innego. Ziemia musi być żyzna, to warunek. Za nic w świecie nie chcę tu zostać do śmierci.

— Mam więc dla ciebie propozycję — rzekł z radością Norbert. — Gdy wrócisz już do Niemiec, zastukaj najpierw do moich drzwi. Po rodzinie matki odziedziczyłem w Turyngii mały majątek, w sam raz dla ciebie. Leży zbyt daleko od moich posiadłości, więc chciałbym go sprzedać. Odstąpię ci go korzystnie, po starej przyjaźni. Leży w najpiękniejszej części Lasu Turyńskiego. Dobry gospodarz mógłby tam wyczarować cuda.

— Będę pamiętał o twojej propozycji. Trzymaj go dla mnie. No, ale dość tych odległych marzeń. Wróćmy na ziemię. Od Hassa wiem, że jedziesz z nimi tylko do Holmsecku. Czy mogę liczyć, że zostaniesz u nas dłużej? Czy może masz zamiar zatrzymać się tutaj?

— Ależ nie, Leonie. Tutaj przyjechałem tylko dlatego, że pan Deckmann wymógł na nas kiedyś obietnicę odwiedzenia go. Poza tym pragnąłem być jak najdłużej z Hassem. Ciągle waham się, czy nie powinienem towarzyszyć mu dalej. Mam wrażenie, że opuszczam w biedzie przyjaciela, choć Hasso śmieje się z tych moich wątpliwości. Pojadę więc chyba z wami, jeśli pozwolisz. Teraz piękna pani Deckmann zajęta jest Hassem, któremu głowę zawracała już na parowcu, ale gdy jego zabraknie, a ja zostanę, zadowolony się i mną pewnie.

— Nie sądzisz chyba, że próbuje flirtować z każdym?

— Czyżbyś i ty coś wiedział na ten temat, Leonie?

— Stara historia. Dwa lata temu, gdy ją zobaczyłem pierwszy raz, straciłem dla niej zupełnie głowę. Na takim bezludziu taka cudownie piękna, elegancka kobieta. Ale to ogień, co szybko gaśnie. Jedynie zmysły. Ona musi mieć sto flirtów w ciągu roku, w przeciwnym razie jest zła i nieszczęśliwa. To kobieta dynamit. Jest kolorowa, zauważyłeś pewnie. Nie chcesz dać się zaprząć do jej rydwanu?

— O nie, Leonie, tylko nie to. Pani Deckmann zupełnie mnie nie interesuje.

— Jedź więc jutro z nami i mam nadzieję, że zostaniesz dłużej. Wiele ci zaproponować nie możemy, ale z całą pewnością dobrą, serdeczną atmosferę. A i Afrykę lepiej u nas poznasz niż tu, w tym luksusowym miejscu.

— Z radością przyjmuję twoje zaproszenie. Gdy będziecie mieli mnie już dość, powiedzcie mi to, a wyniosę się natychmiast. Ale żarty żartami, a ja mam pewien powód, dla którego nie jadę z Hassem i zostaję u ciebie. Mógłbym ci go zdradzić, ale musiałbyś mi zagwarantować pełną dyskrecję.

— Masz moje słowo.

— A więc twoja siostra zrobiła na mnie tak duże wrażenie, że... Leonie, kocham ją, ale nie chcę i nie mogę jej tego teraz powiedzieć — Norbert zniżył głos do szeptu. — Widzisz, przyjacielu, przeżyłem ostatnio wielkie rozczarowanie kobietą. To właściwie był prawdziwy powód, dla którego wyjechałem z Niemiec. Za radą Hassa, który pomagał mi jak mógł w tych trudnych chwilach i wytłumaczył mi, że na takie kłopoty najlepsza jest podróż gdzieś daleko, żeby przypadkiem nie spotkać tej dziewczyny i znów nie zacząć przeżywać wszystkiego od nowa. Wyjechałem więc, żeby zapomnieć, żeby rozluźnić się, zmienić otoczenie i tak dalej. I wtedy spotkałem twoją siostrę, której dobroć, miły sposób bycia, delikatność sprawiały, że rana się zabiłżniła. Twoja siostra była balsamem na moją obolałą duszę, pozwoliła mi wrócić do równowagi. Jestem już w wieku, w którym powinienem poważnie pomyśleć o małżeństwie. Chciałbym założyć rodzinę i wierzę, że mój związek z panną Leną byłby szczęśliwy i harmonijny. Ale znamy się bardzo krótko. Nie chcę twojej siostry zasypywać pytaniami. Nie wiem, czy może mnie pokochać i czy chciałyby za mnie wyjść. Trochę się tego boję. Poznałem ją na tyle, że wiem, że nie odda swojej ręki komuś, kogo nie kocha. Chcę więc zostawić jej czas, by mogła poznać mnie lepiej i być może pokochać. Może zechce wrócić do Niemiec jako moja żona. Dlatego proszę cię o gościnę. Daj mi możliwość, by zdobyć szczęście. Wszystko to musi jednak zostać między nami. Chciałem być wobec ciebie szczery i zapytać, czy nie masz nic przeciwko mojemu ewentualnemu małżeństwu z twoją siostrą. Czy w tej sytuacji nadal podtrzymujesz zaproszenie?

Leon przez całą tę długą wypowiedź przyglądał się przyjacielowi z uwagą. Rozważał każde jego słowo w wielkim skupieniu. Teraz, gdy tamten skończył, odetchnął głęboko, poklepał Norberta po ramieniu i rzekł:

— Jakkolwiek dalej potoczą się nasze losy, zawsze będziesz oczekiwanym gościem w naszym domu. To, co mi powiedziałaś, utrzymam w ścisłej tajemnicy. Chcę przy tym, żebyś wiedział, że nie traktuję twoich słów wiążąco i że w każdej chwili możesz zmienić zdanie. Naturalnie nie muszę ci chyba mówić, że byłbym szczęśliwy, gdyby Lena została twoją żoną i znalazła się pod twoją czułą opieką. Nie znam jednak sekretów jej serca i nie wiem, czy zechce oddać ci rękę. O to musisz ją sam zapytać. Muszę ci jednak w tym miejscu przypomnieć, że moja siostra jest biedna.

— Nie chodzi mi o majątek, ale o miłość, Leonie. Wiesz przecież, że jestem bardzo bogaty.

— W takim razie nic ode mnie nie zależy. Rad bym tańczyć na waszym weselu. Jedziemy więc jutro razem.

— Chętnie. Pozwól mi tylko zakomunikować to pannie Lenie. Zobaczę, jak przyjmie tę wiadomość.

— Zostawiam ci wolną rękę.

## XII

Tymczasem Hasso był w prawdziwych opałach. Agresywny temperament pani domu szybko ocucił go z chwilowego oczarowania. Odetchnął z ulgą, gdy się okazało, że pani Ilona będzie zabawiać teraz gości śpiewem.

Gdy rozległ się jej głos, wszyscy byli oczarowani. Tyle cudownych tonów, nieznanymi treści wyczarowała z murzyńskiej kołysanki von Clustena, że gościom zaparło dech w piersiach. Jej miękki, niski głos płynął, falował, wywoływał to nostalgię, to radosne uniesienie. Hasso nigdy nie słyszał czegoś podobnego. Ogarnęło go wzruszenie.

Zapanowała cisza. Po chwili oszołomienia goście ze zdwojoną energią zaczęli bić brawo. Piękna pani Ilona skłoniła się z lekkim uśmiechem. Hasso poszedł i ucałował jej dłoń z wdzięcznością.

— To było cudowne — powiedział. — To śliczna pieśń i nigdy nie słyszałem, by ktoś śpiewał z takim uczuciem.

Wbiła w niego swe czarne błyszczące oczy. Nie zdążyła jednak nic odpowiedzieć, pojawił się bowiem jej mąż, dumny jak paw.

— No i co pan powie, panie von Ried? Czy kłamałem mówiąc, że w moim domu znajdzie pan wszystko, co może sprawić, że życie jest przyjemne? I oto ma pan pierwszorzędny koncert. Czy moja żona nie śpiewa jak prawdziwa śpiewaczka z sal koncertowych? Lekcje brała u najdroższych nauczycieli.

Hasso był wdzięczny panie Lindner, że zasiadła właśnie do fortepianu i zaczęła grać jeden z węgierskich tańców Brahmsa. Nie musiał niczego odpowiadać. Cóż można było rzec zresztą w odpowiedzi na tę niemądrą gadaninę pana Deckmanna? Muzyka płynęła, wszyscy zamilkli. Panna Lindner była dobrą pianistką. Potem zagrała jeszcze nokturn Szopena. Gdy skończyła, kapitan Schlehvogt wykonał pięknym barytonem wstęp do „Pajaców”. Włączył się w te popisy i Hasso. Z prawdziwym talentem odśpiewał pieśń Brahmsa, w której drżała nuta

namiętności. Pani Ilona potraktowała to jako wyznanie i wbijając w śpiewaka rozognione spojrzenie uśmiechała się dwuznacznie. Hasso przeraził się nie na żarty, gdy zrozumiał, co się stało. Skończył, uklonił się i szybko dołączył do towarzystwa oficerów, unikając tym samym rozmowy z panią Iloną. Potem operetkowymi szlagierami zabawiał gości najmłodszy podporucznik, a pan Deckmann wtórował mu, wybijając dodatkowo rytm dłonią o kolano. Przyszła wreszcie kolej na Lenę, jej brat zdradził bowiem wszystkim, że świetnie gra na pianinie. Hasso przypomniał sobie jej piękny, miękki mezzosopran, który słyszał kiedyś w Berlinie. Lena na początek zagrała cudowną, podniosłą sonatę Beethovena i wprowadziła słuchaczy w poważny nastrój, któremu jedynie pan Deckmann się nie poddał. Nie lubił takiej muzyki, uważał, że jest nudna, i z grzeczności tylko udawał zasluchanego. Potem Lena zaśpiewała. Proste, niemieckie pieśni ludowe, wykonane ze wzruszeniem, obudziły w sercach słuchaczy bolesną tęsknotę za krajem. Norbert von Platen przeżywał to wyjątkowo głęboko. Patrzył jak urzeczony na tę smukłą, wiotką dziewczynę w skromnej, czarnej sukni, stojącą przy fortepianie w naturalnej pozie i śpiewającą o smutku, prostej miłości, o drzewach i kwiatach, rosnących tylko tam, na odległej, kochanej ziemi. Brązowożłote oczy Leny błyszczały dziwnym blaskiem i patrzyły ponad głowami słuchaczy w dal, jakby szukały zarysu brzegu ojczyzny. Nastrój udzielił się nawet panu Deckmannowi. Wszyscy obecni mieli teraz przed oczami swój rodzinny dom, ogród, krajobraz... Z oczu panny Lindner wypłynęła łza i nie zauważona spadła na złożone na kolanach dłonie. Pieśń o lipowym drzewie. Tutaj przecież lipy nie rosną...

*Niejedna teraz mnie dzieli godzina  
od tego miejsca. I zawsze szum  
twoich liści będę słyszał.  
Szum liści, które szepczą,  
że tylko tam znalazłbym spokój...*

Okno było otwarte, a dźwięki płynęły przez nie prosto w serca zgromadzonych na dziedzińcu żołnierzy i budziły nagle nieodparte pragnienie powrotu do rodzinnego domu. Myśli wszystkich — i tych w salonie, i tych na podwórzu — kierowały się w tę samą stronę. Lena tak rozmarzyła się tą ludową, nostalgiczną nutą, że zupełnie nie dostrzegła wrażenia, które wywołała. Dopiero gdy skończyła i rozejrzała się, zdumiona idealną ciszą, zauważyła wzruszenie słuchaczy. Stała więc zakłopotana przy fortepianie i nie wiedziała, co ma ze sobą

począć. Norbert zauważył to i szybko podszedł do niej, z całego serca dziękując za cudowne chwile, które przed momentem dzięki niej przeżył.

— Och, co ja zrobiłam — odpowiedziała mu zaniepokojona. — Zepsułam wesole nastrój. Nie powinnam była śpiewać tych pieśni.

Wszyscy jednak dziękowali jej za to. Każdy na swój sposób próbował ją przekonać, że dzięki niej choć przez krótką chwilę był w ojczyźnie. Leon w milczeniu objął siostrę i pocałował w policzek. Znakomicie rozumiał jej tęsknotę i czuł to samo. Nie chciał się jednak rozczulać, zawołał więc do młodszego oficera:

— Panie poruczniku. Prosimy teraz o jakąś skoczną, wesołą piosenkę z operetki. Inaczej rozpląniemy się we łzach.

Podporucznik poderwał się ochoczo, zasiadł do fortepianu i zaśpiewał:

*Kochane, małe istotki,  
kto raz spojrzy w wasze oczy...*

Rozbawiony pan Deckmann znów zaczął wybijać rytm na kolanie. Kilka osób zaczęło pomagać śpiewakowi przy refrenie i ponury nastrój minął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Norbert uznał, że jest to najlepsza chwila, by zawiadomić Lenę o swoim zamierzonym dłuższym pobycie na farmie jej brata. Był trochę zdenerwowany, co nie uszło jej uwagi. Nachylił się nad nią i nieco łamiącym się głosem powiedział:

— Pragnę, by pani wiedziała, że Leon zaprosił mnie na dłuższy czas do siebie. Zgodziłem się i jutro chciałbym z wami pojechać. Czy mogę mieć nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu?

Obserwował ją bacznie, od jej reakcji zależało bardzo wiele. A ona oblała się ciemnym rumieńcem, przez chwilę milczała, po czym zupełnie spokojnym głosem rzekła:

— Nie wolno panu wątpić, panie baronie, że cieszę się z pańskich odwiedzin mniej niż mój brat.

— Czy to jest tylko kurtuazja, czy też prawdziwe pani przekonanie? — zapytał, a w okolicy serca czuł teraz niepokojący ucisk.

Podniosła na niego swoje śliczne oczy i zaczęła się z nim przekomarzać.

— Nie jest to kurtuazja, ale zmartwię pana mówiąc, że moja radość z pańskiego u nas pobytu jest wynikiem mojego egoizmu. Będę miała po prostu dwóch obrońców. To rzecz nie do pogardzenia dla takiego jak ja „strachajła”. Boję się obcych, wyobrażam sobie, że każdy patrzy na mnie wrogo. A tam są sami obcy. Przy panu będę się czuła bezpieczniejsza.

— Nie powinna się pani obawiać ludzi z farmy. Nie sądzę, by ktokolwiek mógł być do pani wrogo nastawiony. Z drugiej strony jestem dumny, że wybrała mnie pani na swego obrońcę i że to przy mnie właśnie czuje się pani bezpiecznie.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Trudno zapomnieć opiekę, jaką pan i pan von Ried otoczyliście mnie na statku. Dzięki panom przestałam umierać ze strachu. Jakże ja się bałam wsiadając na ten parowiec, nawet nie może pan sobie tego wyobrazić. Proszę mi przy okazji powiedzieć, czy to prawda, że pan von Ried wyrusza już jutro na jakąś niebezpieczną eskapadę?

— Taki już jest los żołnierza, panno Leno. Niewiele brakowało, a i ja dołączyłbym do tej ekspedycji.

— O Boże, tylko nie to! — wymknęło się jej.

— Czyżby było pani przykro, gdybym wyruszył z nimi?

— Oczywiście. Przykro mi też, że pozostali muszą tak ryzykować życiem. Kobietom trudno pojąć zamiłowanie mężczyzn do wojaczki. Miejmy nadzieję, że pan von Ried wróci szczęśliwie.

Norbert, upewniwszy się już, że Lena żywi do niego sympatię, nie był wcale zły na pana Deckmanna, że przerwał im rozmowę. Ten zaś tak manewrował, że w końcu zostali sami i mógł powiedzieć:

— Drogi baronie, słyszałem, że wybiera się pan na dłuższy czas do pana Holmsa. Chcę pana przestrzec przed tym pomysłem. Nie znajdzie pan tam takich wygod jak u mnie. Nie ma tam ani dobrego wina, ani wykwintnej kuchni. Wszystko tam jest bardzo prymitywne i długo pan nie wytrzyma w tych warunkach. Proszę zostać u nas. Tutaj będzie panu wygodnie, wszystko jest do pana dyspozycji, a odwiedzać pan swego przyjaciela może, ilekroć pan zechce. Mój samochód zawsze pana tam zawiezie.

— To naprawdę bardzo uprzejme z pańskiej strony — odparł Norbert z wyszukaną grzecznością. — Nie mogę jednak przyjąć tego zaproszenia.

— Nie może pan? Co to znaczy? Jesteśmy gościnnymi ludźmi i sprawia nam radość, że zaszczyca nas pan swoją obecnością. Gdyby pana to jednak zbyt krępowało, zawsze może się pan kiedyś zrewanżować. Proszę nas, na przykład, zaprosić do swego zamku, gdy będziemy w Niemczech. Słyszałem, że ma pan wspaniały zamek w górach Taunus. A więc rachunek jest prosty. Pan jest moim gościem tutaj, a ja pańskim tam. Czy może być coś prostszego?

Norbert najchętniej roześmiałby mu się w twarz. Teraz dopiero pojął, o co chodziło i dlaczego pan Deckmann tak im nadszkwiał. Zachował jednak dobre maniery i nie dyskutując na temat wizyty Deckmannów u siebie w zamku rzekł swobodnie:

— Chyba pan rozumie, panie Deckmann, że nie mogę odmówić przyjacielowi, nie sprawiając mu tym przykrości. Zostałem zaproszony do państwa Holmsów, zaproszenie przyjąłem i jadę tam.

Taka odpowiedź niezbyt zadowoliła gospodarza, ale nawet ten człowiek o złych manierach zrozumiał, że dyskusja została zamknięta, a Norbert podjął nieodwołalne postanowienie.

## XIII

Nazajutrz, wczesnym rankiem, wszyscy byli już na nogach. Żołnierze, gotowi do wymarszu, kręcili się nerwowo po dziedzińcu. Leon z siostrą i baron von Platen czekali na samochód, który Deckmannowie oddali im do dyspozycji. Chcieli wyprzedzić oddział, by zarządzić konieczne przygotowania na jego przybycie.

Piękna pani Deckmann kusiała Hassa lekkim, porannym strojem i choć był bardzo ostrożny, nie mógł nie rzucać na nią spojrzeń pełnych podziwu. Mimo to pragnął jak najszybciej uciec stąd, uciec od pokus i dwuznacznych sytuacji. Chciał zapomnieć czym prędzej o blasku tych płomiennych oczu i o bezszelestnych, kocich ruchach, o cudownym uśmiechu, w którym było coś demonicznego... w ogóle pragnął zapomnieć o pani Deckmann.

Samochód odjechał, ale jego pasażerowie musieli wcześniej obiecać, że będą odwiedzać gościnnych gospodarzy, którzy za każdym razem poślą po nich samochód i dopilnują, by zostali odwiezieni. Po tych dwustronnych deklaracjach, podziękowaniach, uśmiechach luksusowe domostwo państwa Deckmannów zniknęło wreszcie z oczu nieco zmęczonej tą sytuacją trójki przyjaciół.

Oddział stał w szyku z kapitanem Schlehvogtenem na czele. Czekano już tylko na Hassa, który wyszedł właśnie w towarzystwie państwa Deckmannów. Pani Ilona na swój zwiewny strój narzuciła kosztowne futro.

Adiutant przyprowadził konia i Hasso zręcznie go dosiadł. Jeszcze raz ukłonił się gospodarzom. Pani Ilona posłała mu po raz ostatni swoje zabójcze spojrzenie i zawołała:

— Życzę panu wiele szczęścia, panie von Ried. Mam nadzieję, że powróci pan z tej wyprawy i że zastanie pan nas jeszcze tutaj.

— I ja mam taką nadzieję, łaskawa pani — odparł i podążył w stronę czoła kolumny.

Po chwili oddział wymaszerował, kierując się ku wschodzącemu słońcu. Oficerowie jechali obok siebie w skupionym milczeniu, mieli przed sobą ciężkie obowiązki. O tej wczesnej, szarej godzinie nikomu nie było wesoło, choć jeszcze tym razem mieli drogę prostą i niedaleką. Za parę godzin będą na farmie Leona von Holmsa.

Krajobraz był monotony. Morze schnących traw i gdzieniegdzie karłowate drzewa. Czasem wylaniał się z równiny skalisty ostaniec. I jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było wielkie stada spokojnie pasącego się bydła.

— W czasie suszy zwierzęta dobrowolnie skupiają się wokół sztucznych poidel. Ale w porze deszczowej, gdy wszystkie zagłębienia terenu napełniają się wodą i koryta rzek nie są wyschnięte, trzeba bardzo uważać, by bydło się nie rozproszyło. Łatwo wtedy stracić sporą część stada — objaśniał po drodze Norbertowi Leon.

Po dwóch godzinach jazdy zobaczyli wreszcie dom. Był to niski, długi budynek zbudowany z kamienia, surowy, prosty, bez jakichkolwiek ozdób. Otaczała go szeroka drewniana weranda. Z boku Norbert dostrzegł niewielkie chatki, w których mieszkali Murzyni należący do Leona. Gdy samochód zatrzymał się przed schodami wiodącymi na werandę, wszyscy wysypali się ze swych ubogich siedzib i nie zbliżając się obserwowali przybyłych. Ze schodów zbiegł szybko czarny służący i otwierając drzwiczki ukazał w szerokim uśmiechu imponujący garnitur białych, lśniących zębów. Lena spojrzała na niego bojaźliwie, Leon zaś natychmiast zarządził:

— Rallahu, uprzątnij pokoje gościnne. Mamy gościa.

Ten uklonił się nisko, pochwyił bagaże i wniósł je do domu.

— Ależ to prawdziwy siłacz — rzekł z uznaniem Norbert patrząc, z jaką łatwością służący niesie ciężkie i nieporęczne kufry.

— Jest silny jak niedźwiedź, ale ma serce dziecka. To dobroduszny i zapobiegliwy człowiek. Jest tu majordomusem, kucharzem, kamerdynerem i stróżem. Bez niego nie poradziłbym sobie, pracowity i inteligentny, zawsze w miejscu, w którym jest potrzebny. No i, co nie jest bez znaczenia, wierny. Skoczyłby za mną w ogień. Kiedyś uratowałem mu życie, a tego się nie zapomina.



— Każdy by pragnął usłyszeć o sobie tyle dobrych rzeczy — stwierdził z uśmiechem Norbert. — Zdawało mi się jednak, że panna Lena lęka się go. Gdy się zjawił, patrzyła na niego jak Czerwony Kapturek na złego wilka.

— Trudno mi się przyzwyczaić. Murzyni mają takie straszne twarze. Ale jakoś to będzie. A teraz proszę do domu, panie baronie — zaprosiła go serdecznie.

Przedsionek był obszerny, kwadratowy, od niego rozchodziły się dwa duże korytarze, jeden w prawo, drugi w lewo. Leon powiódł przyjaciela w głąb domu, w prawą stronę, gdzie obok jego pokoi były pomieszczenia dla gości. Lena zaś zniknęła w lewym korytarzu.

Urządzenie było skromne. Meble miały być przede wszystkim praktyczne, nie zaś piękne. Niektóre z nich wykonano z surowego drewna. Wyściełanych krzeseł czy foteli właściwie nie było. Okna przysłaniały białe, zwykłe firanki, a jedyny zbytek stanowiło kilka kolorowych dywaników, poduszek i koców, przywiezionych przez Lenę.

Norbert z radością zaciekawionego dziecka zaglądał w każdy kąt, wszystko budziło jego zainteresowanie i zachwyty.

— Leonie, tu jest po prostu wspaniale. Sądziłem, że będzie gorzej. To zupełnie wygodny dom, a jeśli się doda jeszcze, że jego gospodarze są przemili, to okaże się, że spędzić tu można cudowne chwile.

— I mówi to ten, co ma wielki, wspaniały zamek — zaśmiał się Leon. — Postaramy się, żeby twój entuzjazm trwał jak najdłużej. A tu są twoje pokoje. Mina ci zaraz zrzędzie, bo masz do dyspozycji tylko sypialnię, która musi ci też służyć za garderobę, i maleńki gabinecik. To wszystko, co mogę ci zaproponować. Nie ma porównania z luksusem u Deckmannów.

— Zdziwiasz mnie. Nie sądzisz chyba, że mogę żyć tylko w zbytku. Ponad wszystko przedkładam uczucia i dobre towarzystwo. Poza tym dopiero u ciebie mam wrażenie, że jestem w Afryce. Chciałbym trochę poznać ten kontynent.

— Sprawileś mi prawdziwą radość swoją odpowiedzią. Przeszanę więc nieustannie podkreślać, że moja farma jest uboga i niezbyt wygodna dla ludzi przywykłych do życia w innych warunkach. A teraz zostawiam cię samego. Rozgość się i rozpakuj. Rallah ci pomoże. Ale gdy już nie będzie ci potrzebny, odeślij go do mnie. Trzeba przygotować solidny posiłek dla zmierzającego do nas oddziału.

— Postaram się zwolnić go bardzo szybko. Postanowiłem, że sam dla siebie będę tutaj służącym.

— Postępuj, jak ci wygodnie. Jeśli będziesz już gotowy, to przyjdź do jadalni na śniadanie. Zaczekamy z Leną na ciebie.

— Dziękuję. Proszę tylko, nie róbcie sobie żadnych kłopotów przeze mnie. Traktujcie mnie, jeśli możecie, jak zwykłego domownika. I liczę na moją pomoc; chętnie włączę się w jakieś pilne prace na farmie. Może też nauczę się czegoś o uprawie roli tutaj. Nie chcę być bezczynny.

— Czuć się więc, Norbercie, jak u siebie w domu. Do zobaczenia na śniadaniu. O, jest już Rallah.

Krzepki Murzyn wszedł do pokoju z miednicą pełną wody i świeżymi ręcznikami. Leon von Holms zostawił ich i sam poszedł się odświeżyć po podróży.

## XIV

W pół godziny później Norbert zjawił się w jadalni. Lena stawiała właśnie na środku nakrytego do śniadania stołu wazon z pięknym bukietem kwiatów. Miała na sobie prostą, lekką sukienkę domową. Przyglądał się jej z przyjemnością, oparty o framugę drzwi.

— To piękno na co dzień potrafią wyczarować tylko kobiece ręce. Wystarczy parę liści, kilka kwiatów, kolorowa serwetka i już jest świąteczny nastrój — za plecami Norberta stał Leon i patrzył na Lenę z uznaniem. — Widzisz, przyjacielu, odkąd pojawiła się tu moja siostra, życie nabrało żywszych kolorów. Nigdy wcześniej nie przyszło nikomu do głowy, by postawić na stole kwiaty.

— Masz rację, w każdym domu potrzebna jest kobieca ręka — odparł Norbert, podszedł do zawstydzonej lekko dziewczyny i całując jej dłoń wyrecytował:

*Ręce kobiece, delikatne i miękkie,  
Stwarzają nam raj na ziemi...*

Zasiedli do stołu. Smaczny posiłek i wesoła rozmowa sprawiły, że atmosfera zrobiła się prawdziwie rodzinna.

— Z przykrością wspominam czasy, gdy siedziałem przy tym stole zupełnie sam. Oby nigdy nie wróciły — powiedział w pewnym momencie Leon.

Siostra pogłaskała go po dłoni.

— Serce mi pęka na myśl o tych samotnych, trudnych latach, które tu spędziłeś z dala od rodziny i ojczyzny.

— Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego. Czas mi się nie dłużył, miałem nadmiar zajęć. Nawet nie zdawałem sobie sprawy ze swojej samotności. Dopiero teraz naprawdę to rozumiałem. Były oczywiście chwile, gdy chciałem na piechotę biec do was, ale zawsze jakoś umiałem to sobie wytłumaczyć. Cierpliwości, mówiłem, pewnego dnia wrócisz do rodziny, znowu będziesz na ojczystej ziemi.

— Oby to spełniło się jak najszybciej, braciszku — westchnęła Lena.

— Wyobraź sobie, że mamy teraz dodatkowy cel. Otóż, Norbert chce sprzedać mi jeden ze swoich majątków, gdy tylko zakończę tutaj działalność. Osiedlimy się w Turyngii. Czy pamiętasz jeszcze tę podróż do Turyngii z rodzicami? Byliśmy zachwyceni tą krainą. Żyję więc teraz myślą o tym, że tam zamieszkać. Właściwie czuję się, jakbym już był właścicielem tej posiadłości — w głosie Leona brzmiała szalona radość, mówił z takim zapałem, że zdawało się, iż marzy na jawie.

Lenie udzielił się jego euforyczny nastrój. Wszystko nagle wyglądało prosto i pięknie.

— To byłoby coś niewyobrażalnie wspaniałego — zawołała, a w jej oczach błysnęły złote ogniki.

— Wiem, Leno, że nie masz przekonania do Murzynów i że męczą, przerażają cię ich czarne twarze, ale pragnąłbym, by Rallah pojechał z nami — Leon planował wszystko tak, jakby ich wyjazd z Afryki był kwestią kilku najbliższych dni. — Rallah nie chce się z nami rozstawać. Powiedział mi kiedyś, że gdy będę wracał do domu, pojedzie ze mną. Będę nalegał, byś się na to zgodziła.

— Sam powiedziałaś, że człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego. I ja przywyknę do czarnego służącego — odparła zgodnie.

Tuż po śniadaniu Lena ruszyła do kuchni, by pomóc Rallahowi w przygotowaniu obiadu. Dla Norberta też znalazło się zajęcie. Pomagał im z wielkim zapałem i we trójkę zwijali się jak w ukropie, by zdążyć na czas z posiłkiem. Żołnierze mieli się u nich zatrzymać tylko na krótki odpoczynek. Gdy koło południa oddział wreszcie nadciągnął, wszystko było gotowe.

Hasso uradowany przywitał się z przyjaciółmi tak, jakby nie widzieli się od dawna. Widocznie w podróży czas bardzo mu się dłużył. Natomiast pobyt na farmie Leona minął szybko jak mgnienie oka. Ledwie przyjechał, a już trzeba było się żegnać.

Znalazł jeszcze tylko moment na krótką rozmowę z Norbertem.

— Być może wyjedziesz do Niemiec, zanim wrócę z tej wyprawy, jeśli, oczywiście, wrócę — rzekł.

— Wrócisz, Hasso, na pewno wrócisz. I mam nadzieję, że zobaczymy się. Nie mam zamiaru wyjeżdżać stąd tak szybko.

— Zamierzasz siedzieć tu dłużej? — zapytał z ciekawością Hasso. — Jak długo, można wiedzieć?

— Mówiąc szczerze, dotąd aż rozstrzygnie się mój los.

— Los? Wyjaśnij mi, o co chodzi, bo niczego nie pojmuję.

— Mam zamiar starać się o Lenę von Holms.

— Świetny wybór. Podpisuję się pod tym obiema rękami i życzę ci powodzenia. Rozumiem, że tamta historia już przebrzmiała.

— Niezupełnie. Czasem jeszcze się odzywa, ale coraz rzadziej i szybko pewnie przeminie. Jestem przekonany, że panna Lena będzie odpowiednią dla mnie żoną, jeśli mnie zechce. Nie jest to szalona miłość, ale uczciwe, poważne uczucie, na którym można budować dobre małżeństwo. Mam nadzieję, że nie jestem jej obojętny.

— Obserwowałem was, wybacz, i myślę, że ona ci sprzyja. Nie ukrywam, że sprawia mi to radość. Chciałbym po powrocie zastać cię w roli szczęśliwego narzeczonego.

— Nie każ nam tylko na siebie zbyt długo czekać, mój stary.

— To nie ode mnie zależy. Jak uporamy się z bandami, zaraz wrócimy. Oby to było jak najprędzej. Z całego serca życzę ci zrealizowania twego zamiaru. Teraz jeszcze tylko Leon powinien się ożenić i okaże się, że zostałem jedynym kawalerem wśród przyjaciół.

— I ty znajdziesz swoją miłość. Nie ma przecież pośpiechu. Dwa lata szybko miną i wrócisz do kraju poszukać sobie żony.

— A mnie coraz częściej przychodzi do głowy, że zostanę starym kawalerem. Moja sytuacja finansowa stawia mnie w kiepskiej sytuacji. Z biedną ożenić się nie mogę, bo za co ją utrzymam, z bogatą też nie mogę się związać, bo byłoby to bardzo krępujące i ciągle podejrzewałbym, że to majątek tak podsycił moje uczucia. Małżeństwo z wyrachowania nie wchodzi w rachubę.

— To paskudna sytuacja. Zwłaszcza że niejedna kobieta chciałaby cię za męża. Wodzą za tobą oczami i marzą o życiu przy twoim boku. Przypomnij sobie panią Deckmann. Zrobiłeś na niej ogromne wrażenie.

— Takie zdobycze jak pani Deckmann nie mają dla mnie dużej wartości. Nie zabiegam też o nie.

— Może to twój chłód jest dla kobiet magnesem.

— Norbercie, te tematy nie interesują mnie. Mam na głowie szczep Bergdamara i tylko o tym będę teraz myślał. Czas mnie już goni, bądź zdrow, przyjacielu.

— Do zobaczenia. Wracaj szybko.

— Będzie, jak Bóg zechce.

Uścisnęli sobie serdecznie ręce. Hasso podszedł teraz do Leona i Leny. Norbert obserwował ich ożywioną rozmowę i choć próbował, nie potrafił stłumić w sobie niepokoju o los przyjaciela. Dostrzegł stojącego w kącie ordynansa.

— Uważaj na swego pana, Treumannie — rzekł do niego.

— Nie musi pan baron tego mówić — odparł tamten przyjmując bardziej służbową postawę.

— Oczywiście. Mam nadzieję, że panowie obaj wróćcie cało do domu.

— Nie ma obawy, panie baronie. Szybko poradzimy sobie z tymi chłopaczkami, którzy próbują rozrabiać.

Norbert pokiwał głową, ale trudno mu było się w tym momencie zdobyć na tak wielki optymizm.

Po paru minutach oddział wyruszył. Hasso siedział w siodle wyprostowany i w skupieniu patrzył przed siebie, postanowił nie oglądać się do tyłu.

## XV

Oddział interwencyjny był już w drodze ponad trzy miesiące, a nie stoczył jeszcze walki. Bergdamarowie bawili się z nim w ciuciubabkę. Żołnierze najbardziej cierpieli z powodu pragnienia. Wody albo brakowało, albo była zatruta przez zbójckie bandy. Zapasy żywności były coraz mniejsze. Sytuacja stawała się groźna.

Przeciwnik jednak przeliczył się sądząc, że łatwo będzie pokonać tych wyczerpanych i zdezorientowanych, jak mu się wydawało, ludzi. Bergdamarowie zaatakowali wreszcie pewni sukcesu. Jakież było ich zaskoczenie, gdy zamiast jęków i błagania o litość osłabionych mężczyzn, natrafili na zaciekły opór znakomicie wyszkolonych i gotowych na wszystko żołnierzy. Będąc w samym środku kotłującego się tłumu, walcząc jak lew, Hasso dostrzegł w pewnej chwili, że jego ordynans zмага się resztką sił z dwoma zbirami. Przedarł się przez ścianę rozwścieczonych napastników i ruszył z pomocą. Zabił jednego i zмагаł się właśnie z drugim, gdy nagle za nim pojawił się nowy wojownik. Ale wtedy Treumann, znów mający

swobodę ruchu, włączył się i skoczył pomiędzy swego pana a zachodzącego go od tyłu zbira. Rzucił się na niego tak zajadle, że tamten w przerażeniu umknął. Hasso bez trudu już poradził sobie ze swym przeciwnikiem. Zostawili za sobą dwa trupy i znów pomknęli w główny wir walki, gdzie szala zwycięstwa już wyraźnie przechylała się na ich stronę. Bitwa nie trwała długo. Część bandy podała tyły, wzięto wielu jeńców, reszta legła na polu. Odnaleziono związanych i umęczonych dwóch farmerów, których Bergdamerowie porwali i przez cały czas wozili ze sobą. W zajęтым obozie przeciwników było wystarczająco dużo wody i zapasów żywności. Wyczerpane walką i długą drogą wojsko mogło wreszcie pożywić się i ugasić pragnienie.

Zadanie zostało wykonane, można więc było pomyśleć o powrocie. Ale droga do domu była długa i uciążliwa. Oddział dotarł do Holmsecku dopiero w połowie października.

Hasso z małą grupką wyprzedził główne siły, by uprzedzić ich nadejście. Zapasy żywności niemal zupełnie się już skończyły i wojsko ciągnęło wyczerpane głodem. Hasso wychudł bardzo, rysy twarzy zaostrzyły mu się, znać po nim było trudy. Gdy zbliżał się już do farmy przyjaciela, gorączkowo rozmyślał o tym, co tam zastanie. Czy wszystko jest w porządku? Czy spotka jeszcze Norberta? Czy doszło do zaręczyn z Leną? Przed dom wyszedł Rallah.

— Czy jest twój pan? — spytał krótko Hasso.

Murzyn skinął głową i swoją łamaną niemiecką powiedział, że państwo jedzą właśnie obiad.

Hasso i reszta jego grupy zeskoczyli z koni. Na werandzie pojawili się Leon z siostrą i Norbert zaniepokojeni hałasem. Z trudem rozpoznali w tych wychudzonych ludziach w zniszczonych mundurach tamto wojsko, które żegnali przed paroma miesiącami.

— Hasso! — zawołał Leon. — Oczom nie wierzę.

— Nareszcie, panie von Ried — krzyknęła Lena i pobiegła w jego stronę. — Już martwiliśmy się o pana.

Leon i Norbert podążyli za nią.

— Hasso, przyjacielu — Norbert pochwycił go w ramiona. — Spadł mi kamień z serca. Miałem już wyrzuty sumienia, że nie pojechałem z tobą.

Lena rozplakała się z radości i złapała Hassa za rękę.

— Jest pan zdrow, jakie to szczęście — powiedziała przez łzy.

Udało się i Leonowi dopchać do przyjaciela. Poklepał go mocno po plecach i uściśnął dłoń. A potem weszli do domu. Lena posadziła zdrożonego żołnierza przy stole i serwowała mu

najlepsze kąski. Ten zaś pałaszował z wielkim apetytem. Nareszcie mógł się najeść i to smakowitych potraw. Ugoszczono też jego towarzyszy i wydano polecenia, by przygotować posiłek dla nadciągającego oddziału. Hasso jadł łapczywie i w milczeniu, ale gdy zaspokoił pierwszy głód, zaczął opowiadać o wyprawie. Słuchali z zainteresowaniem i rzucali raz na jakiś czas pytania o szczegóły zdarzeń. Norbert nie mógł nic przełknąć z wrażenia. Patrzył z ulgą na przyjaciela, którego przedłużająca się nieobecność spędzała mu ostatnio sen z powiek. Dokuczało mu poczucie winy, że puścił go samego. Nie umiał cieszyć się własnym szczęściem, gdy nie był pewien losu Hassa. Toteż kiedy ten wreszcie wrócił, wymizerowany, ale jednak cały i zdrowy, mógł wreszcie odpędzić od siebie niepokoje.

Reszta oddziału zjawiała się niebawem i natychmiast wszyscy zostali nakarmieni. Przygotowano też żołnierzom miejsca na odpoczynek i zaraz po posiłku większość postanowiła poszukać wreszcie spokojnego snu.

Oficerowie razem z gospodarzami siedzieli w salonie i gawędzili. Lena zaraz po obiedzie zostawiła ich samych. Usiadła na werandzie, w spokojnym, ocienionym miejscu. Wyjęła robótkę, ale nie mogła się na niej skupić. Myśli uciekały jej od kolorowych splotów niespokojnie, umykały spłoszone. Jej spokój prysł. Była teraz w rozterce. A wszystko przez barona von Platena. Miała dla niego wiele cieplej sympatii, czułości nawet. Nie mogła też nie zauważyć jego spojrzeń, wyrażających coś więcej niż zwykły szacunek dla siostry przyjaciela. Nie była mu obojętna, co do tego miała pewność. Dlaczego więc nic nie mówił? Został tu przecież dla niej. Cóż innego mogło go tu trzymać tak długo? Dlaczego więc milczał?

Otworzyły się drzwi od werandy. Pochyliła się nerwowo nad robótką, nie patrząc wcale w tamtą stronę. Kroki. Ktoś szedł w jej stronę. Był już zupełnie blisko. Przystanął.

— Nie przeszkadzam pani, panno Leno? — usłyszała głos Norberta i podniosła głowę.

— Nie, w niczym mi pan nie przeszkadza, baronie — odrzekła.

— Czy mogę posiedzieć tu z panią?

— Jeśli nie ma pan ochoty na towarzystwo przyjaciół...

— Nie, wolę zostać tutaj — rzekł jakoś niespokojnie i usiadł koło niej. — Chciałbym z panią porozmawiać. Muszę pani coś powiedzieć. Nadszedł dobry moment. Nareszcie mogę bez wyrzutów sumienia pomyśleć o sobie, o własnych sprawach. Dopóki Hasso był gdzieś daleko narażony na niebezpieczeństwa, dopóty oddalałem od siebie pragnienie porozmawiania z panią. I jeszcze jedno kazało mi tak długo czekać. Chciałem mieć pewność, że moje uczucia wytrzymają próbę czasu. Czy mogę mówić otwarcie?

— Proszę. Słucham pana z uwagą.

Wyjął jej delikatnie robótkę z rąk, potem ujął jej prawą dłoń i rzekł:

— Proszę na mnie patrzeć, panno Leno. Na wyjazd do Afryki zdecydowałem się głównie dlatego, że przeżyłem zawód miłosny. Dziewczyna, w której miłość wierzyłem, zawiodła mnie. Potem spotkałem panią i pani uleczyła moje zranione serce. Od początku była mi pani bliska, a z każdym dniem stawała się pani zupełnie niezastąpiona. Tylko w pani towarzystwie czułem się spokojny i szczęśliwy. Ciągle jednak miałem w pamięci tamto ciężkie doświadczenie i na dodatek nie wiedziałem, co pani o mnie myśli. Postanowiłem dać sobie i pani czas. Chciałem być pewny, że moje uczucia są prawdziwie silne. Pragnąłem też dać pani możliwość lepszego poznania mnie. Leona wtajemniczyłem w to już dawno. Teraz nie mam już nawet cienia wątpliwości, że bardzo panią kocham i że tamtą dziewczynę na zawsze wyparła pani z mojego serca. Poznaliśmy się na tym pustkowiu, myślę — bardzo dobrze, i mogę liczyć, że w moim pytaniu oraz w pani odpowiedzi nie będzie nic przypadkowego. Pytam więc: Czy zechce pani zostać moją żoną i wrócić ze mną do Niemiec? Mam nadzieję, że nie sprawiam pani swą prośbą przykrości ani nie stwarzam kłopotliwej sytuacji. Chciałbym wierzyć, iż nie pomyliłem się sądząc, że nie jestem pani obojętny.

Patrzył na nią błyszczącymi oczami, jego ręka spoczywająca na dłoni dziewczyny drżała. Lena splonęła się i spuściła głowę.

— Nie pomylił się pan — szepnęła. — Kocham pana od dawna, chyba od momentu, gdy pana poznałam.

Poderwał się rozradowany i wykrzyknął:

— Leno, moja kochana, Leno! Jestem bardzo szczęśliwy. Jesteś tą kobietą, której szukałem od dawna. Jesteś ideałem kobiety — dodał w rozpędzie.

Lena uśmiechnęła się.

— Nie popadaj w przesadę, drogi Norbercie. Nie przeceniaj mnie. Nie jestem ideałem, ale bardzo cię kocham.

Objął ją, przytulił mocno i sam nie wiedział kiedy gorąco ją pocałował. Wzdrygnęła się, lekko odchyliła głowę, ale zaraz potem przytuliła się do niego; pozwoliła całować się i całować.

Naraz tuż obok nich wyrosła wielka postać Rallaha. Lena przestraszyła się, potem zawstydzona poderwała się i chciała uciekać, ale Norbert chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie z powrotem.



— Nie umykaj, skarbie — powiedział lekko. — Teraz będziesz musiała przed całym światem przyznać się do mnie. Zaraz ogłosimy nasze zaręczyny i musimy to godnie uczcić.

Lena usiadła ciężko i westchnęła. Odgarnęła włosy z czoła zarumieniona i drżąca.

— Idź sam do środka. Ja tu zostanę. To wszystko takie dziwne. Lękam się i nie chcę tych pytań, żartów. Tam jest tylu obcych mężczyzn — powiedziała, po czym zerwała się i uciekła do swojego pokoju.

Norbert wrócił do reszty towarzystwa. Panowie siedzieli przy winie i palili cygara. Usiadł i włączył się do rozmowy. Po chwili kapitan Schlehvogt wstał.

— Wybaczcie, panowie, ale muszę się położyć na kilka godzin. Jestem potwornie zmęczony.

Inni podążyli w jego ślady i w salonie została tylko trójka przyjaciół. Hasso był wyczerpany, siedział w głębokim fotelu z głową odrzuconą w tył, nie chciał jednak tracić tych szczególnych chwil, znów bowiem mieli się na długo rozstać.

— Tak tu przytulnie, Leonie — rzekł zmęczonym głosem. — Nigdy tak bardzo nie cenilem sobie domu, wygody, fotela, jak po tej wyprawie, podczas której krótki sen na gołej ziemi był marzeniem nie zawsze do zrealizowania. Opowiadajcie, co porabialiście przez ostatnie miesiące.

Wówczas Norbert wstał uroczyście.

— Pozwólcie najpierw, że coś wam oznajmię. Przed chwilą zaręczyłem się z twoją siostrą, Leonie. Twoją zgodę miałem już wcześniej.

Uśmiech rozpromienił twarz Hassa, a Leon uradowany klasnął w dłonie. Potem złożyli mu szczerze życzenia rodzinnego szczęścia.

— A gdzie jest właściwie Lena? — zapytał nagle Leon.

— Zakłopotana, zawstydzona, przestraszona uciekła do swojego pokoju, gdy jej powiedziałem, że zaraz ogłoszę nasze zaręczyny. Zbyt wielu było nieznajomych mężczyzn.

W tym momencie uchyliły się drzwi i do pokoju wśliznęła się Lena, która zauważyła, że goście udali się na odpoczynek. Panowie poderwali się z miejsc. Leon objął ją szerokim gestem.

— Słyszę, kochana siostrzyczko, że wkrótce mnie opuścisz. Cieszę się z twego szczęścia i smucę, że wyjedziesz i znów będę samotny.

— Najlepiej byłoby, gdybyś mógł pojechać razem z nami.

— Lena ma rację — zauważył Norbert. — Wracaj z nami. Majątek w Turynii możesz przejąć od razu, a splącisz go, gdy będziesz mógł. Zaś tę farmę sprzedasz przez agenta.

Leon pokręcił przecząco głową.

— To niemożliwe. Wszystko by tu podupało. Moja wieloletnia harówka poszłaby na marne. Zostanę tu tak długo, jak będzie trzeba, by sprzedać farmę za godziwe pieniądze. To byłoby zbyt łatwe i zbyt wygodne.

W tym czasie do Leny podszedł Hasso.

— Już w czasie rejsu marzyło mi się, by została pani baronową von Platen. Teraz prawdziwie się cieszę, że tak się stało. Życzę pani wiele szczęścia.

— Dziękuję panu, panie von Ried. Dzięki panu spotkaliśmy się, jest więc pan właściwie autorem naszego szczęścia.

— Jeśli będziemy rozumować w ten sposób, to okaże się, droga panno Leno — roześmiał się Hasso — że to mój skąpy wuj skojarzył wasze małżeństwo. To on wysłał mnie przecież tutaj, a ja tylko pociągnąłem za sobą Norberta.

— Wiele słyszałam o pańskim wuju i raczej nie czuję do niego sympatii, wolę więc podziękować panu.

— Nie wzbraniam się więc już przed tym, by być uznanym za czyjś dobroczyńcę — wesoło skomentował Hasso. — Być może zgłoszę się kiedyś do was po spłatę tego długu wdzięczności, który, jak pani twierdzi, u mnie zaciągnęliście.

Potem zaczęli snuć plany na najbliższą przyszłość. Norbert życzył sobie, by ślub odbył się jak najszybciej. Ustalili więc, że małżeństwo zostanie zawarte w Windhuku. Wówczas Lena pojedzie w drogę powrotną do Niemiec już jako żona Norberta, a jej brat będzie mógł uczestniczyć w ceremonii ślubnej. Norbert postanowił, że przyłączy się nazajutrz do powracającego oddziału, by w Windhuku załatwić wszystkie sprawy, od dania zapowiedzi poczynając, a na telegraficznych zawiadomieniach o zaręczynach w niemieckich gazetach kończąc. Miał też zająć się przygotowaniem wesela. Lena zaś miała z bratem przyjechać nieco później samochodem Deckmannów. Norbert za żadne skarby nie chciał jej narażać na ponowne spędzenie nocy pod gołym niebem.

Gdy klarowały się te plany, Lena nerwowo kręciła się na krześle, a kiedy doszła wreszcie do głosu, powiedziała z przejęciem:

— To wszystko nie jest takie proste. Nie mam czasu ani możliwości skompletowania wyprawy.

Panowie wybuchnęli śmiechem, ale Norbert zaraz, żeby nieco złagodzić ten brak powagi wobec problemu dla Leny tak ważnego, pogładził jej rękę i rzekł:

— Kochana Leno, jesteśmy w Afryce i myślę, że takie sprawy powinniśmy jednak potraktować drugoplanowo. Po co kupować tu bardzo drogie rzeczy i mieć jeszcze kłopot z przewożeniem ich do Europy. Proponuję, byś kupiła w Windhuku jedynie najpotrzebniejsze rzeczy do ślubu i na podróż. Resztę sprawisz sobie w Niemczech.

— To będzie najlepsze wyjście — dodał Leon.

— Poza tym, moja droga — kontynuował Norbert. — I tak chodzi tylko o twoje osobiste rzeczy. W Neuhalten szafy są pełne bielizny i niczego właściwie nie brakuje. Nie martw się drobiazgami, proszę.

Ale Lena wcale nie była uspokojona i natychmiast znalazła nową przeszkodę.

— No, a co powie twoja rodzina na taki szybki ślub i to w Afryce?

— Kochanie, tutaj też nie ma problemu. Bliskiej rodziny nie mam, a dalecy krewni i znajomi nie mają prawa mieszać się w nasze sprawy. Zawiadomię wszystkich, kogo trzeba, o naszych zaręczynach i ślubie. Pewnego dnia zorganizujemy przyjęcie, na którym cię przedstawię, i wtedy przekonają się wszyscy, że nie ożeniłem się z jakąś afrykańską dzikuską, lecz prawdziwą baronówną, która może pochwalić się długą listą przodków. Byłoby mi smutno, gdyby na moim ślubie zabrakło przyjaciół. Są jednak tutaj. Jedynie Rudi Kronau został w Niemczech. Sprawy układają się więc jak najlepiej i mam nadzieję, że niedługo bez zbędnych formalności staniemy na ślubnym kobiercu.

— Nie byłbym tego taki pewny — wtrącił Leon. — Wydaje mi się, że zapowiedzi powinny być ogłoszone w miejscu stałego zamieszkania.

Norbert wznosił do góry ręce i jęknął.

— Zlituj się! Czy to długo potrwa?

— Być może uda się całą rzecz przyspieszyć ze względu na okoliczności. Będiesz chyba jednak musiał wysłać kilka depech do Niemiec i nie będzie to tanie, jak sądzę. W każdym razie wasze wesele w Windhuku przez dłuższy czas będzie ulubionym tematem podczas spotkań towarzyskich. Szkoda, że Deckmannowie już wyjechali. Pani Ilona z całą pewnością zorganizowałaby wspaniałe przyjęcie z tej okazji, a pan Deckmann postarałby się o rozmaite niespodzianki.

Roześmiali się teraz wszyscy jak na komendę.

— Deckmannów nie ma więc w Afryce? — spytał Hasso.

— Dzisiaj, o ile mnie pamięć nie myli, wsiadają na statek w Swakopmund — odparł Leon.

Norbert mrugnął porozumiewawczo do przyjaciela i trochę złośliwie rzekł:

— Teraz jest ci przykro, a wcześniej traktowałeś panią Ilonę bardzo chłodno. Po twoim wyjeździe nieraz mówiła, że byłbyś jedynym mężczyzną, który mógłby na dłużej przykuć jej uwagę. Pan Deckmann uznał, że to znakomity dowcip. Mnie jednak wydawało się i wydaje nadal, że niecierpliwie czekała na twój powrót. Nie wracałeś, wyjechała więc z mężem, chyba do Brazylii.

— Jej zainteresowanie nie było więc tak wielkie — odparł swobodnie Hasso. — Na cudownej farmie więc teraz pustki?

— Raczej tak. W zeszłym tygodniu natomiast hucznie się tam bawiono. Pani Ilona wyprawiła wesele dla swojej gospodyni i zarządcy majątku. Młoda para siedzi teraz w posiadłości, gospodaruje i czeka na powrót Deckmannów. Kto jednak wie, kiedy to nastąpi. Zdaje się, że rychło zobaczymy ich w Niemczech. Obiecali mi, że odwiedzą mnie w zamku. Jestem najszcześniejszym człowiekiem z tego powodu — tu Norbert uśmiechnął się kwaśno. — W rewanżu zostawili nam do dyspozycji swój samochód. Przynajmniej dla Leny jest to jakaś korzyść.

— Ta para prowadzi dość niespokojne życie, zdaje mi się — stwierdził Hasso. — Nie do pozazdroszczenia jest taka sytuacja, gdy człowiek ma tyle farm, tyle domów, że nie wie, w którym ma się zatrzymać na dłużej. Na ironię losu ja jestem ich zupełnym przeciwieństwem. Nie mam żadnego domu, żadnego własnego kawałka ziemi. Może dlatego, że tak pragnę mieć jakieś własne miejsce na świecie, nie mogę pojąć takiego nieustabilizowanego trybu życia.

— To chyba nie jest tak, jak myślisz. Po świecie gnają ich interesy Deckmanna. On po prostu spekuluje tymi posiadłościami. Poza tym musi gdzieś lokować pieniądze, które zarabia jego ojciec.

— Za takie życie koczownicze to ja bardzo dziękuję. Marzę już o mojej wygodnej kawalerce w Berlinie. Niech już te dwa lata jak najszybciej miną. Nie chcę włóczyć się po świecie.

— Dlaczego kawalerka? — droczyła się z nim trochę Lena. — Nie liczy już pan na szczęśliwy los?

— Co ma pani na myśli, panno Leno?

— Nie ma pan zamiaru się żenić? To chyba nie jest możliwe.

— Mówi pani tak, jakby nie znała mojej sytuacji. Żadnej kobiecie nie mogę zapewnić godziwej egzystencji. Jakże więc mogę się żenić? Cały mój dobytek mieści się w trokach przy końskim siodle, panno Leno. Jestem prawdziwym biedakiem i nie wolno mi myśleć o żeniaczce.

— Przecież pan von Kronau też był biedny — nie ustępowała Lena.

— Owszem. Ale to wyjątkowy przypadek. Zakochał się w bogatej kobiecie. Bogate kobiety nie są jednak w moim stylu, według mnie rzadko zasługują na miłość. Nie, to rozmowa niepotrzebna. Rozważyłem wszystko i zrezygnowałem z myśli o małżeństwie. Będę natomiast starał się o miejsce przy pani domowym ognisku. Rozgrzeję się przy was i poznam radość małżeńskiego szczęścia.

— Spodziewam się, że nie żartuje pan teraz i będzie u nas częstym gościem. Będziemy panu bardzo radzi, nieprawdaż, Norbercie?

— Nie muszę tego mówić. Hasso dobrze to wie.

— A skoro już wspomnieliśmy Rudiego. Mielicie ostatnio od niego jakąś wiadomość?

— Nie, ale być może w Windhuku znajdziesz list. On przecież nie wie nic o twoim udziale w wyprawie. Pisał więc prawdopodobnie na adres twojej kwatery sądząc, że wszystko nam przekażesz.

— Tak, to zupełnie prawdopodobne. Sprawa wyjaśni się niebawem, a teraz, moi kochani, muszę was opuścić, po prostu padam ze zmęczenia, od dwóch dni nie zmrzyłem oka.

Leon odprowadził Hassa do jego pokoju, po czym wrócił do salonu, by z siostrą i Norbertem omówić resztę kwestii związanych z weselem.

## XVI

Na ulicach Windhuku panowało ożywienie, gdy oddział wjechał do miasta, prowadząc za sobą jeńców. Komendant przyjął oficerów pochwałami i obietnicą odznaczeń. A następnie zwolnił żołnierzy na krótki, zasłużony odpoczynek. Hasso spotkał się z Norbertem w gospodzie. Rozsiedli się wygodnie przy szklaneczce wina. Hasso miał ze sobą cały stos korespondencji i gazet niemieckich. Znalazł tam też list od Ilony Deckmann, w którym żegnała się z nim w imieniu swoim i męża.

*Nie tracę jednak nadziei, że znów Pana zobaczę, Panie von Ried — pisała. — Nasza znajomość nie może się tak skończyć. Spodziewamy się spotkać Pana w przyszłym roku w Windhuku, być może tam się zjawimy. Jeśli jednak nie przyjedziemy, sądzę, że możemy się zobaczyć w Berlinie, gdzie spędzamy każdą zimę. Piszę więc: Do widzenia.*

*Moje serce podpowiada mi, że wróci Pan szczęśliwie z tej niebezpiecznej wyprawy.*

Papier listowy pani Ilony pachniał delikatnie perfumami, a w słowach odczytać można było więcej, niż mogła napisać. Nie zrobił jednak ten list wrażenia na adresacie. Hasso wzruszył tylko ramionami i bez słowa podał go Norbertowi. Sięgnął zaraz po drugą kopertę. Była od Rudolfa, a na stemplu widniała data sprzed kilku miesięcy. Zaczął czytać.

*Drogi Hasso!*

*Z Twojego listu wynika, że towarzyszy Ci Norbert. Cieszę się, że nie będziesz osamotniony na swoim wygnaniu. Myślę też, że uda Wam się spotkać z Leonem. Gdy siądziecie wszyscy razem, wspomnijcie o mnie, proszę.*

*6 czerwca ożeniłem się i jestem bardzo szczęśliwy. Sam nie rozumiem, jaki przypadek przyniósł mi aż takie szczęście. Nie wiem też, czy rzeczywiście na nie zasługuję. Wszystko układa mi się znakomicie. Nawet stosunki z moją teściową, która początkowo była do mnie wrogo nastawiona, są zupełnie idealne. Moja żona, Lotta, zarzuca mi nawet czasem, że wyrugowałem ją z serca matki.*

*Podróży poślubnej nie mieliśmy. Uznaliśmy to za przesąd i niewygodny zwyczaj. Kiedyś, gdy nikt już nas za nowożeńców brać nie będzie, wyruszymy w jakąś daleką i długą podróż. Wezmę roczny urlop i postaram się pokazać żonie świat. Chciałbym, żeby nasza trasa wiodła również przez Afrykę. Lotta jednak nie chce przekraczać równika. W październiku wybieramy się do Tyrolu, potem parę tygodni spędzimy w St. Moritz. Planów na Boże Narodzenie jeszcze*

nie mamy, ale zgodni jesteśmy co do tego, że w karnawale wybierzemy się na Riwierę. Potem być może podróż śródziemnomorska i dłuższy postój w Egipcie. Wczesną wiosną ruszymy do Szwecji, a lato spędzimy w Norwegii. Potem Anglia i Francja, by wreszcie wypocząć w domu. Cieszę się jak dziecko na tę podróż. Będziemy tylko we dwoje. Pomyśl, cały rok w cudownym sam na sam z najbardziej uroczą kobietą. Aż drzę, że takie szczęście nie może długo trwać. No, ale dość o mnie. Nie zapytałem się nawet, jak się masz, jak znosisz klimat i spartańskie warunki. Czy jest Ci tam bardzo ciężko? Martwię się o Ciebie i odetchnę dopiero, gdy zobaczę Cię bezpiecznego w Berlinie. Lotta nie może już doczekać się na to spotkanie. Na pewno spodoba Ci się u nas. Mieszkamy teraz w pięknej willi w Grünwaldzie i mam do dyspozycji samochód. Gdy z mojej nieprawdopodobnie wysokiej pensji porucznika opłacę napiwki, a z renty uzupełnię garderobę, przychodzi mi do głowy pytanie: Chłopie, jak doszedłeś do tego luksusowego auta? A gdy Lotta zmusza mnie do przejrzenia jej rachunków, włosy stają mi dęba. Nie przypuszczałem nawet, że jest tak bogata. Jakoś mi czasem głupio, mam napady humorów, złoścę się na to niemądre życie i myślę, że nie wszystko jest na świecie tak, jak trzeba. Ale ona się ze mnie śmieje i ciągle powtarza, bym nie myślał o jej pieniądzach w ten sposób, bo to nie jej majątek, ale nasz. I ma nam pomagać w szczęściu, a nie przynosić zmartwienia. Powiedziała mi już nieraz, że to ona wzbogaciła się dzięki mojej miłości, a nie ja dzięki jej pieniądzą. Czy ona nie jest wspaniała?

Ależ jestem niepoprawny. Ciągle tylko mówię o sobie i o swoim szczęściu, podczas gdy Ty siedzisz tam, na tej niegościnnej ziemi. A mam przekonanie, że i dla Ciebie zaświeci kiedyś takie słońce, jakie rozjaśniło moje życie. Proszę, napisz do mnie długi list i opisz wszystko, co Ciebie dotyczy. Nawet jeśli będę w podróży, korespondencja zostanie mi dostarczona. Jak się miewa Norbert? Czy udało się Wam odnaleźć Leona? Napisz jak najwięcej, czekam z niecierpliwością, wierny do końca naszej przyjaźni. I jeśli w moim życiu są jakieś cienie, to tylko z powodu Waszej nieobecności.

Teraz kończę już, bo Lotta już któryś raz zagląda do mojego gabinetu. Niecierpliwi się trochę, bo mieliśmy się wybrać na przejażdżkę.

Do zobaczenia, Stary Przyjacielu. Wracaj do nas zdrowy. Czekamy na Ciebie z utęsknieniem. Uściskaj ode mnie Norberta i Leona.

Twój Rudi

Hasso przez cały czas czytania listu uśmiechał się pogodnie, a teraz gdy skończył, przekazał zaraz kartkę Norbertowi.

— Musisz to przeczytać — powiedział. — Ty, jako szczęśliwy narzeczony, a niebawem mąż, lepiej zrozumiesz nastrój tego listu.

Norbert zagłębił się w lekturze, a tymczasem Hasso przeglądał dalej stos korespondencji. Jego wuj dotrzymał słowa, spłacił długi i przesłał teraz kwity. Nie napisał jednak ani słowa. Natomiast kuzyn Kurt nie zapomniał o obietnicy i dzięki niemu Hasso mógł się dowiedzieć, co dzieje się w Merwedel.

*Drogi Kuzynie!*

*Pragnę zapytać o Twoje samopoczucie. Ucieszyłbym się bardzo, gdybyś coś więcej o sobie napisał. Krótką wiadomość o szczęśliwym przybyciu do Windhuku otrzymałem. Ojciec uregulował wszystkie Twoje sprawy, ja zaś próbuję od jakiegoś czasu przekonać go, że długi nie były efektem Twojej lekkomyślności. Ciągle jeszcze jest przekonany, że pobyt w Afryce wyjdzie Ci na dobre.*

*Wczoraj zapytałem go, co by było, gdyby przydarzyło Ci się tam jakieś nieszczęście. Czy nie czułby się winny? Wtedy lekko zbladł i w typowy dla siebie, oschły sposób odrzekł, że nieszczęście może człowieka spotkać wszędzie. Na przykład mogłaby Ci spaść w Berlinie na głowę cegła. Ale to była poza, widziałem, że przejął się tym jednak.*

*Prawdę mówiąc od jakiegoś czasu ojciec mi się nie podoba. Zmienił się. Nawet z naszą gospodynią już się nie kłóci. Pani Wohlgemut jest zupełnie załamana, bo to nie jest w jego stylu. Twierdzi, że ojciec musi być ciężko chory, skoro stał się tak łagodny. I musi coś w tym być. Dziś wezwałem do niego lekarza, choć wiem, że awantura z tego będzie niemała. Chcę wiedzieć, co się dzieje, i w miarę możliwości coś zaradzić.*

*Rozumiem, że nie możesz ze mną dzielić tej troski. Mój ojciec postarał się o to, byś nie darzył go sympatią. Mnie też nieraz sprawił wiele przykrości, ale jest moim ojcem, kocham go i chciałbym, by wszystko było tak jak dawniej. Przekroczył już siedemdziesiąt lat i nie wolno mi bagatelizować jego złego samopoczucia. Ale dość już o tym.*

*Nie zapomnij, proszę, o tym, co powiedziałem Ci przed wyjazdem. Jeśli tylko potrzebujesz pieniędzy, przy dacie w liście postaw mały krzyżyk, a zaraz wyślę Ci, ile będę mógł. Trzymaj się, Hasso. Serdecznie Cię pozdrawiam.*

*Twój Kurt*



„Porządny z niego człowiek — pomyślał składając kartkę. — Zaraz mu odpiszę”.

Nie zdążył jednak, bowiem następnego ranka otrzymał znów list od Kurta. Na kopercie była czarna obwódka.

*Drogi Hasso!*

*Mój ojciec zmarł wczoraj w nocy. Postanowiłem nie wysłać Ci telegramu. Jesteś zbyt daleko, byś mógł mu towarzyszyć w ostatniej drodze, a i nie był Ci tak bliski, byś mógł mieć żal do mnie, że ta wiadomość dociera do Ciebie spóźniona.*

*Nie umiem wyrazić żalu i smutku, jaki mnie ogarnął po tej stracie. Będzie mi go bardzo brakować. Wychowywał mnie w takiej zależności od siebie, że nie wiem, czy będę umiał bez niego żyć. Wszystkiego muszę się teraz uczyć i nie będzie to łatwe.*

*Mam dla Ciebie jednak miłą wiadomość. Ojciec tuż przed śmiercią zwolnił Cię z obowiązku spędzenia w Afryce dwóch lat. Możesz więc wracać, kiedy tylko zapragniesz. Kazał mi też przekazać Ci, że miał wobec Ciebie lepsze zamiary, niż to się na pierwszy rzut oka mogło wydawać.*

*Równocześnie chcę Cię zawiadomić o mej pierwszej decyzji jako ordynata. Postanowiłem więc podwoić dodatek, który otrzymywałeś z wpływów ordynacji, byś już nie musiał zaciągać długów. Gdyby była to zbyt mała suma na twe utrzymanie, nie mam w tym rozeznania, to powiedz mi to otwarcie i określ, ile potrzebujesz. Uważam Cię za porządnego człowieka i wiem, że moja pomoc nie pójdzie na marne. Nie chcę byś miał kłopoty finansowe, gdy mój majątek rośnie.*

*Nie mam od Ciebie żadnej wiadomości i zaczynam się niepokoić. Zadepeszuj, że otrzymałeś mój list.*

*Pozdrawiam Cię serdecznie.*

*Kurt*

Hasso rzeczywiście nie czuł sympatii do starego ordynata, ale rozumiał smutek Kurta i serdecznie mu współczuł. Natychmiast wysłał depezę, potwierdzającą otrzymanie wiadomości, a potem zasiadł do pisania listu.

Opisał w nim przebieg ekspedycji i swoją nieobecnością wytłumaczył przerwę w korespondencji. Wyraził też swój serdeczny żal z powodu śmierci ordynata i podziękował Kurtowi za powiększenie pensji. Stwierdził, że podwojona suma w zupełności mu wystarczy.

Oświadczył też, że zamierza zostać tutaj aż do upływu zaplanowanych dwóch lat, chyba że jakieś nadzwyczajne okoliczności każą mu wrócić wcześniej. Życie w Afryce jest ciekawe i wiele się można nauczyć.

Zaraz potem napisał drugi list, do Rudolfa, w którym szczegółowo przedstawił całą sytuację, kończąc zawiadomieniem o ślubie Norberta. Zresztą sam Norbert dopisał parę słów i zaprosił przyjaciela z żoną do zamku w Neuhausen.

Hasso był zadowolony, bo wszystko nagle zaczęło się układać. Otrzymał podwyżkę pensji i odzyskał poczucie swobody. Niedawne trudy i ciężkie przeżycia odchodziły powoli w niepamięć.

## XVII

W pierwszych dniach stycznia odbyły się uroczystości weselne Norberta i Leny. Wszyscy przebywający w Windhuku Niemcy brali w nich udział, przy czym przeważali oczywiście oficerowie z jednostki Hassa, z którymi zdążył się Norbert zaprzyjaźnić. Dla miasta było to wielkie wydarzenie.

Zbliżało się afrykańskie lato, ale wysoka temperatura nie była w stanie zakłócić radosnej atmosfery.

Lena z bratem przyjechali parę tygodni wcześniej, zatrzymali się w gospodzie i zajęli się przygotowaniem stroju i orszaku panny młodej. Żony oficerów, znudzone monotonią życia, z radością i energią włączyły się do pomocy. W pewnym momencie Lena stała się postacią centralną i czuła się z tym wyjątkowo źle. Zainteresowanie całego garnizonu krępowało ją i onieśmiało. Norbert żartował czasem z jej obaw, choć pociągała go jeszcze bardziej w chwilach zakłopotania i lęklivego zawstydzienia.

Uroczystości zorganizowano z wielkim rozmachem, jak przystało na ślub przedstawicieli dwóch starych i dostojnych rodów niemieckich. Zabawa była szampańska i nie zakłóciło jej żadne nieprzyjemne zdarzenie, mimo to Lena odetchnęła z ulgą, gdy wszystko już się skończyło. Nie mogła się doczekać następnego dnia, kiedy to mieli odpłynąć z Swakopmund parowcem do Europy. Postanowili z Norbertem, że wysiądą w Bordeaux i stamtąd pojedą do Nicei, gdzie mieli już zamówiony hotel na kilka tygodni. Liczyli, że spotkają tam Rudolfa z żoną.

Pożegnanie z Hassem i Leonem było ciężkie, przywykli do siebie, żyli się, polubili i rozstanie przychodziło im z trudem. Cóż, los rozdzielał ich drogi, trzeba było się z tym pogodzić. Lena nalegała jednak, by brat obiecał jej, że dołoży starań, by jak najszybciej sprzedać farmę.

— Leno, nie musisz mnie zachęcać do powrotu do Niemiec. Majątek w Turynгии pociąga mnie tak bardzo, że nie będę zwlekał nawet dnia. Nie zaprzataj sobie głowy mną i moją samotnością. Wizja dobrej przyszłości w ojczyźnie pomoże mi znieść jeszcze te chwile, które będę tu musiał spędzić. Zresztą zostaje tu Hasso i będziemy się widywać, może razem wrócimy do kraju. Ciesz się więc swoim szczęściem bez przeszkód — powiedział Leon tuż przed wejściem młodej pary na pokład parowca.

I tak rozstali się, ze łzami w oczach, szczęśliwi i smutni jednocześnie. Długo powiewała jeszcze biała chusteczka Leny, długo machał ręką Norbert, a postać stojącego na nabrzeżu Leona zmniejszała się coraz bardziej i stawała coraz mniej wyraźna.

Na dworcu w Windhuku czekał na Leona Hasso. Poszli na szklaneczkę wina i próbowali rozmową osłodzić sobie smutny nastrój, jaki niosą ze sobą zawsze rozstania z bliskimi ludźmi. Leon był przygnębiony, następnego dnia rano miał wrócić na swoją farmę, która po miesiącach pobytu siostry będzie bardziej niż zwykle pusta.

— Wiesz, Hasso, muszę jak najszybciej znaleźć kupca. Marzę już o powrocie do Niemiec. Zbyt długo już tu siedzę.

— Radzę ci skontaktować się z Deckmannem. Jestem przekonany, że kupiłby twoją ziemię.

— Deckmann? Przecież ma farmę, ogromną farmę.

— Kiedyś na statku powiedział, że jest zainteresowany twoją posiadłością. Podobno wcina się ona w jego ziemie klinem. Możesz spróbować zaproponować mu kupno. Być może nie sądził, że nosisz się z zamiarem sprzedaży i dlatego nic na ten temat nie mówił. On lokuje pieniądze w ziemi, a powiększenie farmy to nie lada gratka. Zwłaszcza teraz, gdy wartość gruntów idzie w górę z powodu budowy kolei. Może dać ci niezłą cenę. Zapytać zawsze można, to nic nie kosztuje. Najwyżej stwierdzi, że go to nie interesuje. Wtedy będziesz szukał gdzie indziej.

— Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Deckmann zapłacił za swoją farmę dość dużo i prawdę mówiąc nie sądzę, by reflektował na moje grunty. Pomyślę jednak nad tym. Może

pomysł jest dobry i coś z tego będzie. Choć nie ma co się zastanawiać. Zaraz napiszę do Deckmanna, jego bankier na pewno ma adres.

Gdy rozstali się, było już bardzo późno. Umówili się jeszcze na krótkie spotkanie rankiem następnego dnia, tuż przed odjazdem Leona.

## XVIII

Carry von Hartenfels spędziła lato w idealnym spokoju w posiadłości swojej matki. Goście bywali u nich rzadko, wyłączając Kurta von Rieda, który niemal codziennie odwiedzał obie panie. Ich stosunki znacznie się poprawiły od czasu śmierci starego ordynata. Carry starała się jak mogła rozwiązać przygnębienie Kurta, który był w głębokiej żałobie i stratę ojca znosił bardzo źle. Nie była już dla niego taka obca, oschła, szorstka. Cierpliwie słuchała jego zwierzeń o samotności, o pustce i rozpacz. Radziła mu wyjechać gdzieś, ale zawsze tylko kręcił odmownie głową. Jak długo ona była w Hartenfels, tak długo on nie miał zamiaru opuszczać Marwedel.

Pani von Hartenfels obserwując stosunek córki do młodego ordynata spodziewała się, że lada dzień Carry przystanie na związek z nim. Carry natomiast żyła cały czas w przekonaniu, że Kurt zgodził się wreszcie na rolę dobrego przyjaciela.

Nadeszła zima, a z nią puszysty śnieg. Carry cieszyła się nim jak dziecko. Ubrała się ciepło i pobiegła do matki.

— Mamusiu, wrócę za pół godziny. Śnieg wydaje się taki cudowny, pójdę na krótki spacer. Uwielbiam, jak śnieżne płatki spadają mi na twarz, zatrzymują się na rzęsach. Wspaniała zabawa.

— Wiedziałam, że śnieg wywabi cię z domu. Pamiętaj tylko, że za pół godziny ma się zjawić pan von Ried. Zaprosiliśmy go dziś na obiad.

— Pamiętam o tym, mamusiu. Myślę zresztą, że spotkam go po drodze. Idę aż do kamieniołomu. Gdybyśmy się minęli, zaczeka chwilę. Ale na pewno się spotkamy.

— Dobrze, kochanie. Uważaj tylko na siebie.

I Carry wybiegła. Matka patrzyła na nią przez okno. Szła szybko, prawie biegła, szczupła, zwinna, radosna. Łapała białe płatki na dłoń. Pani von Hartenfels poczuła rozpierającą dumę, że ta cudowna, młoda osóbka jest jej córką. Czy tylko będzie na tyle

rozsądna, by nie przejść ślepo obok szczęścia? Kurt von Ried jest człowiekiem, który dałby jej gwiazdkę z nieba, gdyby tego od niego zażądała.

Carry szła lekka i uśmiechnięta przez śnieżną zadymkę. Świeżość tej bieli i czarodziejsko odmieniony krajobraz wprowadziły ją w cudowny nastrój. Marzyła. Tamten oficer spotkany w Berlinie przyciągał wciąż jej myśli i w przedziwny sposób stawał się jej coraz bliższy. Jego twarz tak często miała przed oczami. Było w tej twarzy coś, co nie dawało jej spokoju, coś, czego nie umiała nazwać. Gdyby miała wyjść za mąż, to tylko za kogoś podobnego do tamtego mężczyzny. Kiedyś złościła się na siebie, że tak często go wspomina, teraz już nie odpędzała myśli o nim. Przypominanie sobie jego rysów, jego gestów sprawiało jej przyjemność. Dziwiła się tylko, że takie przelotne spotkanie mogło przynieść jej takie zauroczenie. Świat wokół był prześliczny, szklista biel mieniła się tysiącem barw. Carry zaczęła się zastanawiać, co by było, gdyby nagle teraz w tym cudownie zimowym lesie spotkała tego człowieka. Jak by się zachowali, co powiedzieli... Naraz zdawało się jej, że ktoś woła. Przystanąła. Cisza. Rozejrzała się. Nikogo nie było. Zaczęła nasłuchiwać. Gdzieś daleko ktoś wołał o pomoc.

„To chyba w kamieniołomie — szepnęła przerażona. — Coś musiało się stać” — i wtedy przypomniała sobie, że przecież od dawna już nikt w kamieniołomie nie pracuje.

Stała bez ruchu, nawet oddech próbowała stłumić. Znowu cisza, tylko las szumiał. Zaczęła podejrzewać, że zdawało jej się, ale w tym momencie dotarł do niej przejmujący krzyk, może jęk, nie była pewna. Ruszyła w tamtą stronę. Droga wiodła tuż przy krawędzi przepaści. Być może ktoś spadł w dół. Zasypanej ścieżki prawie nie było widać. Zaczęła biec, szybko, coraz szybciej, gnana jakimś złym przeczuciem. Las przeredził się i mogła już zobaczyć drogę. Kilkadziesiąt metrów dalej, na brzegu urwiska dostrzegła leżącą ciemną postać. Przeskoczyła rów i ciężko dysząc pochyliła się nad jęczącym człowiekiem. Twarz miał wykrzywioną bólem, ale bez trudu rozpoznała w nim kierowcę Kurta. Rozejrzała się oszołomiona, przestraszona. Droga była zupełnie oblodzona i odbijała teraz promienie słońca niczym lustro. Znowu spojrzała na leżącego, dotknęła delikatnie jego ramienia. Otworzył oczy.

— Na Boga! Co się stało, Hassler? Czy mogę panu pomóc?

— Nie wiem, panienko — jęknął zagryzając z bólu wargi. — Mam chyba złamane nogi. Ale to drobiazg. Mój pan! Mój biedny pan.

— Pan? Co się stało z panem Kurtem?

— Spadł do kamieniołomu. Na dole leży samochód, a on w środku. Nie wiem, jak to się stało... wpadliśmy w poślizg, tylne koło zawisło nad przepaścią, wyskoczyłem, żeby utrzymać

równowagę auta, ale nie mogłem. Przekoziółkowało i spadło w dół. Wołam i wołam, ale pan się nie odzywa. Pewnie stracił przytomność. Trzeba wezwać, panienko, pomoc. Szybko, nie ma chwili do stracenia...

Carry wydawało się, że śni. Nie, to niemożliwe. Szybko jednak opamiętała się, poderwała i spojrzała w przepaść. Na dole kołami do góry leżał samochód z pogniecioną karoserią i wybitymi szybami. Nie wiedziała, co robić. Schodzić do kamieniołomu, czy od razu biec po pomoc? Wróciła do kierowcy. Podłożyła mu mufkę pod głowę. Była zupełnie bezradna.

— Co mogę zrobić? — zapytała. — Przecież nie mogę zostawić tak pana i pana von Rieda...

— Tu jest dróżka, którą chodzili robotnicy. Może zeszlaby pani w dół i zobaczyła, co się tam dzieje. Boję się o mojego pana. O mnie w tej chwili nie musi się pani troszczyć.

— Dobrze, pójdę do samochodu i cały czas będę wołać o pomoc, może mnie ktoś usłyszy. Jak się pan czuje, panie Hassler, czy bardzo pan cierpi?

— Nie mogę się ruszać. Jeśli leżę spokojnie, to da się wytrzymać.

Carry wstała i ruszyła w dół, wołając o pomoc. Głos jej rwał się chwilami, ale nie przestawała, krzyczała, jak tylko mogła najgłośniejszy. Ścieżka była stroma i niebezpieczna, bo świeży śnieg przysypał kamienie i rozpadliny. Dotarła nareszcie do wraku. Zawołał Kurta po imieniu. Cisza. Rzuciła się na kolana i zajrzała do środka. Kurt leżał w dziwnej pozycji wciśnięty pomiędzy siedzenia. Jego twarzy nie widziała. Był zupełnie bezwładny i nie dawał znaku życia. Łzy zaczęły spływać jej po policzkach szerokim strumieniem.

— Przyjacielu, mój drogi przyjacielu — szlochała.

Wstała i na trzęsących się nogach zaczęła się piąć ścieżką w górę. Przemogła się i znów zaczęła krzyczeć o pomoc. W jej głosie brzmiała rozpacz i przerażenie. Gdy była już prawie na górze, usłyszała jakieś głosy.

— Tutaj, tutaj w kamieniołomie! — resztką sił wydobyła ze zdartego gardła głos tak potężny, że odbił się echem od ściany lasu.

Wdrapała się na drogę i zobaczyła wychodzącego z zagajnika leśniczego z Marwedel w towarzystwie dwóch strażników. Pobiegnęła w ich stronę i łkając powiedziała, co się zdarzyło. Mężczyźni byli przerażeni, ale natychmiast ocenili sytuację i wydali jej dyspozycje.

— Proszę biec do Hartenfels, panienko, i przysłać stamtąd wóz, nosze i kilku silnych ludzi. Potem proszę telefonicznie wezwać lekarza. My tymczasem zobaczymy, co da się zrobić.

Spróbujemy wyciągnąć pana ordynata z samochodu. Trzeba się, panienko, spieszyć. Każda chwila jest na wagę złota.

Carry skinęła głową i ruszyła w kierunku domu; biegła jak szalona, nie czuła zmęczenia, nie zwracała uwagi na to, że zaczyna jej brakować tchu. Do pałacu dotarła półżywa. Padła w objęcia matce i wyrzucała z siebie urwane zdania, z których pani Hartenfels z trudem mogła zrozumieć, że stało się nieszczęście i trzeba zorganizować pomoc. Natychmiast zaczęła działać. Wysłała ludzi z narzędziami i kazała przygotować wóz, nosze, koce, poduszki. Postanowiła też sama pojechać na miejsce wypadku. Zarzuciła tylko na siebie futro i wsiadła na wóz. Carry kazała zostać w domu i dzwonić po lekarza.

— Poślesz po niego nasz samochód, żeby przyjechał jak najprędzej — powiedziała. — Potem dopilnuj, żeby przygotowano na parterze dwa pokoje dla rannych. Miejmy nadzieję, że pan von Ried wyjdzie z tego.

Carry została w domu zupełnie rozdygotana, mimo to jednak krok po kroku wykonywała polecenia matki.

Pani von Hartenfels dotarła do kamieniołomu prawie równocześnie z ludźmi, których posłała przed sobą. Leśniczy ze strażnikami wynieśli właśnie Kurt von Rieda na górę. Byli niehumanie zmęczeni, pot spływał im po rozpalonych twarzach. Kurt leżał bez życia na śniegu. Pani von Hartenfels pochyliła się nad nim i odgarnęła mu z czoła zlepione kosmyki włosów.

— Czy on żyje jeszcze, panie leśniczy? — spytała cicho.

— Tak, jeszcze oddycha. A gdy wydobywaliśmy go z samochodu, jęknął. Nie widać żadnych zewnętrznych obrażeń, może więc tylko stracił przytomność lub zemdlał. Miejmy nadzieję, że lekarz zjawi się szybko.

— Nie będziemy tu czekać na lekarza. Przeniesiemy go ten kawałek na noszach. Gdy dotrzemy do Hartenfels, lekarz z całą pewnością już tam będzie.

Przeniesiono nieprzytomnego Kurta na nosze, a pani Hartenfels ułożyła mu poduszkę pod głowę i szczelnie okryła go kocem. Wyniesienie rannego z kamieniołomu na górę było niełatwym zadaniem, bowiem śliska ścieżka pięła się stromo, Kurtowi zaś należało zaoszczędzić wstrząsów. Ludzi do pomocy i asekuracji było jednak dużo, nadspodziewanie szybko więc znaleźli się na górze. Tam na drugie nosze położono szofera. I smutny orszak ruszył lasem w stronę pałacu Hartenfels.

Carry niecierpliwie wyglądała powrotu matki i gdy w oddali ujrzała grupkę ludzi, wybiegła przed dom.

— On żyje, Carry — cicho rzekła pani Hartenfels, gdy wnosili nosze z rannymi do pałacu. — On żyje, a tam gdzie życie, tam zawsze i nadzieja, córeczko.

Dziewczyna westchnęła smutno.

— Carry, czy wszystko jest przygotowane?

— Tak. Lekarz powinien zjawić się lada moment.

Ledwie to powiedziała, a na podjeździe słyszeć dał się pisk hamulców. Trzasnęły drzwiczki i do holu wbiegł lekarz. Pani Hartenfels zaraz zaprowadziła go do pokoju, do którego zaniesiono właśnie Kurta von Rieda. Spojrzał na chorego i poważnie pokiwał głową.

— Żadnych widocznych obrażeń zewnętrznych. Musimy rozebrać pacjenta. Czy zechciałaby nas pani zostawić samych i przysłać mi dwóch silnych służących do pomocy?

Pani Hartenfels wyszła bez słowa, a po sekundzie przy doktorze pojawili się dwaj potężnie zbudowani mężczyźni. Rozebrali młodego ordynata i lekarz przystąpił do badania. Carry z matką niecierpliwie czekały w holu, niespokojne i drżące z obawy o życie przyjaciela.

Nareszcie drzwi się otworzyły. Mina lekarza nie wróżyła nic dobrego. Szedł w ich stronę powoli, patrząc gdzieś w bok, jakby odwlekał chwilę wydania wyroku.

— Panie doktorze, proszę o słowa uspokojenia — rzekła pani von Hartenfels. — Proszę powiedzieć, że wszystko będzie w porządku...

— Niestety, nie mogę. Nie ma żadnej nadziei, że pan von Ried będzie żył. Nawet nie powinniśmy mu tego życzyć. Ma poważnie uszkodzony kręgosłup i gdyby przeżył, co jest mało prawdopodobne, byłby całkowicie sparaliżowany. Możemy się tylko modlić o rychłą, spokojną śmierć. Cierpieć już nie będzie, to ma za sobą.

Carry zachwiała się, byłąby upadła, gdyby nie silne ramię doktora. Podtrzymał ją i bezwolną zupełnie poprowadził do fotela. Usiadła ciężko, była biała jak ściana i nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Czy odzyska przytomność? — spytała wreszcie cichym, rwącym się głosem.

— Nie można tego wykluczyć, ale trudno powiedzieć coś na pewno. Gdyby odzyskał przytomność, jestem zdania, że trzeba ukrywać przed nim beznadziejność sytuacji. Nie będzie czuł bólu, nie będzie więc nic podejrzewał.

— Myślę, że ma pan rację, doktorze. Nie wolno mu dać do zrozumienia, że umiera. Trzeba oszczędzić mu lęku i rozpacz. Wiem, że nie ma do uregulowania żadnych ważnych spraw rodzinnych czy majątkowych. Po śmierci ojca spisał testament. Śmiał się wtedy... — głos pani von Hartenfels załamał się. — Żartował, że zrobił to tylko tak na wszelki wypadek i



że ma pod opieką tylko gospodynię, panią Wohlgemut. Biedny człowiek, nie wiedział, jak rychło ten testament... To straszne, panie doktorze... Nie mogę się z tym pogodzić, pan von Ried był naszym serdecznym przyjacielem. Czy możemy coś dla niego zrobić?

— Nic poza uprzyjemnieniem mu ostatnich chwil, spełnianiem jego życzeń i uśmiechniętą twarzą. Proszę teraz do niego iść. Gdy odzyska przytomność, ucieszy się z obecności pań. Teraz zajmę się szoferem, jemu jeszcze mogę pomóc.

Obie panie skierowały się do pokoju Kurta. Carry postawiła koło jego łóżka krzesło i usiadła. Ze łzami w oczach przyglądała się spokojnej twarzy młodego mężczyzny. Wydawało się, że tylko śpi. Żadnych oznak cierpienia. Słowa doktora wydały się nagle dziewczynie złym snem. To niemożliwe, żeby miał umrzeć. Może lekarz się pomylił, może Kurt zaraz otworzy oczy, uśmiechnie się, podniesie na łokciach i zapyta, skąd się tutaj wziął. Twarz Carry była teraz jak śmiertelna maska. Wszystko nagle się zmieniło, a ona nie mogła nic z tego pojąć.

Pani Hartenfels cichutko wyszła z pokoju i zajrzała do opatrzzonego już przez doktora szofera. Leżał spokojnie, nogę miał usztywnioną i zabandażowaną. Cierpiał już mniej. Przeżywał natomiast męki myśląc o losie swego pana. Ciągłe powtarzał, że nie jest winien, że wpadli w poślizg i nic nie mógł poradzić. Wszystko działo się tak szybko. Pani von Hartenfels uspakajała go, jak mogła.

— To był wypadek. Proszę nie robić sobie wyrzutów. Niechże się pan uspokoi, pańskie nerwy nie pomogą panu von Riedowi, a pan musi wyzdrowieć. Posłaliśmy po pana żonę. Będzie pana pielęgnować. To był tylko wypadek.

Uspokoił się trochę i opadł zmęczony na poduszki.

— Mój biedny pan — jęknął i zakrył twarz ramieniem.

Weszła jego żona, zalekciona, drżąca, ze wszystkich sił udająca spokój. Pani von Hartenfels zostawiła ich samych. Uchyliła drzwi do pokoju Kurta. Carry siedziała bez ruchu, jak skamieniała, przy łóżku przyjaciela. Matka weszła bezszelestnie i cichutko przysiadła na drugim krześle. Naraz zauważyły, że chory poruszył wargami, jego powieki drgnęły, a potem powoli się uniosły. Był zdziwiony widokiem Carry. Uśmiechnął się i wyszeptał:

— Chyba śnię. Ale to dobry sen.

Carry poczuła ucisk w gardle. Niewiele brakowało, a rozplakałaby się głośno. Opanowała jednak to wzruszenie i rzekła zupełnie spokojnie:

— Ach, obudził się już pan. To znakomicie. Jak się pan miewa?

— Dobrze, bardzo dobrze. Tylko jestem zmęczony. Co się stało? Skąd się tu wziąłem? Jak to się stało, że widzę panią przy mnie? Proszę powiedzieć, co się wydarzyło, nic nie mogę sobie przypomnieć — głos miał zmieniony, słowa wymawiał powoli, z wielkim trudem.

Carry czuła na szyi żelazną obręcz. Coś ją dusiło. Nie mogła powiedzieć nawet słowa, żeby nie wybuchnąć niepohamowanym szlochem. Matka dostrzegła to i szybko wyjaśniła:

— Miał pan mały wypadek samochodowy, drogi panie von Ried. Musi pan parę dni spokojnie poleżeć w łóżku.

— Wypadek? — przez jego twarz przemknął cień. Widać było, że usilnie stara się wyłowić coś z pamięci. — Wypadek samochodowy? Aha, zdaje się, że coś sobie przypominam. Wpadliśmy chyba w poślizg. Samochód stoczył się w dół... i ten straszny ból w plecach. Nic więcej nie wiem. Chyba straciłem przytomność.

— Ale teraz już wszystko dobrze, przyjacielu. Lekarz mówił, że nie będzie pan już cierpiał — Carry ujęła jego dłoń i uśmiechnęła się ciepło.

— Nie czuję bólu. Jest mi dobrze, bardzo dobrze. Zwłaszcza że pani jest koło mnie, panno Carry. Patrzy pani na mnie tak jak nieraz we śnie. Była pani częstym gościem w moich snach, panno Carry.

To była ciężka próba. On był dobrej myśli, pełen wiary i miłości, a ona wiedziała, że umiera i musiała się uśmiechać. Wiedziała jednak, że wiele od niej zależy, że może osłodzić mu te ostatnie chwile, dać mu radość i spokój. Postanowiła, że będzie przy nim do końca i sprawi, by czuł się szczęśliwy.

— I ja o panu myślałam — powiedziała. — Zrozumiałam, że pana kocham. To miłość wyczytał pan teraz w moim spojrzeniu. Pragnę wynagrodzić panu moje wcześniejsze zachowanie, mój chłód i obojętność. Czy ma pan jakieś życzenie, które mogłabym spełnić — szepnęła wzruszona, a łza potoczyła się jej po policzku.

Przyglądał się jej badawczo. Zauważył mokre oczy.

— Czy pani płacze z mojego powodu?

— Tak, płaczę, bo pan cierpi, a ja nie mogę panu pomóc. Kocham pana i nie mogę patrzeć na pana ból...

— Wiedziałem, Carry — szepnął — że pani serce kiedyś zabije dla mnie. Czekałem tak długo, ale doczekałem się wreszcie. Moje marzenia się spełniły. Carry, gdy wyzdrowieję, wprowadzisz się do mojego zamku, prawda? Do zamku z siedmioma wieżami...

Czuła, że zaraz zemdleje. Przypomniała sobie wróżbę Cyganki, wróżbę, która nigdy się już nie spełni. Ale to, co wywróżyła Kurtowi, spełni się na pewno. *Ta pani, którą pan kocha, będzie z panem do śmierci. Będzie pana całować, ścisnąć pana dłonie i płakać, gdy pan umrze.* I to miało się spełnić. Spełnić się miała tylko zła wróżba. Serce chciało jej pęknąć. Uklękła przy posłaniu chorego i przytuliła policzek do jego bezwładnej dłoni. Niczego by mu teraz nie odmówiła.

— Tak, Kurcie — rzekła. — Wprowadzę się do zamku z siedmioma wieżami.

Uśmiechnął się do niej uszczęśliwiony jak nigdy dotąd. Oczy jaśniały mu radością.

— Czy może nas pani pobłogosławić, pani von Hartenfels? — spytał cicho.

Matka Carry była głęboko poruszona. Nie wiedziała, czy serce córki rzeczywiście zabiło dla biednego Kurta, czy też stara się osłodzić mu ostatnie chwile i pragnie, by umarł szczęśliwy. Poglądziła umierającego po bladym policzku i rzekła uroczyście:

— Tak, drogi Kurcie, udzielam wam swego błogosławieństwa.

— Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie — powiedział, a jego głos stał się mocniejszy i na chwilę odzyskał swój normalny tembr. — Dziś grzecznie poleżę, a jutro wstanę i wydam dyspozycje, by zaczęto przygotowywać nasz ślub. Jestem taki zmęczony, bardzo zmęczony i taki lekki, jakbym zupełnie nie miał ciała. Nie czuję swego ciała.

— Myślę, drogi Kurcie, że musisz jeszcze poleżeć jakiś czas. Nie ma się co tak spieszyć. Parę dni opóźnienia nie ma znaczenia, a pan musi się dobrze wykurować — powiedziała pani von Hartenfels. — Ma się pan grzecznie sprawować — próbowała zażartować, ale zabrzmiało to fałszywie.

— Dobrze, będę grzecznie leżał, ale mam teraz wielką prośbę. Czy mógłbym na chwilę zostać z Carry sam?

Pani von Hartenfels spojrzała pytająco na córkę. Carry skinęła głową i matka wyszła z pokoju.

— Kochana, czy pocałujesz mnie choć jeden raz, bym był pewien, że to nie jest sen? — spytał, gdy drzwi się zamknęły. — Jestem zbyt słaby, by wziąć cię w ramiona. Pocałuj mnie teraz, Carry, proszę.

Zarumieniła się. Jeszcze nigdy nie całowała żadnego mężczyzny. Ale nie zaprotestowała. Pochyliła się nad nim i przywarła zimnymi wargami do jego ust. Oczy miał zamknięte, ale gdy po chwili podniósł zmęczone powieki, zajaśniały dziwnym, nieznanym jej dotąd blaskiem.

— Byłem w niebie, Carry — wyszeptał. — Śmierć w takiej chwili musi być rozkoszą. Carry, jestem taki słaby, taki strasznie słaby. Wezwij lekarza, niech mi coś zaaplikuje, niech mnie przywróci szybko do sił. Chcę jak najszybciej powieść cię, moja piękna, do ołtarza, a potem wprowadzić do zamku w Marwedel.

Pogładziła jego rozpalone czoło.

— Nie denerwuj się. Potrzebny ci spokój. Lekarz zaraz się tu zjawi, teraz jest u Hasslera.

— U Hasslera? — zdziwił się. — Całkiem o nim zapomniałem. Co z nim?

— Nic poważnego, ma złamaną nogę. To wszystko.

— Biedak! Jest w gorszym stanie niż ja. Pamiętam, że próbował utrzymać samochód, żeby móc wyskoczyć. Nie zdążyłem. Ale jakoś się to skończyło, mogło być gorzej.

Carry czuła, jakby jej ktoś wyszarpywał z piersi serce. Kurt nawet nie podejrzewał, w jakim jest stanie. Boże, jakie to wszystko smutne.

Po jakimś czasie w pokoju zjawiała się pani von Hartenfels z lekarzem. Przybrali pogodne miny, by nie budzić niepokoju chorego.

— A cóż to pan wyprawia, panie von Ried? — spytał żartobliwie doktor. — Nieźle nas pan wystraszył tym wypadkiem.

Kurt uśmiechnął się.

— Czy dużo czasu przyjdzie mi jeszcze spędzić w łóżku, doktorze?

— Kilka dni na pewno. Musi się pan uzbroić w cierpliwość. Ale jest pan pod dobrą opieką, przy takiej pielęgniarce leżenie w łóżku nie będzie nieprzyjemne.

— Rzeczywiście, opiekę mam wspaniałą. Ale czy mogę wiedzieć, co mi właściwie dolega? Nic mnie przecież nie boli, nic mi nie jest. Tylko to straszne zmęczenie, słabość i bezwład.

— To szok nerwowy. Trzeba panu spokoju. Musi pan odpocząć i nie myśleć o niczym. W Marwedel się bez pana jakiś czas obejdą. Proszę tu spokojnie leżeć i kurować się. Na wszelki wypadek, gdyby pan chciał wydać jakieś dyspozycje, zadzwoniłem do pańskiego zarządcy, by przyjechał tutaj.

— To nie było konieczne.

— Tym lepiej, że nie ma żadnych naglących spraw. Proszę teraz odpoczywać.

Lekarz jeszcze raz ujął dłoń chorego i zmierzył mu puls, potem unosząc mu powieki długo wpatrywał się w źrenice.

— Wszystko będzie dobrze, panie von Ried. Zajrzę znów do pana za jakiś czas — rzekł i wyszedł, a za nim ruszyła pani von Hartenfels.

— Przypadek jest zupełnie beznadziejny, proszę pani — rzekł cicho doktor na korytarzu. — Nie ma szans na przeżycie. Myślę, że należy zawiadomić krewnego pana von Rieda, który jest podobno teraz gdzieś w Afryce, jak twierdzi leśniczy. Z całą pewnością nie zostanie kuzyna przy życiu. To nie potrwa długo. Powinien jednak wiedzieć o wypadku. Dobrze byłoby, gdyby pani dopilnowała tego. Zjawi się tu zarządca, a on zapewne zna adres.

— Dobrze, wydam zarządcy polecenie — westchnęła pani von Hartenfels. — Jak pan sądzi, doktorze, ile pan von Ried ma jeszcze czasu?

— Tego nie da się dokładnie powiedzieć. Myślę, że kilka godzin. Teraz muszę odbyć jeszcze kilka wizyt w okolicy, potem wrócę tutaj.

— Proszę wziąć nasz samochód.

— Chętnie. Dziękuję pani bardzo.

— Drogę przy kamieniołomie poleciłam posypać grubą warstwą piasku, żeby uniknąć kolejnego nieszczęścia.

— To dobry pomysł, a w przyszłości trzeba będzie pomyśleć o jakimś ogrodzeniu.

— Zrobimy to. Szkoda tylko, że tak późno. Człowiek zawsze mądry po szkodzie.

Lekarz odjechał. Pani Hartenfels zaś zajęła się na chwilę sprawami domowymi i niecierpliwie wyglądała zarządcy majątku Marwedel.

Tymczasem Carry wciąż nie odstępowała Kurta. Trzymała go za bezwładną rękę i pocieszała, że lada dzień wstanie z łóżka.

— Taki jestem zmęczony, Carry — skarżył się. — Czemu muszę być taki słaby, gdy spotkało mnie takie wielkie szczęście. Zupełnie brak mi sił. Nie mogę się ruszyć. Jestem zmęczony, tak bardzo zmęczony...

Z trudem już unosił powieki, a jego słowa stawały się coraz cichsze.

— Carry, będę śnił o twoim pocałunku. Bardzo cię kocham. Carry... Nie dokończył zdania. Umilkł z jej imieniem na ustach, zasnął.

Dziewczyna czuła tak przytłaczający ciężar, że nawet nie mogła zapłakać. Patrzyła na jego bladą twarz i nie mogła uwierzyć, że nigdy już nie podniesie powiek i nie spojrzy na nią tymi swoimi błękitnymi oczami. Jego dłoń wciąż leżała w jej rękach, zimna, obca dłoń, która nigdy już nie poruszy palcami. Otrząsnęła się. Wstała i położyła jego rękę na kołdrze. Odgarnęła mu jasne włosy z czoła niczym śpiącemu dziecku. Spojrzała w okno. Za szybą tańczyły

płatki śniegu, ale nie czuła już tej radości porannej. Teraz srebrzyste gwiazdki były lodowato zimne i smutne. Spadały na ziemię cicho i okrywały świat śmiertelnie białym całunem. Czuła tylko bolesną gorycz i pustkę.

Matka weszła do pokoju na palcach, podeszła do córki i położyła jej dłoń na ramieniu. Carry wzdrygnęła się, odwróciła, a potem wybuchnęła płaczem.

— To takie przerażające, takie smutne...

— Zrozumiałaś jednak, że go kochasz? Szkoda, że tak późno — powiedziała cicho pani von Hartenfels i objęła czule córkę.

— To było tylko niewinne kłamstwo. Chciałam, żeby umarł szczęśliwy. Nie mogłam inaczej.

— Bogu dzięki. Teraz cieszę się, że go nie kochałaś. Rozpacz po stracie ukochanego jest straszną rzeczą. Nie chciałabym, byś musiała przez to przejść.

— I tak cierpię. Będzie mi go bardzo brakowało, był moim najlepszym przyjacielem. Tracę coś bezpowrotnie, już nigdy nikogo takiego nie spotkam.

Podeszły do łóżka. Kurt leżał spokojnie z dziecięcą, łagodną twarzą. Carry usiadła przy nim. Wywołano panią von Hartenfels, przyjechał bowiem zarządca.

— Koniec jest już bliski — powiedziała smutno.

— Dobry Boże — westchnął zarządca. — Taki młody i musi umierać.

— Tak, panie zarządcu, tak już na tym świecie jest. Śmierć często długo omija starych i niedołężnych, którzy jej wypatrują. Zabiera natomiast młodych, silnych, kochających życie. Pan von Ried na szczęście nie ma świadomości, że odchodzi. Postanowiliśmy mu tego nie uświadamiać. Mam do pana prośbę. Proszę zawiadomić o wszystkim jak najszybciej pana Hassa von Rieda. Powinien wiedzieć, co się tu stało.

— Tak, trzeba go zawiadomić. Ale pani zrobiłaby to lepiej niż ja. Zna go pani i ma więcej rozeznania w tych sprawach.

— Dobrze, napiszę parę słów, a pan zaraz nada depeszę.

W tym momencie pani von Hartenfels przypomniała sobie ojca Hassa. Był jej kiedyś tak bliski. Przeprosiła zarządcę i poszła do swojego pokoju ułożyć treść depeszy. Gdy po chwili wracała z zapisaną kartką, usłyszała bolesny jęk Carry, a potem córka stanęła przed nią biała jak papier.

— Mamusiu — wyszeptała. — Coś jest nie tak. Chodź szybko. Boję się... on chyba nie oddycha. Wydawało mi się, że on cały czas śpi, ale gdy wzięłam jego rękę, była tak lodowata, ciężka... Mamusiu, stało się coś niedobrego...

Podbiegły do łóżka Kurta. Leżał jak wcześniej, pogrążony we śnie. Tylko twarz jakby mu się nieco zmieniła, stała się jeszcze bledsza, niczym odlana z wosku. Pani von Hartenfels pochyliła się nad nim. Nie oddychał. Podniosła jego rękę i próbowała znaleźć puls. Bezskutecznie. Popatrzyła na córkę bezradnie.

— On już się nie obudzi, córeczko — rzekła. — Już nie cierpi.

Carry rzuciła się bezprzytomnie na kolana i opierając głowę na łóżku zaszlochała.

— O mój przyjacielu! Mój najlepszy, najbardziej bezinteresowny przyjacielu.

Podniosła głowę i spojrzała na jego twarz, łagodną, dobrą twarz. Coś w niej krzyczało, że to nie jest sprawiedliwe. Dlaczego? Dlaczego właśnie on? Myśli rozsypały się jej bezładnie. Odszedł, na zawsze odszedł ten człowiek, na którego zawsze mogła liczyć. A potem pamięć przyniosła jej słowa poety:

*Ach, nie znajdę już nigdy nikogo, nikogo, kto kochałby mnie tak, jak ty...*

Wstała i z kamienną twarzą ruszyła ku drzwiom.

— Umarł szczęśliwy — pomyślała. — I nie wiedział, że nigdy nie poprowadzi mnie do ołtarza. Skłamałam. Okłamałam go. Ale przecież było to dobre kłamstwo.

Pani von Hartenfels poszła za nią. Na korytarzu stał zarządca i wyczekująco patrzył na nią.

— Umarł — powiedziała i wskazała na otwarte drzwi pokoju.

Wszedł i stanął przy łóżku. Oczy miał dziwnie wilgotne.

— To był bardzo dobry człowiek — powiedział cicho.

## XIX

Hasso właśnie jadł śniadanie, gdy wszedł Treumann i zawiadomił go, że nadeszła depesza.

— Depesza? Dla mnie? — zdziwił się.

— Tak jest — odparł Treumann i podał mu telegram.

— Dziwne. Kto mógłby do mnie depeszować? — zastanawiał się otwierając kopertę telegramu.

Spojrzał na kartkę przelotnie. Oczom własnym nie wierzył. Czy to możliwe?

*Kurt von Ried miał wypadek samochodowy. Zmarł przed chwilą. Zarządca prosi o instrukcje.*

*Baronowa von Hartenfels*

Przeczytał telegram jeszcze raz, a potem znów. Sens słów dotarł wreszcie do niego. Przerazony wypuścił kartkę z rąk. Kurt? Kurt nie żyje? To niemożliwe! Poczł nagle jakiś straszny zniewalający żal, ból. Polubił go ostatnio. Dał mu się poznać jako prawdziwie dobry, szlachetny człowiek. Kurt umarł. To straszne. Myśli kłębiły mu się w głowie. Jak to się mogło stać. Był taki młody, silny... Myśl, że został właśnie ordynatem na Marwedel przyszła mu do głowy dużo później. Podniósł depeszę i ponownie ją przeczytał. Oszołomiony pokręcił głową. Coś straszego. Nie umiał się cieszyć, że tak nagle stał się bajecznie bogatym człowiekiem. Zbyt wysokim kosztem to się stało. Siedział jak porażony. Kurt zginął w wypadku. Co za straszna wiadomość. Ocknął się wreszcie i zawołał adiutanta.

— Idź szybko do gospody i poproś tutaj do mnie pana Leona. Spiesz się, bo ma dzisiaj rano jechać na swoją farmę. Powiedz mu, że muszę się z nim natychmiast widzieć. Gdyby mnie tu nie było, niech poczeka. Teraz idę starać się o zwolnienie ze służby. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Treumann popędził do gospody, w której zatrzymał się Leon von Holms, a Hasso z telegramem w rękach poszedł do garnizonu, do swoich przełożonych, by poprosić o długoterminowy urlop. Otrzymał go bez kłopotu. Było zupełnie naturalne, że musiał wrócić teraz do Niemiec i uporządkować swoje sprawy majątkowe. W drodze do kwatery wciąż



jeszcze nie mógł pozbierać myśli. W głowie miał zamęt. Ledwie wszedł, a zaraz pojawił się zdyszany Leon.

— Co się stało, Hasso? — zapytał. — Cóż to za dziwny pośpiech?

— Przeczytaj to, proszę — Hasso podał mu telegram bez dodatkowych wyjaśnień.

— Do licha! Ależ to absolutny zwrot w twoim życiu — skomentował Leon po zapoznaniu się z treścią depeszy.

— Rzeczywiście. To przyprawiło mnie o zawrót głowy. Jestem przerażony. Nigdy nie myślałem, że mogę zostać ordynatem. Poza tym to stało się tak szybko, tak nieoczekiwanie. Mój wuj zmarł nagle, wydawało się, że jest w niezłej formie. A potem ta historia z Kurtem. To był wielki, zdrowy chłop, siłacz. Młody, spokojny człowiek. Któż mógł pomyśleć, że umrze tak wcześnie. Wypadek samochodowy i po wszystkim.

— W tej sytuacji nie miało znaczenia, że był silny, młody i zdrowy.

— Leonie, jestem zupełnie oszołomiony. Przeraża mnie ta śmierć, nie mogę się z nią pogodzić. Ciągle mam go teraz przed oczami, ciągle go widzę, nie mogę uwierzyć, że nie żyje. To był porządny i szlachetny człowiek. Ostatnio zrobił dla mnie tyle dobrego. Boli mnie ta strata. Chce mi się po prostu wyć. I na dodatek mam odziedziczyć po nim ogromny majątek. Nie umiem myśleć o tym spokojnie, uwierz mi.

— Wierzę i rozumiem cię znakomicie. Minie sporo czasu, zanim zaczniesz się zwyczajnie cieszyć tymi dobrami, zamkiem, pieniędzmi. Pomyśl tylko o tym, że nie życzyłeś nikomu nic złego, nie ty spowodowałeś wypadek. Ot, zdarzyło się. Nikomu nic nie odebrałeś, po prostu przyszła kolej na ciebie i musisz przyjąć to zupełnie normalnie. Co teraz zamierzasz robić?

— Jeszcze nie postanowiłem. Chciałem się poradzić ciebie.

— Najpierw musisz oczywiście potwierdzić otrzymanie telegramu. Kim właściwie jest ta pani, która się pod nim podpisała?

— To najbliższa sąsiadka. Spotkałem ją kilka razy w Marwedel. Trudno powiedzieć, dlaczego ona właśnie przysłała depeszę. Być może była przy Kurcie w chwili śmierci.

— Musisz więc zatelegrafować do niej i do zarządcy.

— Tak, ale co potem... Muszę się zorientować, kiedy wypływa jakiś statek do Europy. Czy mógłbyś zostać ze mną jakiś czas? Potrzebuję doradcy.

— Oczywiście, aż tak bardzo na farmę mi się nie spieszy. Mam tam pewnych ludzi, dopilnują wszystkiego.

— A co z Deckmannami? Napisałeś do nich?

— Tak, właśnie przed chwilą wysłałem list.

— Byłoby dobrze, żeby odpisali jak najszybciej i byli zainteresowani kupnem twojej posiadłości. Nie musiałbyś tu zostawać sam zbyt długo.

— Nie chcę nawet myśleć o tym, co będzie, jak wyjedziesz. Nie będę już miał do kogo ust otworzyć.

— Może jednak wszystko pójdzie po twojej myśli, Leonie.

Potem Hasso zabrał się do redagowania treści dwóch telegramów. Do pani Hartenfels napisał:

*Dziękuję za wiadomość. Jestem głęboko wstrząśnięty.*

*Uszanowanie.*

*Hasso von Ried*

Depesza do zarządcy Heilbronna brzmiała:

*Proszę na razie działać według własnego uznania.*

*Ried*

Zjawił się wezwany Treumann i Hasso oświadczył mu krótko:

— W najbliższym czasie wracam do Niemiec.

Ordynans był niezmiernie zdziwiony.

— Czy pan porucznik zabierze mnie ze sobą? — zapytał.

— Oczywiście. Wiem przecież, że do Afryki przyjechałeś ze względu na mnie. Gdy skończysz swoją służbę, zostaniesz na stałe u mnie w Marwedel.

— Wedle rozkazu! — rzekł ordynans i odetchnął z ulgą. — Bardzo chciałbym zostać z panem porucznikiem. Mamy jeszcze rachunki do wyrównania.

— Słucham? Co ty mówisz?

— Nie pamięta pan porucznik tych dwóch czarnych zbirów?

— Ależ Treumannie, jesteśmy przecież kwita. Jednego z nich załatwiłeś, ratując mi życie.

— To było trochę inaczej i uważam, że mam dług, który muszę spłacić. Hasso serdecznie się roześmiał.

— Zbyt sobie bierzesz to do serca. Trudno się tak rozliczać, ale tak czy siak pojedziesz ze mną do Niemiec. Teraz zanieś, proszę, na pocztę te depesze i wyślij je prędko.

Ordynans pobiegł na pocztę, zaś przyjaciele zajęli się pogawędką. Starannie jednak omijali temat śmierci Kurta, zbyt był smutny dla Hassa, a Leonowi uświadamiał, że zostanie zupełnie osamotniony w tej odległej kolonii.

Na drugi dzień Leon postanowił wybrać się jednak na farmę i dopilnować swoich interesów. Najchętniej jednak podążyłby w zupełnie innym kierunku i wsiadł na statek z przyjacielem.

Parowiec Hassa miał odpłynąć w połowie grudnia i zawinąć wprost do portu w Hamburgu. Zostało tylko kilka dni, podczas których trzeba było uporządkować wszystkie sprawy w garnizonie. Zwrócił się już z oficjalną prośbą o zwolnienie ze służby, motywując to koniecznością objęcia ordynacji. Teraz pozostawało tylko spakować rzeczy i wysłać je do portu. Spędził tu osiem miesięcy, tylko osiem, a wydawało mu się, że od momentu, kiedy pierwszy raz postawił stopę na tym kontynencie, minęły lata.

XX

W Hartenfels obchodzono święta Bożego Narodzenia jak zwykle uroczyście. Jednak ani matka, ani córka nie miały świątecznego, radosnego nastroju. Wciąż jeszcze nosiły w sobie smutek z powodu śmierci młodego ordynata. Nie mogły otrząsnąć się z przygnębienia. Wszystko przypominało im tę tragedię. Dlatego też pani von Hartenfels zaproponowała córce wyjazd do Berlina. Sądziła, że rozerwą się trochę. Trwał przecież karnawał. Carry jednak nie chciała o tym nawet słyszeć.

— Zostańmy tutaj, mamusiu — poprosiła. — Nie mam ochoty na zabawę.

— Mimo to powinnaś znaleźć się między ludźmi, ochota do zabawy przyjdzie sama.

— Nie, nie chcę nigdzie wyjeżdżać. Nie chcę brać udziału w hałaśliwych imprezach i patrzeć na cudzą wesołość. Jest mi tu dobrze, dobrze z myślami o moim zmarłym przyjacielem.

— Dziecko drogie, tak nie można. Nie zamykaj się w sobie.

— Nie martw się, mamó. To minie, ale na razie wolę od ludzi nasze lasy i ciszę. Może pojedziemy w marcu na zakupy. Przykro mi, że psuję ci przyjemność. Wiem, że zależy ci na pobycie w Berlinie. Pozwól mi jednak cieszyć się tym, co mamy tutaj.

— Nie mogę cię zmuszać, Carry. Zostańmy w domu. Tylko tutaj jest tak pusto, cicho. W Marwedel nie ma nikogo. Może zaprzyjaźnimy się z nowym ordynatem, gdy przyjedzie. Powinien zawitać tu lada dzień. Z Afryki wypłynął przecież w połowie grudnia.

Carry przyjęła tę wiadomość obojętnie. Śmierć Kurta zmieniła w niej wszystko, nie była już tą samą wesołą dziewczyną. Godziny spędzone przy łóżku umierającego przyjaciela sprawiły, że nagle spowaźniała, wydorosłała, że zaczęła sobie zadawać pytania, które przedtem nie przyszyłyby jej do głowy. Osoba nowego ordynata była jej zupełnie obojętna. To był obcy człowiek. Nikt nie zastąpi jej przyjaźni Kurta, nikt nigdy nie będzie jej tak kochał. Pewnego dnia jednak przyszło jej na myśl, że od nowego ordynata mogłaby się dowiedzieć czegoś o tym oficerze, którego spotkała niemal przed rokiem w Berlinie. Mogła go dokładnie opisać i pan von Ried nie powinien mieć kłopotu ze zidentyfikowaniem go.

Był słoneczny, styczniowy dzień. Śnieg pokryty leciutką lodową warstwą opalizował tysiącem kolorów, rozświetlając bajkowo zimowy pejzaż. Carry wracała ze ślizgawki. Szła powoli. Spojrzała na górę rozdzielającą ich majątek od ziem posiadłości Marwedel. Przystanąła. Ta szeroka, spadająca w dół droga była znakomitym, naturalnym torem saneczkowym. Często z niego korzystała, dziś zaś wyglądał wyjątkowo zachęcająco. Zerknęła na zegarek. Do popołudniowej herbatki z matką miała jeszcze godzinę. Pomyślała, że może tę godzinę wykorzystać. Podeszła do małej komórki, którą kazała tutaj postawić na sprzęt zimowy. Otworzyła kłódkę i wyjęła sanki. Łyżwy wrzuciła do środka, a białą włóczkową czapkę wcisnęła mocniej na głowę, po czym pomaszerowała w górę. Policzki miała zaróżowione i oddychała głęboko. Po raz pierwszy od śmierci Kurta czuła się lekka. Na szczycie ustawiła pieczołowicie sanki, usiadła, nogi ułożyła na płozach i balansując ciałem pomknęła w dół z głośnym, radosnym okrzykiem. Była zachwycona, drzewa migały, a oczy zasły jej od pędu łązami. Nie widziała, że jest obserwowana. U podnóża góry stanął młody, szczupły, wysoki mężczyzna i ze zdziwieniem przyglądał mknącej w szalonym pędzie na sankach dziewczynie. Przejechała obok niego tak szybko, że nie dostrzegł nawet jej twarzy, ale sanki zatrzymały się niezbyt daleko. Usłyszał, jak młoda dama zawołała:

— Jeszcze raz!

Carry zeskoczyła z sanek i ruszyła znów w górę. I wtedy nagle zobaczyła nieznanego. Przestraszyła się. A potem patrząc na niego w zupełnym osłupieniu stała jak skamieniała.

— Boże, to przecież on — szepnęła do siebie.

Nie miała żadnych wątpliwości. To był ten mężczyzna, który pomógł jej rozsupłać zaplątaną o uchwyt w taksówce bransoletkę.

— To jakiś cud — pomyślała.

Stał teraz przed nią jak zjawa, jak postać, co uciekła z jej snu i zmaterializowała się dziwnym zrzędzeniem losu.

To nie był jednak sen. Hasso przyjechał do Marwedel dzisiejszego ranka, a cudowna pogoda sprawiła, że wybrał się na przechadzkę po okolicy. Nie poznał jej, wyglądała przecież zupełnie inaczej w sportowym stroju z naciśniętą na oczy czapką. Nie skojarzył jej z torebką i listem. Tylko jej błyszczące oczy nasunęły mu niejasne poczucie, że widzi ją nie po raz pierwszy. Zauważył jej zdenerwowanie. Podszedł więc szybko, uklonił się i rzekł:

— Proszę mi wybaczyć, zdaje się, że panią przestraszyłem. Przechodziłem tędy, zobaczyłem, że zjeżdża pani, zatrzymałem się na chwilę i byłbym wpadł pani pod płozy. Przepraszam, jeśli przeze mnie się pani zdenerwowała.

Carry zorientowała się, że jej nie poznał.

— Nic się nie stało. Nie mam panu czego wybaczać — powiedziała i chciała go wyminąć.

Zastąpił jej drogę.

— Zanim pani odejdzie, chciałbym się przedstawić. Jestem baron von Ried.

Drgnęła i spojrzała mu głęboko w oczy.

— Baron von Ried? Hasso von Ried, nowy ordynat na Marwedel? — zapytała ogromnie zdziwiona.

— Tak, łaskawa pani — odparł z uśmiechem. — I zdaje mi się, że pani znajduje się na moim terenie. Zakładam, że nie jest pani dobrą wróżką. Czy mogę więc spytać, z kim mam przyjemność?

Przez chwilę milczała, patrząc na niego w głębokim zdumieniu. Przez głowę niczym błyskawica przemknęła jej myśl o wróżbie cyganki, która do połowy się już sprawdziła. Czy to możliwe, żeby spełniła się też druga połowa, ta, która dotyczyła właśnie jej. Poczowała, że robi się jej gorąco. Pan na zamku z siedmioma wieżami się zmienił... czy ona rzeczywiście wkroczy tam jako... O, Boże! Wydawało się jej, że grunt umyka jej spod stóp. Gorąca krew uderzyła jej

do głowy. Zdjęła czapkę, żeby trochę ochłonać. Złote włosy rozsypały się jej na ramiona, a słońce prześwietlało je, tworząc wokół głowy aureolę. Hasso stał jak urzeczony. Ta śliczna dziewczyna wydała mu się znajoma. Ale nie miał czasu długo się nad tym zastanawiać, bo Carry opanowała się już i ze swobodą powiedziała:

— Pan się myli, panie von Ried. Nie jestem na pańskim terenie, to raczej pan jest tutaj gościem. Ta część góry należy do Hartenfels. A ja jestem Carry von Hartenfels, nie zaś wróżką z bajki.

— Jest więc pani córką mojej uprzejmej sąsiadki, pani von Hartenfels. Miałem zamiar złożyć pani matce jutro wizytę, by podziękować za depeszę.

— Mama na pewno bardzo się ucieszy. Nie wiedziałyśmy, że pan już przyjechał do Marwedel.

— Jestem tu dopiero od kilku godzin.

— Odbył pan długą i męczącą podróż, nieprawdaż?

— To prawda. Ale przeszkodziłem pani w saneczkowaniu. Proszę się mną nie krępować. Tor wygląda wspaniale. Być może poproszę kiedyś pani matkę o pozwolenie skorzystania z niego.

Carry popatrzyła na zegarek.

— Nie mam już czasu, muszę wracać. Mama czeka na mnie z herbatą. Schowam tylko swoje sanki i biegnę do domu.

— Czy mogę pani pomóc?

— Nie chcę pana fatygować.

— To żadna fatyga, raczej przyjemność — to mówiąc wziął z jej rąk sanki i zaniósł do drewnianego baraczku. — Nie nudzi się pani tutaj? — zapytał zamykając chybotliwe drzwiczki.

Pokręciła przecząco głową.

— Nie wiem, co to nuda. Aha, chwileczkę, proszę nie zamykać drzwi. Chcę zabrać jeszcze swoje łyżwy do domu.

Zniknęła w komórce i po chwili wyszła z łyżwami pod pachą. Potem zamknęła dokładnie drzwiczki i przekręciła klucz w kłódce.

— Czy uzna to pani za nieeleganckie narzucanie się, gdy zaproponuję zanieśenie pani tych łyżew do domu? Zostaniemy przecież najbliższymi sąsiadami, dlatego ośmielam się prosić o pozwolenie odprowadzenia pani.

— Jeżeli najbliższy sąsiad nie ma teraz nic lepszego do roboty, to chętnie skorzystam z pomocy i towarzystwa. Musi mi pan jednak obiecać, że nie zawróci tuż przed naszymi drzwiami. Zapraszam pana na filiżankę herbaty.

— Nie wiem, czy to wypada. Nie zapowiedziałem się wcześniej — zastrzegł się Hasso.

Carry zauważyła jednak, że zaproszenie przypadło mu bardzo do gustu.

— Myślę, że nie musimy robić ceregieli. Mama zna pana.

— Owszem. Nie miałem jednak okazji poznać pani, niestety.

Carry uśmiechnęła się tajemniczo. Miała ochotę powiedzieć mu, że widzieli się w Berlinie. Przemilczała to jednak. Nie miała ochoty dać mu do zrozumienia, że tak dobrze go zapamiętała po tak przypadkowym i króciutkim spotkaniu.

— Rzeczywiście los tak kierował naszymi sprawami, że mijaliśmy się i gdy ja bywałam w Marwedel, nie było tam pana. No i odwrotnie, oczywiście, gdy bywał tam pan, mnie nie było w okolicy. Zresztą bardzo rzadko odwiedzałam zamek. Pański wuj nie był zbyt gościnnym i zbyt uprzejmym człowiekiem. Takie przynajmniej jest moje zdanie.

— Mam identyczne przekonanie. Natomiast Kurt, mój kuzyn, był przeciwieństwem swego ojca.

Oczy Carry zaszyły smutną mgiełką na wspomnienie Kurta.

— To za mało powiedziane. On był naprawdę dobrym, szlachetnym człowiekiem i był moim najlepszym przyjacielem.

— Widzę, że jego śmierć wywarła na pani wielkie wrażenie.

— To było straszne. Po prostu straszne — powiedziała łamiącym się głosem, a oczy jej zwilgotniały. — Dotąd nie mogę spokojnie myśleć o jego śmierci. Znalazłam go w tym kamieniołomie i u nas w domu umarł. Byłam z nim do końca, do ostatniej chwili siedziałam przy nim. Taki straszny wypadek. Samochód wpadł do kamieniołomu. Proszę spojrzeć w tamtą stronę — wskazała mu kierunek ręką. — Tam, za tymi drzewami, może pan dostrzec odcinek drogi, na której samochód Kurta wpadł w poślizg i stoczył się w przepaść.

Spojrzał w tamtą stronę. Z tego miejsca widoczny był jedynie maleńki kawałek drogi i w tym sielskim krajobrazie wcale nie wyglądał groźnie.

— Niewiele jeszcze wiem o tym nieszczęściu. Czy może mi pani powiedzieć coś na ten temat?

Skinęła smutno głową i przedstawiła mu szczegółowo wszystko, co zdarzyło się tamtego dnia, pierwszego dnia prawdziwej, śnieżnej zimy. Pominęła tylko swoje kłamstwo. Po co mówić o najbardziej osobistych uczuciach zmarłego. Na koniec dodała:

— Wybudowano w miejscu wypadku mur, by już nikomu nie zdarzyło się podobne nieszczęście.

Hasso bardzo spoważniał, odkąd zaczęli rozmawiać o Kurcie i jego wypadku. Słuchał opowieści Carry ze zdwojoną uwagą i przeżywał razem z nią tę smutną historię.

— Byłem wstrząśnięty wiadomością o śmierci mojego kuzyna — rzekł poważnie, gdy dziewczyna skończyła i otarła rękawem łzy. — Przeżyłem to głęboko. Tym trudniej było mi się z tym pogodzić, że w ostatnich czasach zmieniłem zdanie o Kurcie. Wcześniej miałem mu, chyba niezbyt sprawiedliwie, wiele do zarzucenia i raczej go nie lubiłem. A potem okazało się, że zupełnie go nie znałem i zobaczyłem, że był wartościowym, szczerym człowiekiem.

— Był najlepszym człowiekiem, jakiego znałam — dodała cicho. — Kierował się w życiu sercem. Nikomu nie chciał sprawić przykrości. Czasem wydawało mi się, że ma słaby charakter, bo we wszystkim ulegał ojcu i nawet nieraz śmiałam się z niego. A ta pozorna słabość płynęła ze szlachetności jego serca, dobrego serca...

— Mówi pani o nim bardzo pięknie. I mi jest ciężko pomyśleć, że odszedł tak młodo. Pociesza mnie tylko to, że nie był świadom, że umiera.

— To i dla mnie było ulgą. On zasnął, spokojnie zasnął. Na zawsze zachowam go w pamięci.

— Ja również. Żałuję, że tak krótko byliśmy w dobrych stosunkach. Gdy myślę o tym wszystkim, jest mi wstyd, że oceniałem go fałszywie, a on okazał mi tyle serdecznych uczuć.

— Taki już był. Myślę, że bardzo pana lubił i szanował, panie von Ried. Wiele razy mi o panu opowiadał i zawsze dodawał, że byłby pan lepszym niż on ordynatem. Cenił pana i mówił to bez zazdrości, raczej ze smutkiem, bo martwił się pana sytuacją.

— Czy będę dobrym ordynatem, to dopiero się okaże — Hasso był trochę tym skrepowany.

— Wierzę, że Kurt miał rację.

— Jego ojciec był innego zdania niż on i wysłał mnie na wygnanie.

— To o niczym nie świadczy. Stary ordynat był człowiekiem surowym i nietolerancyjnym. Kurt wstydził się za to, że wysłał pana tak daleko i to bez powodu. Jego ojciec nie był w stanie zrozumieć, że życie w mieście kosztuje dużo więcej i że nie rozruca



pan pieniędzy na prawo i lewo. Kurt kiedyś opowiedział nam, że otrzymuje pan pensję pokrywającą jedynie połowę koniecznych wydatków. Miał to wszystko wyliczone i było jasne, że nie mógł się pan nie zadłużyć.

— Kurtowi więc zawdzięczam, że nie ma mnie pani teraz za lekkomyślnego utracjusza.

— Ma pan rację. Dzięki Kurtowi mamy o panu dobre zdanie.

— Będę się starał, żeby pani nie zmieniła o mnie opinii po bliższym poznaniu.

Zarumieniła się ledwo dostrzegalnie. Zaczynało robić się niebezpiecznie, mogła się w każdej chwili wygadać, że myślała o nim od dawna. Szybką decyzją postanowiła zmienić temat.

— Czy w Afryce miał pan jakieś przygody? Proszę opowiedzieć mi coś o tym kontynencie.

Manewr udał się znakomicie i już do końca drogi do domu Hasso opowiadał o swoim pobycie na afrykańskiej ziemi. Dotarli do pałacu i Hasso zawahał się wyrazić.

— Co więc z naszą herbatą, panie von Ried? Czy zechce pan do nas wstąpić? — Carry uśmiechała się zachęcająco.

— Z przyjemnością, co jednak powie pani matka na takie najście.

— Proszę się nie obawiać. Wytlumaczę pana.

— Jeśli tak, to z radością wypiję filiżankę herbaty w tak miłym towarzystwie. W Marwedel jest raczej ponuro, a pani Wohlgemut, choć przeżyła ostatnio jakąś metamorfozę, nie jest zbyt sympatyczna i wesoła.

— Pani Wohlgemut nie wygląda na zdrową. Wygląda tak, jakby od śmierci starego pana ordynata toczyła ją wewnętrzna choroba. No, i jest podejrzanie łagodna — to ostatnie zdanie powiedziała Carry z żartobliwym przymrużeniem oka, a zaraz potem dodała:

— Ale nie będziemy stali przecież całe popołudnie pod drzwiami. Zapraszam pana do środka.

Wszedł trochę skrupowany swoją nie zapowiedzianą wizytą, ale skrupuły opuszczały go szybko wobec naturalnego zachowania Carry. Po chwili stanął przed panią von Hartenfels, która miło uśmiechnięta podała mu na powitanie dłoń.

— Nareszcie pan zjawił się tutaj, panie von Ried. Cieszę się z naszego spotkania, choć zawdzięczam je smutnej okoliczności.

Hasso skłonił się z szacunkiem i pocałował ją w rękę. Przyjrzał się jej przy tym z uwagą.

— Już wiem, kogo przypomina mi ta panna — pomyślał — swoją matkę, oczywiście. Te same jasne oczy i ta sama ciemna oprawa.

Uspokoił się i przestał zastanawiać nad tym, gdzie i kiedy mógł widzieć tę śliczną dziewczynę.

— Łaskawa pani zechce mi wybaczyć wtargnięcie do tego spokojnego domu — próbował się tłumaczyć. — Pani córka znalazła mnie w lesie i zapewniła, że mogę liczyć na wyrozumiałość z powodu złamania pewnych konwenansów.

— Wyobraź sobie, mamusiu, że mało nie przejechałam pana von Rieda sankami. Jestem więc winna mu jakąś rekompensatę i stąd moje zaproszenie. A ponieważ pan von Ried, zupełnie jak nasz nieodżałowany Kurt, jest zaniepokojony i przestraszony nagłą łagodnością pani Wohlgemut, obiecałam mu nasze towarzystwo przy popołudniowej filiżance herbaty. Myślę, że pozwolisz mi dotrzymać słowa — mówiła szybko i wesoło Carry.

Pani von Hartenfels z radością przyjęła ożywienie córki, która do dzisiejszego ranka była smutna i osowiała. Wizyta Hassa wywarła na Carry wielkie wrażenie i pojawiła się nadzieja, że nie wróci już stan przygnębienia i melancholii.

— Bardzo jestem rada, że przyszedł pan do nas tak po prostu, jak przychodzi się zwykle do dobrych sąsiadów, bez zbędnych ceregieli — powiedziała pani von Hartenfels serdecznie. — Ostatnio było u nas smutno i pusto. Cieszymy się z każdego gościa, który zechce do nas zawitać, a co dopiero mówić o kimś tak miłym jak pan, panie von Ried.

— Zostawię państwa samych na chwilę — wtrąciła Carry. — Chciałabym się przebrać. Przepraszam. Wrócę za pięć minut.

I wybiegła z pokoju. Tymczasem pani von Hartenfels zaprosiła Hassa do salonu, gdzie już nakryty był stół. Cienka, delikatna porcelana i srebrna zastawa, wszystko w najlepszym guście. Pani domu zadzwoniła na służącego i dyskretnie dała mu znak, by podał dodatkowe nakrycie. Hasso czuł się tu spokojnie i przyjemnie, dawno już nie zaznał komfortu i ciepłej atmosfery. Wydawało mu się, że bywał w tym domu od niepamiętnych czasów. Tymczasem drzwi otworzyły się i do salonu weszła Carry w eleganckiej sukni z ciemnoczerwonego jedwabiu. Szeroki, koronkowy kołnierz urozmaicał prosty krój sukienki i podkreślał piękną, smukłą szyję dziewczyny. Hasso popatrzył na nią z nie ukrywanym podziwem.

Zapalono lampę o abażurze z kwiecistego jedwabiu i w pokoju zrobiło się jeszcze przytulniej, milej, spokojniej. Hasso odprężył się zupełnie. W towarzystwie tych dwóch pięknych i eleganckich kobiet, uroczych i naturalnych, czuł się wyśmienicie. Godzina, którą

spędzili na przyjaznej rozmowie przy filiżance herbaty upłynęła zdecydowanie zbyt szybko. Wypadało się już pożegnać, ale chętnie posiedziałby tu jeszcze. Nie chciało mu się wcale wracać do zimnego, posępnego zamku. Wstał jednak i przeprosił, że zabawił tak długo. Pani Hartenfels, nie chcąc narażać go na błądzenie w ciemności, zaproponowała mu samochód. Przyjął tę grzeczność z prawdziwą wdzięcznością.

Carry stała zamyślona przy oknie i patrzyła na odjeżdżający samochód. Matka podeszła i objęła ją.

— Jak podoba ci się nowy ordynat, córeczko? — zapytała.

Carry ociągała się z odpowiedzią, jakby nad czymś gorączkowo myślała. Potem odwróciła się energicznie od okna i zdecydowanie powiedziała:

— Nie widziałam go dzisiaj, mamusiu, po raz pierwszy.

— A więc jednak kiedyś spotkaliście się w Marwedel?

— Nie, spotkałam go w Berlinie.

— W Berlinie? Dziwne. Nic o tym nie wiem.

— Wiesz, tylko nie kojarzysz nowego ordynata z pewnym oficerem, którego spotkałam na ulicy. Pamiętasz może, jak opowiadałam ci w dniu naszego wyjazdu z Berlina, że pewien młody porucznik pomógł mi odczepić łańcuszek bransoletki, gdy wysiadałam z taksówki. Nie przypominasz sobie, jak porównałam go do świętego Jerzego?

— Owszem, przypominam sobie. Żartowałam nawet z tego skojarzenia.

— To był właśnie pan von Ried, o czym nie wiedziałam, oczywiście. Pani von Hartenfels przyjrzała się córce badawczo.

— Minęło od tamtej pory sporo czasu, a ty tak od razu go rozpoznałaś?

— Oczywiście, nawet przez sekundę nie miałam wątpliwości, że to on. Takich mężczyzn nie zapomina się szybko.

— A on? Czy on rozpoznał ciebie?

— Nie.

— Czy powiedziałaś mu, że go poznajesz? — drażyła temat pytaniami pani von Hartenfels.

— Nie, nie powiedziałam. Uważam, że nie powinien tego wiedzieć.

Pani von Hartenfels o nic już nie pytała. Wszystko już wiedziała i żadne dodatkowe wyjaśnienia nie były jej potrzebne.

Hasso miał teraz w Marwedel wiele pracy. Mnóstwo spraw czekało na jego decyzję, trzeba się też było zająć oficjalnym przejęciem spadku. Jednakże ten natłok zajęć nie przeszkadzał mu wcale myśleć o Carry. Często, pochylony nad dokumentami, widział na papierze jej uroczą twarzyczkę tak wyraźnie, jakby miał przed oczami jej zdjęcie. Gdy przeglądał rachunki, nagle między rzędami cyfr jaśniał jej uśmiech i czuł wtedy w sercu dziwny ucisk.

Jeździł do Hartenfels tak często, jak tylko czas mu na to pozwalał. Chwilami łapał się na tym, że przekracza granice i staje się wręcz natarczywy. Ciągłe jednak szukał pretekstów do odwiedzenia gościnnego domu pani von Hartenfels. To miał pytania dotyczące spraw majątkowych, to jakiś inny problem. Gdy udało mu się wygospodarować więcej czasu, towarzyszył Carry w zjazdach saneczkowych lub szedł z nią na ślizgawkę. Czuli się ze sobą znakomicie i znakomicie się rozumieli. Hasso zaczynał pojmować prawdziwą radość życia i uczył się cieszyć odziedziczonym majątkiem. Nawet nie zauważył, kiedy wpadł w sidła wielkiej miłości. Teraz myślał już tylko o Carry, na niczym innym nie mógł się skupić. Pani Hartenfels z pewnej odległości, ale za to bardzo wnikliwie przyglądała się rodzącej się miłości. Była już pewna, że córka znalazła wreszcie tego, na którego tak długo czekała. Patrząc na nich czuła się coraz młodsza i coraz bardziej szczęśliwa. Z najwyższą delikatnością odsuwała się w cień, by młodzi mogli czuć się swobodnie. Hasso bardzo ją szanował, miał nawet dla niej prawdziwie synowskie uczucie. Wszystko układało się znakomicie, wiedział, że w pałacu Hartenfels jest mile widzianym gościem, przestał więc wymyślać coraz mniej wiarygodne przyczyny odwiedzin i któregoś dnia powiedział zupełnie otwarcie:

— Muszę przyznać, że czuję się tutaj dużo, dużo lepiej niż we własnym domu. Kocham piękne otoczenie, ciepłe, przytulne wnętrza, a w zamku Marwedel mam do czynienia z dziwnym połączeniem, z mieszaniną chłodnej, monumentalnej wspaniałości i zwykłego braku smaku. I do tego — pani Wohlgemut. Nawet panie nie wyobrażają sobie, z jaką tęsknotą spoglądam w stronę tego pałacu, gdy nie mogę się w nim zjawić, i z jaką radością pędzę tu, gdy mam choć odrobinę czasu.

Prawdziwą i najważniejszą przyczynę, dla której leciał do Hartenfels jak na skrzydłach, oczywiście, przemilczał.

— Korzyść jest dla obu stron — roześmiała się pani von Hartenfels. — My mamy dzięki panu ciekawe towarzystwo.

— Daję paniom niewiele w porównaniu z tym, co od pań biorę. Nic nie jest w stanie sprawić mi większej radości, niż godziny spędzone tutaj na pogawędce i przy herbatce w nastroju pełnym harmonii.

— Staje się pan wylewny i sentymentalny, panie von Ried — zażartowała Carry. — Niebawem zaczniesz pan poetyzować.

— Czy panią to zdziwi? Wydaje mi się pani uosobieniem poezji i to zarówno w zaśnieżonym lesie, jak i tutaj w złocistym cieniu lampy...

Trudno było powiedzieć, czy słowa Hassa były tylko żartobliwą konwencją, czy może kryła się w nich chęć wyznania uczuć. Powiedział to z uśmiechem, ale tonem tak ciepłym, że Carry zarumieniła się i spuściła głowę.

— Nie zapomniał pan w Afryce, jak się prawi uprzejmości — próbowała nadrabiać miną.

— I nie zamierzam zapominać. Ale to nie są tanie sztuczki. Mam nadzieję, że nie oceniła pani tak tego. A wracając do Marwedel, to powziąłem zamiar wyłączenia tych pokoi, w których mieszkali mój wuj i Kurt. Po prostu zamknę je i koniec. Natomiast chcę przystosować do użytku wszystkie pozostałe, które, jak panie zapewne wiecie, były zamknięte i od lat z nich nie korzystano. Chciałbym zmienić wystrój zamku, urządzić go tak, by wewnątrz sprawiały wrażenie ciepłych i trochę mniejszych. Czy mogę liczyć na pomoc pań? Jestem tak szalony, że marzę, by w zamku Marwedel dzięki pomocy pań było równie jak tu elegancko, przyjemnie i przytulnie.

— Z przyjemnością włączymy się do tych prac adaptacyjnych — rzekła pani von Hartenfels. — Nieraz żałowałyśmy, że wewnątrz zamku są tak zaniedbane. Pański wuj nie miał zamiłowania do pięknego otoczenia i nie przywiązywał zupełnie wagi do tego, w jakich warunkach mieszka. Nie miał wielkich wymagań i ograniczał się do korzystania z jednego tylko pokoju. Mieszkał w nim razem ze swymi psami. Kurt za jego życia nie miał nic do powiedzenia, a po śmierci nie zdążył przedsięwziąć żadnych zmian i sam umarł. A czegoż wymagać od pani Wohlgemut? Z całą pewnością nie o niej powiedziałby poeta, że w ziemskie życie wplata niebiańskie róże.

Cała trójka wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— Dlatego właśnie zwracam się do pań z prośbą o upiększenie mego domu niebiańskimi różami — podsumował rozbawiony Hasso.

— W takim razie jesteśmy umówieni — stwierdziła, wciąż jeszcze śmiejąc się z udanego żartu, pani von Hartenfels. — Jutro zjawimy się w Marwedel i obejrzymy pomieszczenia. Potem wezwiemy dekoratorów i zasugerujemy im parę rozwiązań. Myślę, że w sprzyjających warunkach w ciągu dwóch tygodni może pan mieć dom zupełnie zmieniony.

Nazajutrz pojechały do Marwedel i obezły wszystkie pokoje w towarzystwie Hassa i pani Wohlgemut, która nie wykazywała nadmiernej euforii z powodu planowanych zmian. W duchu wzdychała do dawnych kłótni z ordynatem — do starych, dobrych czasów. Ale gdy po dwóch tygodniach chodziła od pokoju do pokoju, śledząc wynik prac całego tabunu ludzi, nie mogła nie przyznać, że efekt był znakomity. Wszystko wyglądało wytwornie i ładnie.

Po skończonych pracach remontowych Hasso nie mógł się nacieszyć domem. Dopiero teraz czuł się tu u siebie.

— Nie mam już tego przykrego uczucia zimna i obcości — mówił pewnego razu do Carry. — Nie jestem już taki samotny w tym wielkim zamku, bo w każdym pokoju zostawiła pani jakąś swoją część. Pani ręce dotykały mebli i tapet, pani oczy oglądały obrazy, poprawiała pani poduszki i układała bukiety w wazonach. Wydaje mi się, że pani tam ciągle jest i stąd moje poczucie szczęścia w tym obcym dotąd i nie lubianym przeze mnie domu.

Nie mogła ukryć już rumieńca, choć próbowała odwrócić głowę.

— Mam nadzieję, że nie polubił pan zamku Marwedel tak bardzo, by przestać bywać w Hartenfels.

— Czy mam przez to rozumieć, że byłoby pani przykro, gdybym przestał przychodzić?

— Owszem, byłoby mi przykro. Pogawędki z panem sprawiają mnie i mamie wiele radości.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Wie pan przecież, że w zimie nie mamy prawie nigdy gości i doskwiera nam czasem brak towarzystwa.

— Idźmy dalej. Załóżmy, że nagle cały pałac zapełniłby się ludźmi. Czy i wówczas moje wizyty sprawiałyby pani przyjemność?

— Być może — odpowiedziała i wyprzedziła go, by otworzyć drewnianą komórkę przy torze saneczkowym.

Po chwili wspinali się w górę śmiejąc się i przekomarzając. Ich głosy rozbrzmiewały echem w całej dolinie, gdy zjeżdżając w dół krzyczeli na całe gardło niczym dzieci. I na tej zabawie spędzili całe popołudnie. Zanim zjechali po raz ostatni, zatrzymali się na wierzchołku

góry na dłużej. Czerwona tarcza słońca wisiała nad zamkiem, rzucając nienaturalne światło na ośnieżone dachy i siedem potężnych wież. Mimo woli ten obraz skojarzył się Carry z cygańską wróżką w czerwonej, jaskrawej sukience, w chustce w wielkie plamy karminowych kwiatów...

— Proszę spojrzeć na ten widok, panno Carry — zawołał Hasso urzeczony pięknem zimowego obrazka. — Ten ośnieżony zamek w ostatnich błyskach zachodzącego słońca wygląda niczym zaczarowane królestwo... Taki zamek z bajki. Przypominają mi się teraz wszystkie baśnie z dzieciństwa. Baśnie o pięknych królewnach... Szkoda, że zamek Marwedel jest taki pusty.

## XXII

Zima miała się ku końcowi. Carry i Hasso niemal się nie odstępowali. Wiosna nadeszła tego roku bardzo wcześnie. Po leśnych duktach szerokimi strumieniami spływała w dół woda z roztopionej ciepłymi powiewami wiatru śnieżnej pokrywy. Do następnego roku należało zapomnieć o sankach i łyżwach. Młodzi zastąpili swoje codzienne wyprawy na tor saneczkowy jazdą konną.

Ziemia pachniała wilgocią, a na jej brunatnej osnowie pojawiać się zaczęły powoli pierwsze jasnozielone łachy delikatnej jeszcze trawy. Na ciemnych konarach drzew pojawiły się szkliste, wilgotne zgrubienia, w których pulsowało życie liści, mających rozwinąć się lada moment w szerokie szumiące wachlarze.

Któregoś dnia Hasso podarował Carry garść śnieżyczek.

— Oto pierwsze zwiastuny wiosny pozdrawiają swoją uroczą siostrę — powiedział poetycko.

Spotkali się jak zwykle „przypadkowo” na szczycie góry, z której zimą pędzili codziennie w dół na sankach. Nigdy się nie umawiali, ale gdy jedno tam się znalazło, drugie, jakby gnane przecuciem, zjawiało się niemal natychmiast. Carry lubiła to miejsce, z którego widziała zamek jak na dłoni. Stojąc tam i spoglądając w dół, nieraz rozmarzała się i jej wyobraźnia tworzyła coraz to nową, piękniejszą bajkę o zaczarowanym księciu i mającej zdjąć z niego czar leśnej bogince. Gdy zjawiał się Hasso, z trudem mogła wrócić do rzeczywistości, wyrwana z cudownych fantazji stała i przyglądała mu się wierząc, że któregoś dnia zrzuci z niego ten czar i będą razem żyli długo i szczęśliwie. Ale nigdy nie mówili o swoich uczuciach, poruszali tematy zwykłe, proste, żartowali. Tylko w ich oczach, gdy na siebie patrzyli, uważny

obserwator mógł znaleźć żar wielkiej miłości. Carry zaczynała odczuwać coś w rodzaju zniecierpliwienia, coraz trudniej bowiem mogła ukryć swe uczucie. Gdy pojawiał się Hasso, serce najpierw podchodziło jej do gardła, a potem uderzało tak szybko, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Głowę Hassa tak bardzo zaprzętały myśli o Carry, że nie zauważył nawet długiego milczenia przyjaciół i uświadomił to sobie dopiero wtedy, gdy nadszedł list od barona von Platena.

*Mój Kochany Hasso!*

*Wybacz, że odpisuję dopiero teraz. Życie pochłonęło mnie tak bardzo, że zapomniałem zupełnie o powinnościach wobec przyjaciela. Ostatnie tygodnie spędziliśmy z Leną w towarzystwie Rudiego i jego żony. To był naprawdę przecudowny czas. Tak szczęśliwe chwile spędzać chyba mogą tylko nowożeńcy w czasie miodowych miesięcy. Lena zaprzyjaźniła się z żoną Rudiego i przez cały nasz wspólny pobyt ani jedna chmurka nie zaćmiła jasnego nieba. Żadnych nieporozumień. Byliśmy w szampańskich humorach. Teraz czas na Ciebie, Hasso. Z całym spokojem mogę Ci radzić małżeństwo, bo sprawdziłem to i wiem, że dopiero we dwoje można być naprawdę szczęśliwym. Jeśli oczywiście małżeństwo zostanie zawarte z miłości. Mam cudowną żonę i nie myślę już o Wiesbaden. Lena serdecznie Cię pozdrawia. Wciąż widzi w Tobie twórcę naszego szczęścia.*

*Wyobraź sobie, że spotkałem ostatnio panią doktorową Alvensleben. Rozmawiałem z nią i nie czułem nic, żadnego niepokoju, żadnego drżenia. Zupełna obojętność. Natomiast ona udawała spokój, jak mogła, ale niezbyt jej to wychodziło. Była wyraźnie zakłopotana. Ze zdumieniem odkryłem przy okazji, że nie jest wcale tak piękna, jak mi się zdawało, i ma tendencje do tycia. Przy Lenie wyglądała jak wróbel przy synogarlicy.*

*W naszym zamku urządziliśmy się wygodnie i przytulnie. Mam nadzieję, że w lecie odwiedzą nas Kronauowie. Teraz pojechali dalej, najprawdopodobniej do Włoch, a potem do Konstantynopola i dalej do Egiptu. Żona Rudiego jest osobą bardzo przedsiębiorczą i energiczną. Chce uchościć za podróżniczkę, ale sądzę, że robi to po to, by sprawić Rudiemu przyjemność. Jakimś szóstym zmysłem odgaduje jego pragnienia i sama występuje z propozycją, której Rudi nigdy by nie wyartykułował, nie chcąc narażać żony na wielkie wydatki. To wspaniała kobieta, można ją tylko podziwiać. Piszę tyle o tym, bo wiem, że ucieszy Cię ich szczęście.*



*Dostałem list od Leona. Doszedł do porozumienia z Deckmannami, którzy kupią jego farmę. W Afryce mają się zjawić w maju i zrealizować transakcję. Wiem, że spodziewają się Ciebie tam spotkać. Nic nie wiedzą o tym, że jesteś w Niemczech. Powoli próbuję się przyzwyczaić do myśli, że ci ludzie mnie odwiedzą. Jakoś to przetrwam, ale jestem pewien jednego, że gdy pan Deckmann będzie próbował przejść ze mną na „ty”, zastrajkuję. Tego już nie wytrzymam.*

*Mam nadzieję, że w lecie zjawi się tu Leon i przejmie ten majątek w Turyngii. To niedaleko od Ciebie. Myślę, że będziecie się mogli dość często widywać. Lena jest szczęśliwa, że jej brat raz na zawsze wróci tutaj. Myśl o Afryce przeraża ją. Moja ukochana, biedna żonushka jest wzruszająca w swojej bezradności.*

*Mam nadzieję, że odwiedzisz mnie, gdy będę tu Kronauowie i Leon. Może wreszcie uda się nam wszystkim zebrać. Od dawna nie zdarzyło się, by któregoś nie brakowało.*

*Czekam na list od Ciebie, dłuższy niż zwykle. Rozumiem, że jesteś teraz bardzo zajęty, spadły w końcu na Ciebie obowiązki, których dotąd nie znałeś. Nie zapominaj jednak o starym przyjacielu, który czeka na wszelkie informacje o Twoim życiu. I przemyśl kwestię małżeństwa. Teraz już nie możesz wykręcać się brakiem majątku.*

*Ściskam Cię serdecznie*

*Twój stary Norbert*

Norbert wcale nie musiał namawiać go do małżeństwa. Od dawna był zdecydowany ożenić się z Carry. Miał nadzieję, że nie odmówi mu swojej ręki. Ale od jakiegoś czasu coś się w ich stosunkach zmieniło i Hasso niepokoił się tym. „Przypadkowe” spotkania nie zdarzyły się od kilku dni, a gdy wreszcie udało mu się z nią zobaczyć, zastał ją zamyśloną, smutną, nieobecną. Patrzyła na daleki zamek i nie słyszała jego kroków. Podeszedł do niej bardzo blisko i wyszeptał:

— Zaczarowany książę i nimfa leśna wreszcie się spotkali.

Dostała wypieków, spojrzała na niego dziwnie i nie mówiąc nawet słowa odwróciła się i zbiegła w dół. Udało mu się ją dogonić dopiero na leśnej ścieżce, którą spacerkiem szła im naprzeciw pani von Hartenfels. Oboje musieli ukryć wzburzenie. Zawstydzona dziewczyna unikała jego wzroku. Od tamtej pory ani razu nie miał okazji spotkać jej samej. Nie rozumiał tej nagłej zmiany. Czyżby go unikała?

Westchnął głęboko i podszedł do otwartego na oścież okna. Wiosna była już w pełni, pulsowała życiową energią w najmniejszej nawet roślince. Patrzył przed siebie, wyteżał wzrok tak bardzo, jakby chciał się nim przebić przez ciemny kopiec góry, za którą stał pałac Hartenfels. Wziął ze stolika lornetkę, dzięki której nieraz mógł dostrzec na szczycie wzniesienia postać Carry, a potem popędzić na „przypadkowe” spotkanie. Spojrzał przez szkła i zobaczył ją. Złapał kapelusz i co sił w nogach popędził w tamtą stronę. Nie szukał ścieżki, biegł na skrót, przedzierając się przez gęste zarośla. Łapiąc się gałęzi, pisał się szybko po stromym stoku. Gdy zdyszany dotarł wreszcie na szczyt, z rozpaczą pojął, że już jej tu nie ma. Rozglądał się nerwowo i wtedy ją dostrzegł. Stała oparta o pień drzewa i ze smutkiem spoglądała na ścieżkę, którą zwykł był przychodzić. Radość zatamowała mu na chwilę oddech, bo wiedział, że czeka na niego. Cichutko, ostrożnie podkradł się w tamtą stronę i nagle stanął przed nią, jakby wyrósł spod ziemi. Nie mówił nic, patrzył tylko na nią wzrokiem, w którym płonęła namiętność. Przestraszyła się, cofnęła o krok do tyłu, a potem zrobiła taki ruch, jakby chciała uciec. Chwycił ją za rękę.

— Tym razem nie pozwolę pani uciec, panno Carry. Musi mi pani dać szansę powiedzenia, że panią kocham. I myślę, że pani kocha mnie.

Zadrżała. Nie próbowała oswobodzić ręki z jego uścisku. Chciała mu powiedzieć, że nie myli się, ale nie mogła wydobyć z siebie nawet słowa. Ich oczy się spotkały i już nie trzeba było niczego mówić. Przyciągnął ją do siebie, objął ciasnym uściskiem i poczuła na spierzchłych wargach jego gorące usta. Wiał mocny wiosenny wiatr, rozwiewał ich włosy i chłodził rozpalone twarze.

— Czyżby nagle moje kochanie straciło mowę — zapytał wreszcie z radosnym uśmiechem. — Nie znajdziesz dla mnie nawet jednego, biednego słowa?

— Kocham cię — powiedziała wtedy cichutko i skryła twarz, przytulając się do jego piersi. — Kocham cię od dawna.

Pocałował ją jeszcze raz, potem odsunął się krok do tyłu, przyjrzał się jej i radośnie zawołał:

— Cały świat teraz należy do mnie. Jestem najbogatszym człowiekiem, bo mam ciebie, bo obdarowałaś mnie swoim pierwszym pocałunkiem. Kochana Carry, nie całowałaś przedtem nikogo, nie kochałaś nikogo, prawda?

— Nie, ty jesteś pierwszym i jedynym mężczyzną, dla którego bije moje serce. Tobie jednemu oddałam swoją duszę i nigdy ci jej nie zabiorę.

— Kochanie, my, mężczyźni jesteśmy wielkimi egoistami. Do szczęśliwego portu nigdy nie wpływamy nieskazitelnie czysti, ale kobiety, które kochamy i z którymi chcemy połączyć życie, chcemy mieć nietknięte. Zawsze chcemy być pierwsi. Chcemy być ich pierwszą miłością. Nie byłbym spokojny, gdybym wiedział, że miałaś kogoś przede mną. Jestem tak bardzo szczęśliwy, bo kochasz pierwszy raz, kochasz właśnie mnie.

Przytuliła się do niego jeszcze bardziej.

— Moje serce czekało na ciebie. Miałam różnych adoratorów, ale do żadnego z nich nie czułam.

— Nikt nie jest teraz tak szczęśliwy jak ja, moja droga czarodziejko. Jestem zupełnie w twojej mocy.

A potem objęci ruszyli w dół, drogą prosto do Hartenfels. Wymyślali proste, głupiotkie słowa, które zwykle mówią do siebie zakochani i które tylko oni rozumieją. Gdy stanęli przed pałacem, Hasso zamrugał oczami jak zbudzony właśnie ze snu. Zbyt szybko minęła im ta droga.

— Kochanie, czy mogę w takim stroju stanąć przed twoją matką i prosić o błogosławieństwo dla naszego związku?

— Hasso — roześmiała się Carry — moja mama nie będzie patrzyła na strój, tylko na mężczyznę, który ten strój nosi. Gdy powiesz jej, że się kochamy, będziesz jej miły w każdym stroju.

— Chodźmy więc wyznać nasze uczucie.

Pani Hartenfels nie była wcale zaskoczona. Gdy tylko ich zobaczyła, wiedziała, że zdarzyło się coś nadzwyczajnego.

— Życzę wam, drogie dzieci, żeby wasze życie było pasmem radości i żebyście nigdy nie zaznali smutków. Będę się o to codziennie modlić — powiedziała bardzo uroczyście, po czym wymawiając się obowiązkami domowymi, zostawiła młodych samych.

Hasso przytulił do siebie Carry i szeptał jej czule słówka.

— Nigdy nie sądziłem, że człowiek może być tak szczęśliwy. Pokochałem cię od pierwszej chwili, od momentu, gdy zobaczyłem cię w lesie z sankami. Miałem wtedy wrażenie, że gdzieś cię już widziałem. Pewnie zjawiałaś mi się we śnie.

Carry uśmiechnęła się filuternie.

— Jesteśmy starymi znajomymi, Hasso. Nie w lesie widziałeś mnie pierwszy raz. Nie masz dobrej pamięci.

— Nie wiem, co przez to rozumiesz.

— Ja nie zapomniałam naszego pierwszego spotkania, tak jak pewien oficer berlińskiej gwardii — przekomarzała się.

— Czyżby to było możliwe, żeśmy się kiedyś spotkali? Gdzie, kiedy? Powiedz wreszcie.

— Przed rokiem. Przypomnij sobie. Wsiadałeś do taksówki w Berlinie, na ulicy Kurfürstendamm. Pewna młoda dama zaczepiła się łańcuszkiem o klamkę, a ty pomogłeś wydostać się jej z pułapki.

Twarz Hassa spoważniała. Przypomniawszy sobie nagle historię z torebką.

— Nie pamiętasz? Bransoletka z medalikiem, a na niej herb. Zobacz — to mówiąc wyciągnęła w jego stronę rękę, na której przegubie błyszczał złoty łańcuszek z okrągłym breloczkiem.

Poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Świat nagle zawirował. Zagryzł nerwowo usta. Torebka i list. Przypomniawszy sobie treść. *Przyszłaś, by pomimo wszystko stać się moją żoną, przed Bogiem...* Był pewien, że jakiś mężczyzna napisał to do Carry i o mało nie postradał zmysłów. Torebka miała monogram C.H. Wszystko się zgadzało. Okłamała go. Nie może starać się o jej rękę. Nawet gdyby miał być nieszczęśliwy do końca życia, nawet gdyby serce mu pękało z bólu, nigdy się z nią nie ożeni. Nigdy! Złapał ją za przegub i z wielką siłą zacisnął palce. Syknęła z bólu.

— A więc to byłaś ty — jęknął ochryple.

Przestraszyła się nie na żarty.

— Hasso, co się z tobą dzieje?

Teraz spojrzał na nią straszonym wzrokiem.

— I ty miałaś odwagę powiedzieć mi, że nikogo przede mną nie kochałaś? Miałaś odwagę powiedzieć, że nie należałaś do nikogo? Jak mogłaś mnie tak okłamać? — wyrzucił z siebie jednym tchem.

Zbladła, a potem zarumieniała się. Przypomniała sobie pocałunek ofiarowany umierającemu Kurtowi. Skąd się Hasso o tym dowiedział? To było jej tajemnicą. Była pewna, że chodziło o ten właśnie pocałunek. Zadrżała, ale postanowiła wszystko mu wyjaśnić. Nie może przecież potępić jej za rzecz tak niewinną.

— Zapomniałam o tym, wybacz. Z całą pewnością później powiedziałabym ci o tym i wyjaśniła, jak do tego doszło.

Roześmiał się głośno i strasznie, a ten śmiech był raczej podobny do rozdzierającego krzyku.

— To zbyteczne. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. W liście wszystko było napisane dostatecznie jasno. Nie mogę się z tobą ożenić. Okłamałaś mnie perfidnie, Oszukałaś mnie. To nas rozdzieliło na zawsze. Swojej matce powiedz, co chcesz, zrzuć całą winę na mnie. Wszystko mi jedno. Prośba o twoją rękę jest nieaktualna. Zapomnij o niej. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Bądź zdrowa.

I zanim Carry zdążyła powiedzieć cokolwiek, pojął cokolwiek, wyszedł nie oglądając się za siebie. Biegł przez las w zupełnym opętaniu, gnany przed siebie bólem i rozpaczą. Ta cudowna dziewczyna, która wydawała mu się nieskazitelnym aniołem, była już własnością innego mężczyzny. Gdzieś żył ten człowiek, który zabrał jej honor, który posiadał ją. Dlaczego się z nią nie ożenił? Dlaczego się rozstali? A ona? Ona chciała wyjść za pierwszego z brzegu, który zaproponuje jej małżeństwo i pokryje jej hańbę swoim uczciwym nazwiskiem. Jak dobrze udawała miłość. Musiała udawać. W przeciwnym razie nie okłamałaby go. Jak zajaśniały jej oczy, gdy powiedział, że ją kocha. Ale to nie było uczucie, to jaśniała w jej oczach radość, że uda się jej ukryć hańbę. I jak bez skrupowania oświadczyła, że zupełnie zapomniała o tamtym zdarzeniu. Kiedyś by mu to wszystko wyjaśniła. Kiedy? Po ślubie, oczywiście. Wtedy, gdy na wszystko już za późno. I śmiała przypomnieć mu ich pierwsze spotkanie. Po co? Czyżby sądziła, że nie przeczytał tego listu? Skończone! Wszystko skończone! Ale te oczy... jeśli takie oczy kłamały, nieprędko już uwierzy kobiecie.

Śmiertelnie zmęczony, zdruzgotany dotarł do domu. Biegał po pokoju jak zwierzę w klatce. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Jak dalej tu żyć? Spotka ją przecież nieraz. Nie, trzeba coś postanowić. Wyjechać. Najlepiej wyjechać stąd na jakiś czas, żeby jej nie widywać. Jej i jej matki. Niech jakoś Carry wytłumaczy to wszystko, nie zdradzi jej. Być może jednak jej matka wszystko wiedziała, przecież w tym liście wyraźnie to było powiedziane. Zresztą jest mu to teraz obojętne.

Polecił, by natychmiast spakowano jego walizę, zarządcy wydał instrukcje i odbył z panią Wohlgemut krótką naradę. Wieczorem pojechał na dworzec. Twarz miał ziemistą, bladą, kamienną, twarz chorego człowieka.

## XXIII

Nie wiedziała, co się właściwie stało. Pustymi oczami spoglądała na drzwi, które przed momentem zamknął za sobą Hasso. Dlaczego nagle zaczął krzyżeć? Dlaczego zmienił się w ciągu sekundy i z czulego, zakochanego mężczyzny przeistoczył się w drapieżnego, zranionego, rozwścieczonego... Była w tym jakaś zagadka. Przecież sprawa Kurta nie mogła doprowadzić go do takiego stanu. Dziwne, zareagował tak wybuchowo, gdy pokazała mu swoją bransoletkę. Co to mogło oznaczać? I ten niepojęty zupełnie okrzyk: „A więc to byłaś ty!” Myśli rwały się jej, gorączkowo szukała jakiegoś wytłumaczenia, ale nic nie wyjaśniało straszego zachowania Hassa. Była jak sparaliżowana, nie docierało do niej jeszcze to, że ukochany odciął się od niej, wycofał słowo. Czowała tylko, że zdarzyło się coś złego.

Do pokoju weszła uśmiechnięta pani Hartenfels. Spojrzała na córkę, która siedziała w stanie głębokiego otępienia i wpatrując się w drzwi nawet jej nie dostrzegła.

— Boże, Carry, co się stało? — krzyknęła.

Dziewczyna popatrzyła na matkę jak człowiek wyrwany ze snu. I wtedy paraliżujące napięcie ustąpiło, zerwała się i z głośnym, spazmatycznym płaczem rzuciła się matce na szyję. Przez dłuższą chwilę nie mogła wydobyć z siebie ani jednego słowa, łkała tylko, dusząc się od łez.

— Nie ma go, mamó — wyjąkała w końcu. — Nagle wybiegł. Rozgniewał się czymś. Krzychał do mnie, o coś mnie oskarżał, ale nie wiem o co. A potem powiedział, że nigdy się ze mną nie ożeni, bo go oszukałam... — i Carry znowu zaniosła się płaczem.

— Spokojnie, kochanie. Uspokój się, proszę, i opowiedz mi wszystko dokładnie — próbowała wyjaśnić sprawę pani von Hartenfels, ale Carry nie reagowała, płakała tylko rozpaczliwie, tonąc we łzach.

Dopiero po jakimś czasie udało się ją uspokoić i pani von Hartenfels powoli, zadając pytanie po pytaniu, zbudowała sobie obraz zajścia, które tak wzburzyło jej córkę.

— Kochanie, jeszcze raz proszę, uspokój się i wysłuchaj mnie — powiedziała. — Im więcej dowiaduję się o tym, co się tu stało, tym głębiej jestem przekonana, że mamy tu do czynienia z jakąś fatalną pomyłką. I z całą pewnością nie chodzi tu o Kurta. Nikt, nawet człowiek o najsurowszych zasadach, nie mógłby robić ci zarzutu z tego, że niewinnym kłamstwem ulżyłaś cierpieniu umierającego. Nie, ta sprawa nie uzasadnia w żaden sposób takiego wybuchu i zerwania. Z tego, co mówisz, można wnosić, że chodzi tu o coś, co zdarzyło

się przed rokiem w Berlinie. To musi być jakaś pomyłka, Carry. Pomyłka, albo... — tu pani von Hartenfels zawiesiła głos i pokręciła głową na myśl, że mogła wziąć pod uwagę podobną niedorzeczność.

— Albo? Co chciałaś powiedzieć, mamusiu?

— Nie, to śmieszne, ale pomyślałam, że jeśli to nie jest pomyłka, to jedynym wyjaśnieniem jego zachowania byłoby to, że jest chory, niespełna rozumu.

— Nie wierzę w to, mammo. Nic na to nie wskazywało do tej pory. Był cudowny, czuły, opiekuńczy. Byłam taka szczęśliwa. A potem pokazałam mu medalik przy bransoletce i natychmiast zmienił się na twarzy, zbladł, zacisnął szczęki tak strasznie, a w oczach miał rozpacz. Nie pozwolił mi nic powiedzieć, nic wyjaśnić. Ale nie był szalony. Nie był obłąkany, mammo.

— Wobec tego chodzi tu o jakąś pomyłkę i należy wyjaśnić o jaką. Jutro wybiorę się do Marwedel i porozmawiam z nim.

Ale Carry była bardzo niespokojna, lękała się czegoś i miała niejasne przeczucie, że nie tak łatwo będzie można wyjaśnić tę bardzo tajemniczą i zagmatwaną sprawę.

— Boję się, mamusiu — powiedziała. — Boję się, że stanie się coś złego. Hasso był w takim stanie, że może zrobić coś głupiego. Może sobie coś zrobić...

Wtedy pani von Hartenfels zdecydowała się nie czekać do następnego dnia i postanowiła jechać do Marwedel natychmiast.

— Nie martw się, kochanie. Przywiozę ci go tu skruszonego, zobaczysz — rzekła gotowa walczyć o szczęście córki.

W drodze do zamku zastanawiała się, jak poprowadzić rozmowę. Miała prawo prosić o wyjaśnienia, skoro oficjalnie poprosił ją o rękę Carry. Musiał wytłumaczyć jej swoje dziwne zachowanie. Baronowa von Hartenfels nie da się łatwo odprawić.

Gdy zajechała na miejsce, ze zdumieniem zauważyła, że zamek tonął w ciemnościach. Po chwili pojawił się służący i zapalił dużą, łukową lampę.

— Proszę mnie zameldować panu ordynatowi — powiedziała krótko. — Muszę widzieć się z nim natychmiast.

— Szanowna pani wybaczy — rzekł pochylając się w ukłonie służący. — Pan baron wyjechał pół godziny temu.

— Wyjechał? — była zaskoczona.

— Tak, szanowna pani. Stało się to nieoczekiwanie dla wszystkich. Pan baron wrócił do domu i natychmiast kazał spakować swoje rzeczy.

— Dokąd pojechał?

— Tego nie wiemy. Powiedział, że przyśle swój adres. Ale może znajdzie pani odpowiedź na to pytanie w liście, który pan baron dla pani zostawił. Jutro mieliśmy go przesłać do Hartenfels.

— Proszę przynieść mi ten list — powiedziała pani von Hartenfels wchodząc za służącym do holu. — Zaczekam tutaj.

Była bardzo zdenerwowana. Rzecz komplikowała się bardziej, niż sądziła. Opadła na fotel i ciężko oddychała. Zaniepokojona hałasem zjawiała się pani Wohlgemut i jeszcze raz przekazała baronowej wiadomość o nagłym wyjeździe ordynata.

— Nasz pan robił wrażenie człowieka, którego spotkało wielkie nieszczęście — dodała. — Zostawił takie instrukcje, jakby miał zamiar wyjechać na lata. Od śmierci starszego pana nie gości szczęście w tym domu.

Pani von Hartenfels była tak zdenerwowana, że nie mogła nawet podtrzymać konwersacji. Bębniła nerwowo palcami o oparcie fotela i niecierpliwie czekała na służącego z listem. Zjawił się wreszcie i podał jej leżący na srebrnej tacy list. Nerwowo rozerwała kopertę i odsunawszy się nieco na bok zaczęła wodzić wzrokiem po rzędach liter.

*Wielce Szanowna Pani!*

*Jest mi bardzo przykro, że muszę zawiadomić Panią o zrezygnowaniu z zaręczyn z Pani córką. Mam nadzieję, że znając mnie dość dobrze, może Pani przyjąć, że skłoniły mnie do tego bardzo ważne powody. Nie chcę i nie mogę ich podać, mają dla mnie jednak decydujące znaczenie.*

*Proszę uważać, że prośba o rękę Pani córki była z mej strony fatalną pomyłką. Reszty wyjaśnień proszę oczekiwać od córki. Zerwanie tego związku jest dla mnie nieznośną męczarnią. Inaczej jednak postąpić nie mogę.*

*Pragnę przeprosić Panią za swoje zachowanie. Wyjeżdżam, by uniknąć spotkania z Panią.*

*Na szczęście nikt jeszcze nie dowiedział się o naszych stosunkach i tym samym będzie Pani mogła uniknąć sensacji.*



*Jeszcze raz proszę o wybaczenie.*

*Z wyrazami szacunku*

*Hasso von Ried*

Pani von Hartenfels z trudem zachowała spokój. Złożyła kartkę i zwróciła się do pani Wohlgemut:

— Nagła niedyspozycja zmusiła pana barona do wyjazdu. Pisze, że wkrótce odezwie się i poda miejsce swego pobytu. Proszę wówczas zawiadomić mnie, chciałabym do niego napisać.

I baronowa von Hartenfels odjechała. Wracała do domu pełna obaw o pomyślne rozwiązanie tej nad wyraz kłopotliwej sytuacji.

Carry wybiegła jej na spotkanie, a gdy zobaczyła, że przyjechała sama, zbladła i oparła ciężko o framugę drzwi. Świat zawirował jej przed oczami.

— Wracasz sama, mamusiu?

— On wyjechał, kochanie. Nie mogłam z nim rozmawiać, ale zostawił dla mnie list — powiedziała pani von Hartenfels, wzięła córkę pod ramię i poprowadziła do pokoju.

Gdy usiadły, wręczyła jej kopertę. Carry, czytając, stawała się coraz bledsza, ręce jej drżały.

— Co stało między nami? — zapytała cicho i oddała matce list. — Co nas rozdzieliło, zburzyło nasze szczęście? Nie mogę zrozumieć. Przecież widać, że on też cierpi. Czy to możliwe, żeby był zazdrosny o Kurta, o zmarłego?

— To bardzo zagadkowa sprawa, Carry. Być może jest to zazdrość, a być może coś zupełnie innego. Ja osobiście jestem przekonana, że to nie Kurt jest przeszkodą. Idzie o coś poważniejszego. Problem musi tkwić w waszym berlińskim spotkaniu i ma coś z tym wspólnego twoja bransoletka. Może padliście ofiarą jakiegoś zbiegu okoliczności. Trudno to teraz wyjaśnić, kiedy on wyjechał i nie chce z nami rozmawiać, choć najwyraźniej cierpi z powodu zerwania.

Carry opadła bez sił na fotel, była zupełnie zrozpaczona.

— To wszystko jest takie straszne, mamo, takie niesprawiedliwe. Ja go bardzo kocham i nie zasłużyłam sobie na takie traktowanie. Wydaje mi się teraz, że cały świat runął i że nigdy już nie będę mogła się śmiać. Bez niego nigdy nie będę szczęśliwa.

— Musisz być dobrej myśli, Carry. Może wszystko się wyjaśni. Spróbujemy jeszcze coś zrobić, gdy dostaniemy jego adres. Nie możesz cierpieć bez powodu. Nic złego nie zrobiłaś. On

musi nam otwarcie powiedzieć, o co chodzi. Mamy prawo żądać tego od niego. Wtedy wszystko się wyjaśni, zobaczysz, i znów będziesz szczęśliwa.

## XXIV

Hasso nie wiedział, gdzie ma jechać. Pragnął tylko jednego, uciec jak najdalej od Carry, by nie zmienić zdania, gdy ją spotka. Wsiadł do pierwszego pociągu, który jechał do Berlina. Siedział w przedziale sam i próbował uporządkować swoje myśli. Przymknął powieki i natychmiast przed oczami pojawiły mu się wszystkie te sceny, kiedy był z Carry tak bardzo szczęśliwy. Leśne spacerunki, zjazdy na sankach, wesołe rozmowy przy herbatce, konne wyprawy i bukietki śnieżyczek... A potem przypomniał sobie list, ten straszny list w znalezionej torebce. Dlaczego go oszukiwała? Czyżby była aż tak pewna, że nie przeczytał kompromitujących ją wyznań jakiegoś mężczyzny? Kim był ten człowiek? Mógłby go teraz zabić. Musiała bardzo go kochać, skoro tak się dla niego zapomniała. A tamten? Czy nie kochał jej? Dlaczego ją zostawił? Oszukiwała go. Czy oszukała go również wtedy, gdy mówiła mu, że go kocha? Czy miła, cudowna była tylko po to, by schwytać go w sidła? Jak to wszystko rozumieć. Pragnął o niej zapomnieć, wyrzucić miłość do niej z serca, zniszczyć tęsknotę, wyrwać spod powiek powracające obrazy jej ślicznej, roześmianej twarzyczki. Kochał ją przecież. Dlaczego tak głupio uciekł, zamiast wziąć ją w ramiona i zapomnieć o całym świecie, o przeszłości? Może nie była tak bardzo winna. Może istniały jakieś okoliczności łagodzące. Sam nie był święty, czemuż więc żądał więcej, niż mógł dać...

Patrzył na światła migające za oknem pociągu. Wszystko zyskiwało inny wymiar. Coś trzeba było począć z własnym życiem. Zbliżała się Wielkanoc. Gdzie ją spędzi, samotny, bez rodziny, obrabowany z miłości. Wszystko runęło właśnie w chwili, gdy wydawało się, że nareszcie zaczyna się spokojny szczęśliwy czas. Gdzie się podziać? Przypomniał sobie Wielkanoc w Rzymie sprzed kilku lat. Nie był szczególnie pobożny, ale po nabożeństwie w Bazylice Świętego Piotra poczuł radość i dziwną lekkość, miał wrażenie cudownego zespolenia ze światem, w którym wszechobecny był boski duch dobra. Zatęsknił teraz do tamtej chwili, do tamtego nastroju, odświętnego, uroczystego, wzniosłego. Zapraagnął wmieszać się w tłum wiernych w tym monumentalnym gmachu, wsłuchać w harmonię pieśni i znaleźć wreszcie spokój duszy.

W Berlinie zatrzymał się tylko tydzień i zaraz potem ruszył do Rzymu. Miłość do Carry nie dawała mu jednak wytchnienia, tęsknił za utraconym bezpowrotnie szczęściem, ból palił go i nie pozwalał zapomnieć. Były chwile, gdy miał żal do Carry, że uświadomiła mu, że to ona była pasażerką tej nieszczęsnej taksówki. Dużo dałby za to, by nigdy się o tym nie dowiedzieć. Wszystkie zdarzenia związane z tamtą sprawą, zdania, obrazy, myśli, wracały, mieszały się, zmieniały kolejność. Przypomnił sobie, jak ordynans powiedział mu, że młoda dama płakała, odbierając torebkę. Carry płakała. Musiała wylać morze łez. Nieszczęśliwa dziewczyna. Ale nie wolno o niej myśleć. Trzeba raz na zawsze o niej zapomnieć. To były jednak życzenia bardzo trudne do zrealizowania. Zamykał oczy i znów ją widział, roześmianą, z włosami rozłożonymi blaskiem słońca. Umiała śmiać się tak pięknie, tyle w niej było radości.

Do Rzymu przyjechał tuż przed rezurekcją i zaraz wmieszał się w wielojęzyczny tłum ciągnący do Watykanu. Z wielką gorliwością brał udział we wszystkich obchodach świątecznych i na ten czas zupełnie zapomniał o wszystkim innym. Ale potem znów pojawiły się pytania, z którymi nie umiał sobie poradzić. Zabrakło mu celu. Nie miał zajęcia, które odwodziłoby go od smutnych myśli. Sam nie wiedział, dlaczego zdecydował się na wyjazd do Neapolu. Tam przyszło mu do głowy, żeby wyruszyć w podróż po Morzu Śródziemnym i natychmiast wykupił bilet do Aleksandrii.

Parowiec miał komplet podróżnych, na pokładzie więc było tłoczno i ruchliwie. Stał czasem oparty o barierkę i bez zainteresowania przysłuchiwał się rozmowom. Przypomnił sobie swoją podróż do Afryki w towarzystwie Norberta i Leny von Holms. Dlaczego właściwie nie pojechał do Neuhausen? Tam wśród przyjaciół mógł spokojnie leczyć zranione serce. Ale czy wolno mu było zepsuć im nastrój świąteczny? Nie, nie nadawał się teraz do towarzystwa szczęśliwych ludzi. Lepsza jest samotność.

Ktoś z pasażerów powiedział coś o kąpielisku Heluan i rejsach po Nilu. Słowo „piramidy” padało niezwykle często. Hasso nie znał Egiptu, nie miał wcześniej funduszy na takie podróże. Teraz postanowił zobaczyć jak najwięcej.

Szedł wolnym krokiem po pokładzie i nagle zobaczył Carry. Serce podskoczyło mu do gardła. Ruszył szybko w tamtą stronę. Stała oparta na relingu i patrzyła na morze. Podbiegł, stanął za jej plecami i już chciał położyć jej rękę na ramieniu, gdy odwróciła się. To nie była Carry, nawet nie była do niej podobna. Zmieszał się, przeprosił za pomyłkę i natychmiast odszedł. Sam nie wiedział, czy czuł ulgę, czy rozczarowanie. Zastanawiał się, jak by postąpił, gdyby to jednak była ona. Pewnie wszystko by zapomniał i powiedział:

— Nie mogę bez ciebie żyć. Przeszłość nie jest ważna.

Zachowywał się jak dziwak i odludek. Starał się unikać nawet przypadkowych rozmów, zwłaszcza z kobietami, na których robił duże wrażenie.

Dotarł wreszcie do Aleksandrii, ale zabawił tam niedługo. Na drugi dzień wyjechał do Kairu, i tam jednak nie mógł zagrzać miejsca. Wahał się pomiędzy wyborem wycieczki po Nilu lub pobytem w Heluan. Wybrał wreszcie to ostatnie. Bagaż zostawił na razie w hotelu w Kairze i kolejną wyruszył do Heluan. Już na dworcu zrozumiał, że nie ma pojęcia, po co tu przyjechał. Snuł się szerokimi ulicami, na których kłębił się barwny, krzykliwy tłum. Wszystko tu było inne, ale nie czuł wielkiego zainteresowania tym światem. Szedł zwyczajnie przed siebie, nawet się zbytnio nie rozglądając. Zdziwił się więc niepomrotnie, gdy nagle wyrósł przed nim biały Al Hayat. Szerokie, ogromne schody prowadziły w górę, gdzie stał monumentalny budynek eleganckiego hotelu. Wielkie, ukwiecone tarasy, ogrody, korty tenisowe, spacerowe aleje, przebijające się przez niezliczone bogactwo gatunków roślin, wszystko to robiło imponujące wrażenie. Mieszkało tu towarzystwo z całego świata. Panie w wielkich kapeluszach i jasnych strojach, siedząc przy wiklinowych stolikach pod grzybami kolorowych parasoli, rozprawiły z zaangażowaniem o ostatnich wydarzeniach życia towarzyskiego. Opaleni panowie w letnich garniturach nadskakiwali damom. Atmosfera była lekka, beztraska i zdawać się by mogło, że do tego rajskiego miejsca nie mają dostępu troski i kłopoty świata. Zespół muzyczny grał melodię z „Zemsty Nietoperza”, a w dole, pod balustradą tarasu lśniła srebrzyście w słońcu szklista wstęga Nilu. Hasso oparł się zadumany o barierkę i spoglądał na wybujałą roślinność na brzegach rzeki. Z tego miejsca wyraźnie było widać, jak staje się coraz bardziej uboga, oddalając się od wody.

Usiadł przy małym stoliku na uboczu i odwrócony tyłem do hotelowego towarzystwa beznamiętnie patrzył na skąpany w słońcu krajobraz. Z głębokiego zamyślenia wyrwała go rozmowa, która toczyła się tuż koło niego.

— Może usiedlibyśmy tutaj — powiedziała po niemiecku jakaś kobieta i położyła coś na blacie jego stolika. — Nigdzie nie ma wolnych miejsc — dodała. Towarzyszący jej mężczyzna zwrócił się z jakimś pytaniem do kelnera. Hasso zaczynał rozumieć, że chcą się przysiąść do niego. Nie był tym zachwycony, odwrócił się powoli w ich stronę, ale zanim podniósł wzrok na stojącą obok parę, spojrzał przypadkiem na blat stolika. Leżała tu, oczom własnym nie wierzył, złota torebka w kształcie słonia. Identyczna jak ta, którą znalazł w taksówce. Szafiry lśniły jaskrawo, odbijając promienie słoneczne. Torebka Carry. Nie, to niemożliwe. Jest na pewno

kilka takich. Tymczasem kobieta spojrzała na niego i widząc zainteresowanie swoją własnością, szybko wzięła ją do rąk. Rozejrzała się za swym towarzyszem, który stał parę kroków dalej z kelnerem. Próbowała zwrócić na siebie jego uwagę, by uświadomić mu, że znajduje się teraz w bardzo kłopotliwej sytuacji. Tamten spojrzał w jej stronę i nagle wydał z siebie radosny okrzyk.

— Hasso! Hasso, czy oczy mnie nie mylą? Czy to naprawdę ty?

Hasso poderwał się. Głos był znajomy.

— Rudi! — zawołał. — Nie wierzę. Co za spotkanie!

Rzucili się sobie w ramiona. Tymczasem zakłopotana Charlotta von Kronau robiła do Rudiego dziwne miny za plecami Hassa i potrząsała torebką. Rudi nie zwrócił na to uwagi. Po chwili przypomniał sobie, że Hasso nie zna przecież jego żony i natychmiast dokonał prezentacji.

— Kochana Lotto, pozwól, że przedstawię ci mojego przyjaciela, Hassa von Rieda. Drogi Hasso, oto moja żona, Charlotta.

Hasso z wielkim szacunkiem skłonił się przed nią, dziwiąc się serdecznie, dlaczego jej twarz nagle nabrała koloru piwonii.

— Bardzo się cieszę — rzekł — że nareszcie mogę panią poznać.

Gdy podała mu dłoń na powitanie, drżała cała i Hasso nie mógł tego nie zauważyć. Odpowiedziała mu uprzejmie, że również jest szczęśliwa z tego spotkania, ale w duchu przeklinała moment, kiedy położyła swoją torebkę tuż przed nim.

Rudi nie zdawał sobie sprawy z myśli żony i był w znakomitym humorze. Nie widzieli się od tak dawna.

— Nigdy bym nie przypuścił, że możemy się spotkać tutaj przypadkiem — śmiał się Rudi. — Właśnie miałem prosić pewnego nieznanego mężczyznę o pozwolenia zajęcia miejsca przy jego stoliku. A tu nagle nieznanomy okazuje się przyjacielem. Sądziłem, że siedzisz w Marwedel. Prawdziwie się, Hasso, cieszę tym spotkaniem. Czy możemy usiąść przy twoim stoliku?

— Naturalnie. Będę szczęśliwy.

Rudi pomógł usadowić się żonie, a gdy się pochylał nad nią, żeby przysunąć jej fotelik, szepnęła:

— Rudi, on widział moją torebkę i bardzo się nią zainteresował.

Rudolf zasepił się. Dawno już zapomniał o tej berlińskiej historii z listem i zgubioną torebką.

— Spokojnie, Lotto — powiedział cichutko, nie dając po sobie poznać zakłopotania.

Zamówili napoje i długo gawędzili o różnych sprawach. Lotta jednak nie mogła się uspokoić. Siedziała jak na rozpalonych węglach i kurczowo ścisnęła pod pachą torbę. Widziała, że Hasso co rusz spogląda na nią. Wreszcie nie wytrzymał i rzekł:

— Przepraszam panią bardzo. Widzę u pani niezmiernie oryginalną torebkę, która z pewnego względu bardzo mnie interesuje. Czy to możliwe, że takich torebek jest więcej?

Lotta omal nie zemdląła. W gardle jej zaschło i nie mogła wydobyć ani słowa. Wyręczył ją Rudi.

— Myślę, że może być kilka. To bardzo rzadki wzór.

— Drugi raz widzę taką torebkę i przypomina mi pewne osobliwe zdarzenie — rzekł Hasso.

Lotta nie mogła już wytrzymać tego napięcia, wstała nagle i powiedziała:

— Proszę mi wybaczyć, muszę panów opuścić. Przypomniałam sobie, że zostawiłam otwartą szkatułkę z biżuterią. Muszę iść ją zamknąć. Przepraszam bardzo...

Po czym odwróciła się i szybko odeszła. Rudi pobiegł za nią.

— Na Boga! Lotto, uspokój się! Gdyby Hasso przypuszczał choćby, że ta torebka była twoja, zaręczam ci, nie spytałby o nią. To dyskretny i szlachetny człowiek. Niczego się nie obawiaj.

— Rudi, a mnie się zdaje, że on tak na mnie patrzy, jakby wszystko wiedział.

— A nawet gdyby, to co z tego. W najgorszym razie opowiem mu, jak cała sprawa się przedstawiała. On uwierzy bez problemu i wszystko zrozumie.

— Rudi, żeby to się tylko dobrze skończyło. Załatw to jakoś. Zostanę na razie w pokoju.

— Dobrze. Zawołam cię, gdy coś się wyjaśni. Tylko nie płacz czasem. Nie mamy nic złego na sumieniu, więc nie ma się czym martwić. Pamiętaj, nie wolno ci płakać. Będziesz spokojna?

Skinęła głową i szybciotko pobiegła do pokoju. Rudi zaś wrócił do stolika, przy który siedział pochłonięty własnymi myślami Hasso. Dopiero teraz zauważył, że przyjaciel jest bardzo zmieniony. Widać było, że ma jakieś zmartwienie.

— Hasso, co z tobą? Dobrze się czujesz? Gnębi cię coś, prawda?

Hasso spojrzał na niego zaskoczony. Rudi wyrwał go z zamyślenia.

— Nie zwracaj na mnie uwagi — powiedział z rezygnacją. — Jestem w złej formie. Sprawy sercowe. Opowiem ci wszystko, skoro jesteśmy sami. Torebka twojej żony wprawiała mnie w podły nastrój i przywiodła pewne niemiłe wspomnienie.

— Torebka mojej żony? — dziwił się na pokaz Rudi.

— Owszem. Ale opowiem wszystko po kolei. Otóż zakochałem się w dziewczynie, którą miałem za uosobienie czystości, szlachetności, cnoty. Poprosiłem jej matkę o jej rękę i błogosławieństwo. Udzieliła nam go i wszystko zdawało się cudownie proste. A potem, tego samego dnia, wyszło jakoś w rozmowie, że moje przekonanie o tym, że poznaliśmy się dopiero w Marwedel, jest błędne. Powiedziała mi, że spotkaliśmy się tuż przed moim wyjazdem do Afryki w Berlinie. Wsiadłem do taksówki, którą ona zwolniła. Ale wcześniej pomogłem jej przy wysiadaniu, bo zaczepiła się łańcuszkiem bransoletki o klamkę i nie mogła sobie sama poradzić. Gdy się dowiedziałem, że ta kobieta w Berlinie i moja narzeczona to ta sama osoba, zerwałem zaręczyny.

Rudi słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

— I co dalej — zapytał.

Hasso otarł nerwowo pot z czoła.

— Kiedy wsiadłem do tej taksówki, znalazłem w niej torebkę. Taką samą torebkę, jaką ma twoja żona. Żeby ją komuś zwrócić, musiałem zajrzeć do środka. Znalazłem jedynie monogram. To mi nic nie mówiło. Przejrzałem więc zawartość. Był tam list, bardzo kompromitujący. W najdelikatniejszy sposób zwróciłem tę torebkę. Nie rozmawiałem z tą kobietą, nie widziałem jej. Torebkę oddał mój ordynans w zalakowanej kopercie. A potem zapomniałem o tym. Cała historia wróciła do mnie dopiero po zaręczynach, kiedy się zorientowałem, że moja narzeczona oszukała mnie. To była jej torebka i do niej był adresowany ten straszny list. A tak mnie wcześniej zapewniała, że jestem pierwszym mężczyzną, który dotknął jej warg. Nie mogłem tego znieść i uciekłem. Od tej pory nie widziałem jej i od tej pory uciekam, nie wiem czy przed nią, czy przed sobą samym. To wszystko. Możliwość powiedzenia tego komuś sprawiła mi dużą ulgę, ale więcej o tym nie rozmawiajmy, Rudi.

Rudolf siedział jak porażony. Przyjaciel padł ofiarą pomyłki. Nie wziął pod uwagę, że torebkę mogła zgubić jakaś pasażerka, która jechała tą taksówką wcześniej. Traf chciał, że to była Lotta. Na tamtą dziewczynę padł niezasłużony cień. Nie ma na co czekać. Od jego wyznania zależy cudze szczęście. Musiał wszystko wyjaśnić, a mimo to przez chwilę się wahał.

Czy wolno narażać opinię Lotty? Nie, on nie będzie o tym decydował. Niech ona powie, co ma robić. Wstał od stolika.

— Przepraszam cię, Hasso, na momencik. Zaraz wrócę. Zajrzę tylko do mojej żony, nie wraca tak długo. Twoja opowieść bardzo mnie poruszyła. Może jesteś niesprawiedliwy dla tej młodej damy. Los płata czasem najdziwniejsze figle.

— Nie próbuj robić mi niepotrzebnej nadziei. Idź spokojnie do żony, Rudi. Zaczekam tutaj.

— Wracam za kilka minut.

Hasso patrzył za nim długo.

— Szczęściarz — pomyślał z zazdrością i poczuł ukłucie w sercu.

Rudolf wbiegł do pokoju żony. Czekala na niego niecierpliwie.

— No i co, Rudi? Jak się mają sprawy?

Opowiedział jej wszystko, czego dowiedział się od przyjaciela. Gdy skończył, jęknęła. Ale zaraz wzięła się w garść i rzekła:

— Wiem, z czym do mnie przyszedłeś. Nie musisz nic mówić. Trudno, skoro sprawy wzięły taki obrót, nie wolno nam milczeć. Nie chcę mieć nikogo na sumieniu, nie chcę, żeby ktoś przeze mnie cierpiał. Pan von Ried musi wiedzieć wszystko. Idź i opowiedz mu, jak to było.

Rudi objął ją i serdecznie pocałował.

— Wiedziałem, że taką podejmiesz decyzję. Idę i przedstawię mu prawdziwy obraz tamtych zdarzeń. Nie obawiaj się, kochana, niczego. Hasso doceni twoją postawę.



## XXV

— Chodźmy, Hasso, do parku. To najlepsze miejsce, by opowiedzieć ci coś, co odmieni twoje życie.

— Brzmi to bardzo tajemniczo, a ja szczerze mówiąc zbyt wiele miałem do czynienia ostatnio z tajemniczymi zdarzeniami. Skoro jednak musisz mi coś powiedzieć, chodźmy.

Ruszyli aleją wysadzaną palmami i znaleźli ustronne miejsce przy ogrodowym stoliku. Rudi położył przed sobą książkę. Hasso cały czas patrzył na niego wyczekująco, a gdy tamten zbyt długo milczał, zapytał wreszcie:

— Cóż miałeś mi takiego ważnego do powiedzenia, Rudi?

— Chcę wyjaśnić ci pewną rzecz i przywrócić tym wiarę w ludzi, zwłaszcza zaś wiarę w pewną osobę.

— Nie pojmuję, do czego zmierzasz.

— Dziewczyna, którą kochasz i którą podejrzewasz o straszne rzeczy, jest niewinna. List znaleziony w torebce w ogóle nie mówił o prawdziwym zdarzeniu. Był zmyślony.

— Rudi, opowiadasz dziwne rzeczy. Co właściwie możesz wiedzieć o tym liście? Co oznacza, że nie był prawdziwy? Mów wreszcie.

— Przypominasz sobie jego treść?

— Mniej więcej.

— Wobec tego przeczytaj to — rzekł Rudolf i podsunął przyjacielowi pod nos otwartą książkę.

Hasso czytał, a jego twarz wyrażała coraz większe zdumienie.

— Co to takiego?

— To treść listu, który znalazłeś w torebce.

— Rzeczywiście. Ale co to ma znaczyć?

— Dobrze, teraz ja muszę wyjaśnić ci wszystko w odpowiedniej kolejności. A więc torebka, którą znalazłeś w taksówce to ta sama torebka, którą dziś widziałeś u Lotty. To ona ją wtedy zgubiła i to ona ją następnego dnia od ciebie odebrała. Gdybyś nie wierzył, powiem ci, że dała twojemu ordynansowi sporą sumę. Poza tym mogę ci powiedzieć, co było jeszcze w tej torbie. Był pęk kluczy, portmonetka i chusteczka do nosa. Monogram, o którym wspomniałeś, to litery C.H. Mam też list z twoją odpowiedzią na anons prasowy o zgubieniu torby. Oto on, proszę.

Hasso patrzył na niego jak na zjawę. Drżącą ręką wziął kartkę i poznał własne pismo. Był kompletnie oszołomiony.

— Rudi, ja nic z tego nie rozumiem — rzekł wreszcie łamiącym się głosem.

— Wytlumaczę ci. Słuchaj. Ta dziewczyna, na którą padło twoje podejrzenie, wsiadła do taksówki zaraz po mojej żonie. Nie zauważyła torebki, potem wysiadła i tyle miała wspólnego z całą tą sprawą. Oboje z Lottą wiedzieliśmy, że to ty ją znalazłeś, ale ponieważ nie mogliśmy przypuścić, że będzie jakiś ciąg dalszy, milczeliśmy. Skąd mogliśmy przypuszczać, że zbiegiem okoliczności wplątana zostanie w to twoja późniejsza narzeczona. Zresztą zapomnieliśmy z czasem o tej historii i dopiero dzisiaj, gdy spojrzełeś z zainteresowaniem na torbę, a potem wręcz o nią zapytałeś, na Lottę padł blady strach. Sądziła, że wszystko wiesz lub przynajmniej domyślasz się czegoś. Gdybyś mi się nie zwierzył, pewnie nigdy bym ci tego nie wyjaśnił.

— Rudi, czy możesz pojąć, co się teraz ze mną dzieje?

— Współczuję ci serdecznie. Wysłuchaj mnie jednak do końca, proszę, choć ciebie już to bezpośrednio nie dotyczy. Zostało zdjęte piętno z twojej ukochanej, ale cień padł na moją żonę. Przed ślubem nigdy nie łączyły nas stosunki cielesne, o tym cię muszę zapewnić. Ten list miał być tylko sposobem zdobycia zgody matki Lotty na nasze małżeństwo.

I Rudolf opowiedział dokładnie historię związku z Lottą.

Hasso z trudem mógł uwierzyć w szczęśliwy obrót spraw. Wydawało mu się, że to cudowny sen, z którego za chwilę się obudzi i znów wszystko będzie smutne. Opowieści o heroicznej postawie Lotty słuchał z roztargnieniem, gorączkowo rozmyślając, co robić dalej. Wiedział, że nie ma czasu do stracenia.

— Rudolfie, wierzę ci, że twoja żona jest aniołem. Idź do niej, proszę, i podziękuj jej w moim imieniu. Teraz jednak wybac mi, ale muszę wyjechać jak najprędzej. Muszę wracać do Niemiec i przeprosić moją ukochaną za całe zło, które jej wyrządziłem. Byłem człowiekiem małego serca. Wierzyłem moim dziwacznym podejrzeniom, a nie jej słowom. Nie wiem, czy wybaczę sobie to kiedykolwiek. Ona tam, biedna, musi strasznie cierpieć i na dodatek niczego nie rozumie. Zachowałem się jak porywczy głupiec, nawet nie dałem jej dojść do słowa. Muszę tam natychmiast jechać, Rudolfie.

— Nie będę cię zatrzymywał dłużej niż kilka minut. Myślę, że powinieneś pożegnać się z moją żoną. Pójdę po nią. Zaczekaj tutaj.

Po chwili wrócił w towarzystwie Lotty. Hasso bardzo wylewnie podziękował jej za wyjawienie tajemnicy.

— Zdarza się tak, że niebo zsyła na ziemię anioły — rzekł. — I pani jest takim aniołem, który obdarzył mnie szczęściem i napełnił mi serce radością. Uczyniła pani cud. Znowu będę mógł się uśmiechać. Z całego serca pani dziękuję.

— Nic nadzwyczajnego nie uczyniłam, panie von Ried. Zrobiłam tylko to, co do mnie należało. Jest jasne, że nie można spokojnie żyć, wiedząc o cudzych niezasłużonych zupełnie cierpieniach. Nie mogliśmy postąpić inaczej. I tak państwo wycierpieliście dużo, do pewnego stopnia przez nas.

— To, co dla pani jest oczywiste, dla innych być może nie byłoby takie. Niewiele osób zdecydowałoby się na takie wyznanie. Jest pani bardzo odważna i szlachetna. Dziękuję za to. Myślę, że pani modlitwa znajdzie większe u Boga posłuchanie, proszę się więc modlić, bym od wszystkich, którym wyrządziłem krzywdę, uzyskał przebaczenie.

— Jeśli ta pani kocha pana, to przebaczenie otrzyma pan na pewno, proszę mi wierzyć. Kochająca kobieta potrafi wybaczyć wiele, zwłaszcza gdy dowie się, że jest bardzo kochana.

— Dziękuję za słowa otuchy.

— I mnie spadł kamień z serca. Wszystko zostało wyjaśnione, nie będę się już musiała obawiać, że podejrzewa mnie pan o coś i wie dużo więcej, niż mówi. Nareszcie jasny horyzont. Nieustannie lękałam się, że rozpoznał pan charakter pisma Rudolfa i że nie znając całej prawdy, uzna mnie pan za zhańbioną.

— Nie, droga pani, nie poznałem pisma Rudolfa, bowiem pisał do mnie zawsze na maszynie — uśmiechnął się już zupełnie odprężony Hasso. — Spodziewam się, że już nigdy nie będzie pani drżała z lęku przed spotkaniem ze mną.

Pociąg do Kairu, gdzie Hasso zostawił swój bagaż, odjeżdżał za niepełną godzinę. Powinni się więc pożegnać. Rudolf jednak postanowił, że pojedą razem z nim i dzięki temu spędzą jeszcze wspólny wieczór.

Następnego dnia rano pożegnał się z nimi ze smutkiem i refleksją, że ciągle się musi z kimś rozstawać na długi czas. Pragnienie szybkiego znalezienia się przy Carry było jednak najsilniejszym w tej chwili uczuciem i szybko zapomniał o wszystkim, co nie wiązało się z ukochaną. Droga dłużyła mu się, chociaż właściwie nigdzie się nie zatrzymywał. Tęsknota gnała go do Hartenfels. W głowie miał zupełny zamęt. Sam nie pojmował teraz, jak mógł w nią wątpić. Oskarżał się nieustannie, choć rozumiał, że gdyby to jednak była prawda, inaczej

postąpić by nie mógł. W pewnym momencie, przypominając sobie ich ostatnią rozmowę, uświadomił sobie, że Carry do czegoś chciała mu się przyznać. Co to mogło być? Pewnie nic ważnego, skoro o tym zapomniała. Może jakieś sympatie z dzieciństwa lub inna nieważna drobnostka. Cóż to za ulga, co za cudowny zbieg okoliczności, że spotkał Rudiego i że wszystko się wyjaśniło. Jak to dobrze, że nie próbowali ukryć przed nim ich związku ze zgubioną torebką i kompromitującym listem. Pewnie do końca życia sądziłby, że Carry miała z kimś romans i zapomniała o całym świecie, a gdy się opamiętała, to tamtego już nie było. Do śmierci pewnie uważałby, że postąpiła podwójnie niegodnie. Raz — oddając się mężczyźnie przed ślubem, dwa — okłamując go. A teraz? Co ona teraz robi, co o nim myśli? Może wysłać telegram, że to było nieporozumienie i że gna teraz do niej jak na skrzydłach. Nie, lepiej nie robić sensacji. Zrezygnował z tego pomysłu. Każda minuta teraz wydawała mu się nieznośnie długa, miał wrażenie, że podróż trwa całą wieczność. A im bliżej był domu, tym większy odczuwał niepokój. Jak ona go przyjmie? Zranił ją tak boleśnie. Krew uderzała mu do głowy i momentami wydawało mu się, że rozerwie mu czaszkę. Nieszczęsna torebka, nieszczęsny list... zagryzał ze zdenerwowania wargi. Co będzie? Co będzie?

## XXVI

Carry była smutna i przygnębiona. Nie mogła pogodzić się z tym, co zaszło. Dni mijały puste, bez żadnej wiadomości. Hasso nie odezwał się nawet słowem. Była zrozpaczona. Pani von Hartenfels martwiła się coraz bardziej stanem córki. Próbowwała ją pocieszać, ale bezskutecznie. Wiosna była w pełnym rozkwicie, maj przyniósł piękną pogodę i cudowną różnorodność kwiatów. Lasy tonęły w dziesiątkach odcieni zieleni, a świergot ptaków był tak donośny, że aż było go słyszeć w pałacu.

Carry patrzyła na te cudenka natury z obojętną, bladą twarzą. Nie cieszyło jej nic. Wolnym krokiem wchodziła co jakiś czas na szczyt góry i spoglądała na zamek. Siedem wież dumnie pięło się do nieba, a ona uśmiechała się gorzko, myśląc o przepowiedni Cyganki. Jej droga nie wiedzie na tamtą stronę góry, nie zaprowadzi jej do tego zamku i nigdy już nie będzie szczęśliwa. Zawsze będzie stała jak teraz na uboczu i cierpiała walcząc ze smutkiem i dręczącą tęsknotą. Wiał delikatny, ciepły wiatr. Jej miękka, biała suknia leciutko trzepotała. Złote loki rozdmuchiwał powiew. Zamek Marwedel ciemniał w dole pusty i obcy. Oczy zaszły jej mgłą. Nie myślała teraz, nie chciała o niczym myśleć. Czuła się tak nieszczęśliwa, była tylko cierpieniem. Spod powiek wymknęły się łzy i popłynęły ciepłymi strużkami po policzkach. Była zmęczona, bardzo zmęczona. Opadła ciężko na trawę. Przytuliła twarz do wilgotnej, chłodnej zieleni i płakała. Ale jej rozpacz była bezgłośna. Ani jeden szloch nie wyrwał się z jej piersi. Łzy płynęły i nie przynosiły ulgi. Dlaczego? Dlaczego tak postąpił?

— Hasso, jak długo jeszcze każesz mi cierpieć? — wyszeptała. — Co nas rozdzieliło? Jakiego przestępstwa się dopuściłam, że ponoszę tak ciężką karę?

Nie słyszała szelestu kroków. Na nikogo nie czekała. Niczego się już nie spodziewała. Kroki stłumiła trawa.

Przyjechał przed godziną. Chciał się przebrać i pojechać natychmiast do Hartenfels. Na sekundę przystanął przy oknie i zobaczył białą postać. Tylko ona tam mogła stać, nie miał żadnych wątpliwości. Bez sekundy zastanowienia ruszył na szczyt, nie szukając ścieżki, nie zwracając uwagi na to, że gałęzie krzaków boleśnie ranią mu ręce i twarz. Biegł tracąc oddech. Byle szybciej, byle szybciej. Już był na górze. Zobaczył ją. Leżała jak bez życia z twarzą wtuloną w trawę. Zatrzymał się. Patrzył na nią i czuł rozpacz w sercu. Jej plecy leciutko drgały. Płakała. Podeszedł cicho i klęknął tuż obok niej.

— Carry, moja najdroższa Carry — wyszeptał zdławionym głosem. — Nie mam odwagi prosić cię o przebaczenie. Zrobiłem coś strasznego, ale wybacz mi, błagam, wybacz mi wszystko.

Przerażona podniosła głowę. Myślała, że śni. A potem szybko otarła łzy i podniosła się. Duma wzięła górę nad miłością.

— Panu się pewnie zdaje, panie von Ried, że baronówna von Hartenfels może być zabawką w pana dłoniach. Można się nią pobawić w zależności od humoru, rzucić, a potem znów zrobić sobie z niej zabawkę. Dziwię się, że po tym, jak pan ze mną postąpił, znalazł pan teraz odwagę, by tu wrócić.

Jej oczy miały płomienie. Mocno chwycił jej rękę i nie puszczał mimo oporu z jej strony.

— Masz prawo odwrócić się ode mnie. Zachowałem się strasznie i zgrzeszyłem wobec ciebie podejrzliwością, nieufnością, niewiarą. Musisz mnie jednak wysłuchać. Musisz pozwolić mi wyjaśnić, co za fatalna pomyłka kazała mi powziąć o tobie złe mniemanie i uciec od ciebie. Może gdy się dowiesz, choć trochę mnie usprawiedliwisz. Gdybyś wiedziała, jak okropne męki przechodziłem, jak okrutnie cierpiałem, może nie gniewałabyś się aż tak bardzo. Sobie zadałem tyle samo bólu co tobie, albo jeszcze więcej.

Drżała. Wargi miała zaciśnięte. Potem powiedziała ochryple:

— Nie przypuszczam, byśmy mieli sobie coś jeszcze do powiedzenia, coś do wyjaśnienia. Pan mnie pogardliwie odtrącił, nie mówiąc nawet dlaczego. Do żadnej winy się nie poczuwam. Niczego mi pan nie może zarzucić — głos jej był twardy.

Starła się nad sobą panować za wszelką cenę. Widziała jego spojrzenie, wyraz twarzy i wiedziała, że kocha ją. Musiał mieć jakieś powody. Ale nie chciała się poddać. Zbyt wiele przeżyła ciężkich chwil, odrzucona, wzgardzona i tak bardzo w nim zakochana.

Pochylił się pocałował jej rękę. Wargi miał gorące.

— Carry — powiedział boleśnie. — Teraz wiem, że postępowałem jak szaleniec, jak opętany. Byłem zaślepiony. To miłość do ciebie uczyniła mnie ślepo zazdrosnym i padłem ofiarą pomyłki. Teraz wszystko się wyjaśniło i pojąłem mój błąd. Umieram ze wstydu i z lęku, czy zechcesz mi wybaczyć. Ktoś ostatnio natchnął mnie nadzieją i otuchą mówiąc, że jeśli naprawdę mnie kochasz, wybaczysz mi. Czy więc nie kochasz mnie już? Nie chcesz mnie nawet wysłuchać. Czy mój postępek zabił w tobie wszystkie do mnie uczucia?

— W moim sercu wszystko umarło — powiedziała i jej oczy zaszkliły się. — Mam teraz w sercu tylko żal i cierpienie. Pan zniszczył wszystko, wszystko mi zabrał, a zostawił gorycz, smutek, rozpacz.

Przytulił twarz do jej zimnej dłoni.

— Nie mów tak, Carry, proszę — jęknął. — Nie musisz mnie karać. Sam siebie ukarałem. Odbudujemy wszystko, co zostało zniszczone. Spójrz w moje serce i uwierz. Wysłuchaj chociaż mojego tłumaczenia. Gdy dowiesz się wszystkiego i potępisz mnie, poddam się twemu wyrokowi. Błagam, wysłuchaj mnie.

— Proszę, niech pan mówi — powiedziała siląc się na spokój. — Ma pan rację, nie można potępić nie dając drugiemu głosu. Choć pan tak właśnie wobec mnie postąpił.

W jego oczach zaświtała nadzieja. Zebrał siły i zaczął opowiadać wszystko od momentu, gdy wsiadł do taksówki w Berlinie, kończąc na rozmowie w Egipcie z Rudim. Gdy skończył, popatrzył na nią błagalnie.

— Teraz wiesz już wszystko — rzekł. — Czekam na twój wyrok. Spróbuj mi jednak wybaczyć.

Rozplakała się. Nic nie mówiła, tylko patrzyła na niego jak dawniej, a łzy płynęły jej z oczu i nie mogła ich powstrzymać.

— Nie mam ci czego wybaczać, biedaku — powiedziała wreszcie zmienionym, łagodnym głosem. — Oboje staliśmy się ofiarami pomyłki i oboje cierpieliśmy z tego powodu.

Rzucił się w jej stronę, objął ją i scałowywał słone kropelki z policzków.

— Nie płacz, kochana. Zrobię wszystko, byś nigdy nie wylała z mojego powodu nawet jednej łzy.

I znów było jak dawniej. Całował ją namiętnie, a świat znowu nabrał barw. Znów słyszała świergot ptaków i cieszyła się kwiatami, wśród których siedzieli. Tylko czas przestał istnieć i żadne z nich nie wiedziało, jak długo byli na tej łące na szczycie ich góry.

Pierwsza opamiętała się Carry.

— Chodźmy do domu. Musimy wszystko opowiedzieć mamie, ona cierpiała prawie tak samo jak my. Odstąpmy jej trochę naszego szczęścia.

— Obawiam się, że ona będzie surowszym dla mnie sędzią niż ty.

— Ona cię nie potępiła, Hasso. Cały czas cię usprawiedliwiała, składając twoje zachowanie na karb nieporozumienia. Była pewna, że to wyjaśni się wcześniej czy później. Czekala, aż przyślesz swój adres, by napisać do ciebie.

— Wydaje mi się, że to był tylko zły sen i tak naprawdę nigdy nic złego między nami się nie zdarzyło. Wszystkie cienie rozproszyło jasne światło słońca.

— Muszę jednak coś ci powiedzieć. Dopiero wtedy wszystko będzie jasne. Teraz ty musisz mnie wysłuchać.

— Możesz powiedzieć mi najgorsze rzeczy, nic już nas nie rozdzieli. Wiele ostatnio zrozumiałem.

— Zapytałeś mnie kiedyś, czy kogoś całowałam, czy kochałam kogoś przed tobą. Zaprzeczyłam wtedy. Ale to nie było całkiem tak. Otóż, zaręczyłam się i jedyny raz pocałowałam mężczyznę. Bez miłości.

Przystanął i spojrzał na nią dziwnie.

— Byłaś zaręczona? — zapytał niespokojnie.

— Ten człowiek był na łożu śmierci. Kochał mnie miłością czystą i szlachetną. Ale ja nie mogłam odpowiedzieć mu tym samym. Nie kochałam go, uważałam jednak za najbliższego przyjaciela. Nie wiedział, że umiera. Patrzył na mnie z taką ufnością i był szczęśliwy, że siedzę przy nim. I wtedy postanowiłam dać mu chwilę szczęścia, ostatnią chwilę w jego życiu. Zaręczyłam się z nim i gdy prosił mnie bardzo, pocałowałam go. To był twój kuzyn, Kurt von Ried.

Hasso odetchnął z ulgą.

— A więc o tym zapomniałaś mi powiedzieć?

— Tak. Ze wstydem przyznaję, że w chwili wielkiego szczęścia zapomniałam o zmarłym przyjacielu. Wiesz, kilka lat temu Cyganka wywróżyła Kurtowi coś, co on zinterpretował jako przepowiednię ślubu ze mną. Kochał mnie od lat i oświadczał mi się parę razy, ale nie chciałam wychodzić za niego. W ogóle nie chciałam wychodzić za męża bez miłości. Ale kiedy umierał i ciągle wierzył, że kiedyś się pobierzemy, nie mogłam odebrać mu tego złudzenia. Umarł naprawdę szczęśliwy w przekonaniu, że za kilka dni ogłosimy zaręczyny. Cóż można powiedzieć więcej?

— Co to za przepowiednia, Carry?

— Były dwie. Jedna dla mnie, a druga dla Kurta. Ale on je połączył w jedną. Wróżba dla mnie mówiła, że przeznaczenie powiezie mnie do zamku z siedmioma wieżami, gdzie będę żyła długo i szczęśliwie. Może to chodziło o Marwedel?

— Na pewno. Przepowiednia musi się spełnić i zabiorę cię, moja ukochana, do zamku z siedmioma wieżami.



— Czy teraz wszystko między nami jest jasne?

— Oczywiście, najdroższa. Spełniłaś dobry uczynek. Należy ci się za to nagroda, nie zaś nagana.

Dotarli wreszcie do pałacu. Pani von Hartenfels dostrzegła ich już z daleka i wybiegła na taras. Ujrzała ich uśmiechnięte twarze i poczuła się szczęśliwa jak oni.

— Czy to znaczy, że wszystko już będzie w porządku, że złe dni minęły bezpowrotnie?  
— zapytała.

— Tak, mamusiu. To była po prostu tylko fatalna pomyłka.

— A więc jednak miałam rację?

— Tak. Hasso nie ponosi żadnej winy. Nikt z nas nie zawinił. Pani von Hartenfels z uśmiechem powitała narzeczonego córki.

— Czy mogę liczyć na pani wyrozumiałość — zapytał nieśmiało. — Czy wybaczy mi pani?

— Nagrodą za trudne chwile są wasze szczęśliwe twarze, wasze rozpromienione oczy. Nie mam do pana o nic żalu.

— To cudowne powitanie. Jest pani osobą o wielkim sercu. Naprawdę dziękuję. Chciałbym i pani wyjaśnić powód mojego nagłego wyjazdu. Czy zechce mnie pani wysłuchać?

I znów musiał Hasso od nowa przeżywać to samo, opowiadając o znalezieniu torebki i o treści listu.

— Dobry Boże — jęknęła pani von Hartenfels, gdy skończył. — Jak niewiele trzeba, by zburzyć ludzkie szczęście. Powinien pan wyciągnąć z tego pewne wnioski. Nie wolno nikogo karać, nikogo obwiniać, gdy nie ma się pewnych dowodów i gdy nie pozwala się oskarżonemu usprawiedliwić. Dzięki odwadze i szlachetności pani von Kronau możemy się teraz śmiać i być tu razem. Co by jednak było, gdyby nie znalazła w sobie tyle siły, żeby ujawnić całą sprawę? Nie chcę nawet o tym myśleć.

Ze ślubem nie czekano długo. Już pod koniec sierpnia Carry wprowadziła się do zamku.

W hucznych uroczystościach weselnych wzięli udział przyjaciele Hassa. Przybył Norbert z Leną i Rudolf z Lottą. Zjawił się także Leon, któremu udało się sprzedać farmę. Po długich targach pan Deckmann przystał wreszcie na satysfakcjonującą Leona cenę. Nie byłby jednak sobą, gdyby przy okazji nie upiekł jakiejś dodatkowej pieczeni. Uparł się, by towarzyszyć Leonowi w podróży do Niemiec. Oznaczało to jedno. Państwo Deckmannowie zawitali do

Neuhalden. Leonowi nie udało się znaleźć sposobu, by pozbyć się natrętów i gdy przekroczył próg zamku, w głębokim poczuciu winy rzekł:

— Zrozumiem, drogi Norbercie, gdy wyrzucisz mnie stąd razem z Deckmannami. Okazałem się zupełnym niezdara, zbyt delikatnie dawałem im do zrozumienia, że chciałbym tu przyjechać sam. Przypuszczam, że nawet gdybym powiedział im otwarcie, że są natrętami, i tak bym nic nie wskórał. Pan Deckmann postanowił złożyć ci przyjacielską wizytę i nawet diabeł nie byłby w stanie go od tego odwieść. W istocie byłem bez szans i oto masz ósmą plagę egipską.

Norbert tylko serdecznie się roześmiał. Od jakiegoś czasu pogodził się z koszmarną perspektywą goszczenia tych ludzi i był przygotowany na wszystko. Tak więc Deckmannowie odnieśli wspaniałe zwycięstwo i rozgościli w zamku. Nie wyglądało na to, by planowali tutaj krótki pobyt.

— Ciekaw jestem, jak długo zamierzają tu siedzieć — zastanawiał się Leon.

— Mam nadzieję, że nie postanowią zostać w Neuhalden sami — rzekł niezbyt radośnie Norbert. — Za dwa tygodnie wyjeżdżamy do Marwedel na ślub Hassa.

— Zlituj się — jęknął Leon. — Mówisz tak, jak byś ich nie znał. Przecież oni pojedą z nami na wesele. Nie pozbedziemy się ich łatwo. Do mnie, do Turyngii też się już zapowiedzieli.

— Cóż to za serdeczni, towarzyscy ludzie — odparł szyderczo Norbert. — Musimy coś zrobić. To wykluczone, żeby pojechali do Marwedel. Hasso by tego nie zniósł.

Już przy kolacji rozpoczęli akcję zapobiegawczą. Byli zdecydowani podjąć wszelkie dostępne kroki, by pozbyć się tych ludzi. Tak więc Norbert z miłym uśmiechem powiedział w pewnej chwili:

— Mam nadzieję, że zostaniecie państwo u mnie choć kilka dni. Może nawet udałoby się wam znaleźć więcej czasu. Za dwa tygodnie wyjeżdżamy wszyscy do Marwedel, ale do tego momentu moglibyśmy spędzić wspólnie miłe chwile.

— Marwedel to przecież ordynacja naszego przyjaciela, pana von Rieda — rzekł uradowany nową możliwością pan Deckmann. — Już tak dawno go nie widzieliśmy. Miło by było się z nim spotkać.

— Ma pan rację: Pan Holms, moja żona i ja bardzo cieszymy się na to spotkanie. Zostaliśmy zaproszeni na pewną kameralną, rodzinną uroczystość. Pan von Ried bierze ślub.

Pani Deckmann nagle wykazała wielkie zainteresowanie rozmową. Odkąd padło nazwisko Hassa, śledziła każde słowo. Teraz spojrzała niespokojnie na Norberta i zapytała:

— Pan von Ried jest zaręczony?

— Owszem. I jest bardzo szczęśliwym narzeczonym.

Pani Deckmann skrzywiła się i wzruszyła ramionami, zaś jej mąż nie zasypiał gruszek w popiele.

— Powinniśmy wziąć udział w weselu. Przecież pan von Ried jest naszym przyjacielem i był u nas gościem. Z całą pewnością ucieszyłby się z naszej obecności. A prezent? Cóż, można szybko załatwić jakiś odpowiedni prezent. Co ty na to, Ilono?

Ale pani Deckmann przestała interesować się tą sprawą i z całą pewnością nie miała ochoty być świadkiem zawierania przez Hassa szczęśliwego związku.

— Myślę, mój drogi — powiedziała, udając obojętność i spokój — że nie jest to możliwe ze względów czasowych. W przyszłym tygodniu umówiłam się w Ostendzie z hrabiną Rheyd.

Pan Deckmann uznał, że jest to równie atrakcyjna propozycja jak ślub Hassa. Nie nalegał więc ku radości Norberta i Leona. Wyglądało na to, że pozbyli się nieproszonego gościa i to pozbyli nadszpedzowanie szybko. Uśmiechnęli się na myśl, jak pan Deckmann będzie zapewniał hrabinę Rheyd o smutku swego przyjaciela, ordynata von Rieda, na którego ślubie nie mógł się zjawić i jak niepokieszony był ordynat von Platen, którego zamek musiał opuścić.

By być w zgodzie z prawdą, trzeba tu wspomnieć, że hrabina Rheyd nie bardzo wierzyła w prawdziwość słów Deckmanna.

Tak więc uroczystości weselnych nie zakłócił żaden nieproszonego gość. Lotta, Lena i Carry przypadły sobie do gustu i postanowiły widywać się tak często, jak to tylko będzie możliwe. Ich mężowie nie posiadali się z radości, widząc serdeczność, z jaką odnosiły się do siebie. Postanowiono przy tym, że musi się stać dobrym zwyczajem spotkanie wszystkich co najmniej trzy razy w roku: w Berlinie u Rudiego i Lotty, w Neuhausen u Norberta i Leny oraz w Marwedel u Hassa i Carry.

Wśród ślubnych prezentów państwo von Riedowie znaleźli dokładną kopię złotej torebki w kształcie słonia. Hasso i Rudi wymienili porozumiewawcze uśmiechy, a Carry obiecała, że zachowa ją jako wielką pamiątkę.

Leon, jedyny już w tym towarzystwie kawaler, siedział trochę smętny, przyglądając się szczęściu przyjaciół. Powziął wówczas decyzję, że musi się ożenić jak najszybciej. I rzeczywiście, niebawem poznał w Turynii uroczą, młodzieńką właścicielkę sąsiedniego

majątku, która będąc sierotą z trudem radziła sobie z zarządzaniem swą posiadłością. Pokochali się i tuż przed Bożym Narodzeniem przyjaciele otrzymali depesze następującej treści:

*O swoich zaręczynach z baronówną Hildą von Schonau zawiadamia was bardzo szczęśliwy, ostatni kawaler w waszym gronie, Leon.*

Hasso podał telegram żonie. Przeczytała z radosnym uśmiechem. A potem stanęli przy oknie zamku o siedmiu wieżach i popatrzyli na ośnieżoną czapę góry. Ich dłonie znalazły się, ciepłe, bezpieczne dłonie. Spojrzeli na siebie, z ich oczu promieniowało szczęście.



TLR